

W. Somerset

Maugham

Innam



KATALINA

Świat Książki

KATALINA

czyli burzliwe dzieje
płoniennej
kobiety

W. Somerset
Maugham

DC

Maugham W. Somerset

Katalina czyli Burzliwe dzieje płomiennej kobiety

Historia pięknej młodziutkiej dziewczyny, u której wraz z miłością do ubogiego krawca pojawiają się pierwsze oznaki namiętności i pożądania. Ta wzruszająca opowieść, osadzona w burzliwych realiach szesnastowiecznej Hiszpanii, gdzie losami ludu rządzą dworskie intrygi i zachcianki kleru, a szalejąca inkwizycja zbiera swe przerażające żniwo.

Rozdział pierwszy

Castel Rodriguez przeżywało wielki dzień. Odświętnie ubrani mieszkańcy już o pierwszym brzasku tłumnie wylegli na ulice. Ponure fasady szlacheckich pałaców przystrojono bogatymi tkaninami, na balkonach leniwie powiewały rodowe proporce. Był piętnasty sierpnia, dzień Wniebowzięcia. Z bezchmurnego nieba lał się słoneczny żar, wokół panowało świąteczne podniecenie. Miasto gotowało się do uroczystego powitania dwóch znamienitych mężów. Po latach spędzonych w świecie zjeżdżali w rodzinne strony dwaj bracia, którzy stąd wiedli swój ród: Blasco de Valero, biskup Segowii, i wsławiony wielu bohaterskimi czynami waleczny Don Manuel, kapitan Jego Królewskiej Mości.

Ceremonię rozpocząć miało *Te Deum* w kolegiacie, później czekała gości uczta na ratuszu, po niej walki byków, wreszcie na zakończenie, kiedy zmrok zapadnie, przygotowano pokazy sztucznych ogni. W miarę jak słońce pięło się po nieboskłonie, coraz większa ciżba napływała na Plaza Mayor.

Tutaj uformował się pochód, który rychło wyruszył za miasto, by tam, pod murami, godnie przywitać dostojne osoby. Na czele szli rajcy, za nimi dostojnicy Kościoła, dalej szlachta. Na ulicach cisnęły się tłumy niecierpliwie czekające chwili, gdy przy powitalnym biciu dzwonów bracia zostaną wprowadzeni do miasta.

W kaplicy Mariackiej kościoła Karmelitanek modliła się kaleka dziewczyna. W żarliwym zapamiętaniu zanosila modły przed wizerunkiem Przenajświętszej Pani. Wreszcie dźwignęła się z klęczek i wsparta na kuli pokuszyła do wyjścia. Z mrocznej i chłodnej kruchty wyszła w zapierający dech żar południa, zmrużyła oczy oslepiona słonecznym blaskiem. Od szczytu schodów spojrzała w dół na pusty plac przed świątynią. Zawarte na głucho okiennice strzegły wnętrza opustoszałych domów przed sierpniowym skwarem. Kto żyw pospieszył oglądać ceremonię. Wokół

panowała martwa cisza, niczym w wyludnionym mieście. Spojrzała w stronę wciśniętej pomiędzy sąsiednie budynki małej kamieniczki, gdzie mieszkała, i westchnęła ze smutkiem. Matka i wuj Domingo poszli razem z innymi i mieli powrócić dopiero po walkach byków. Czuła się bardzo samotna i bardzo nieszczęśliwa. Wzdragała się wracać do pustych izb. Odłożyła na bok kulę, siadła u szczytu kościelnych schodów i zapłakała cicho, po czym owładnięta nagłą a przemożną żalnością

padła na ziemię, ukryła głowę w ramionach i rozszlochała się tak rozpaczliwie, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. Drewniana kula z suchym klekotem zsunęła się po schodach i zatrzymała na dole.

Dopełniło to miary nieszczęścia. Dziewczyna miała sparaliżowaną prawą nogę, nie mogła się poruszać bez podpory, a chcąc teraz dosięgnąć kuli, musiałaby szczołgać się lub zsunąć w dół. Zaniosła się spazmatycznym łkaniem.

Raptem dobiegł ją czyjś głos.

- Czemu płaczesz, dziecko?

Podniosła głowę, zaskoczona. Nie słyszała, żeby ktoś się zbliżał. Za jej plecami stała nieznajoma pani.

Wyglądało to tak, jakby właśnie wyszła z kościoła, a przecież ona sama wychodziła stamtąd przed chwilą, nikogo w świątyni nie było.

Otulona w długi błękitny płaszcz kobieta uniosła dłonie i zsunęła kaptur, jakby naprawdę właśnie opuściła kruchę, bo

grzechem było, żeby niewiasta przebywała w przybytku bożym z odsłoniętą głową. Wysoka jak na Hiszpankę, młoda jeszcze, miała gładką, delikatną skórę, nawet wokół oczu nie znalazłby śladu zmarszczek. Gładko zaczesane włosy, z przedziałkiem pośrodku, były związane w luźny węzeł na karku. Dziewczyna wpatrywała się w kruchą, wiotką postać o urzekająco łagodnym spojrzeniu i nie potrafiła odgadnąć czy to wieśniaczka, żona jakiegoś włościanina z tych okolic, czy dama. Było w jej osobie coś swojskiego i prostego, a przecież promieniowało z niej dziwnie onieśmielające dostojeństwo. Długi płaszcz skrywał spodnią szatę, ale kiedy zsuwała kaptur, dziewczyna dostrzegła błysk bieli, a więc tego koloru musiały być jej suknie.

- Otrzyj łzy, dziecko, i powiedz, jak cię nazywają.

- Katalina.

- Czemu siedzisz tu sama i płaczesz, kiedy całe miasto wyległo oglądać wjazd biskupa i jego brata, kapitana królewskiej armii?

- Jestem kaleką, nie uszłabym tyle drogi, señora. Cóż mnie do tych wszystkich szczęśliwych ludzi?

Pani stała za Kataliną. Dziewczyna zwracając się do niej musiała wykręcić głowę; spojrzała na portal świątyni.

- Skąd przychodzicie, señora? Nie widziałam was w kościele.

Pani uśmiechnęła się. W jej uśmiechu było tyle słodczy, że z serca Kataliny uszła wszelka gorycz.

- Ja cię widziałam, dziecko. Modliłaś się.

- Modliłam się do Przenajświętszej Pani, jak modłę się w dzień i w noc od dnia, gdy opadła mnie niemoc, by ją ode mnie odjęła.

- Myślisz, że ona może to sprawić?

- Jeśli taka będzie jej wola.

Zachowanie obcej pani było tak ujmujące i przyjazne, że

Katalina zapragnęła opowiedzieć jej swoją smutną historię. Wszystko zdarzyło się, gdy ludzie wylegli na ulice miasta oglądać, jak w uroczystym pochodzie prowadzą byki na walki wielkanocne. Na czele, na dumnie stąpających koniach, jechało kilku młodych panów szlachty. Nagle jeden byk wyrwał się z szeregu i runął w tłum. Ciżba rozprysnęła się na boki w panice. Zwierzę potrafiło kogoś i parło dalej.

Katalina, umykając co sił w nogach, poślizgnęła się. Upadła w chwili, gdy byk jej dosięgał. Zdażyła krzyknąć i straciła przytomność. Kiedy przyszła do siebie, powiedziano jej, że rozszalała bestia stratowała ją i pognała dalej. Dziewczyna była posiniaczona, ale nie ranna, mówiono, że nic jej nie będzie. Jednak gdy minęły dwa czy trzy dni, zaczęła skarżyć się na bezwład w nodze. Medycy po skrupulatnych badaniach orzekli paraliż; kłuli ją igłami, ale nic nie czuła, upuszczali krew, dawali na przeczyszczenie i na wymioty. Nic nie pomagało. Noga była jak martwa.

- Ciągle przecież możesz czynić użytek ze swoich rąk - rzekła pani.

- Bogu niech będą dzięki, bo inaczej musielibyśmy głodować. Pytaliście mnie, pani, czemu płaczę.

Płaczę, bo kiedy straciłam władzę w nodze, porzucił mnie ukochany.

- Nie bardzo cię kochał, skoro cię opuścił, kiedy dotknęła cię niemoc.

- Miłował mnie całym sercem, a i ja go kochałam z całej duszy, ale jesteśmy biedni, señora. Zwią go Diego Martinez, to syn krawca, trudni się tym samym co ojciec, rzemiosłem. Mieliśmy się pobrać, kiedy skończy termin, ale biedak nie weźmie żony, która nie pójdzie na targ jak inne kobiety i nie zakrzatnie się koło domowych zajęć. Mężczyzna jest tylko mężczyzną i nie chce kobiety, co chodzi o kulach, a teraz Pedro Alvarez myśli wydać za niego swoją córkę Franciszkę. Szpetna ona jak noc, ale Pedro Alvarez jest bogaty, jakże więc ma mu odmówić?

Katalina znowu zaczęła szlochać. Pani spoglądała na nią ze współczującym uśmiechem. Nagle w dali dało się słyszeć trąby i bicie bębnów, zaraz potem rozdzwoniły się dzwony.

- Biskup i jego brat, kapitan, wkraczają do miasta. Czemu jesteście tutaj, señora, zamiast oglądać ich wjazd? - zapytała.

- Nie dbam o to.

Wydało się to Katalinie tak niezwykle, że obrzuciła panią podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie mieszkanie w naszym mieście, señora?

- Nie.

- I mnie wydało się dziwne, że nigdy wcześniej was nie spotkałam, a znam tu wszystkich bodaj z widzenia.

Pani nic nie odpowiedziała. Zachodząc w głowę, kto zacz, Katalina poczęła uważnie przyglądać się jej spod rzęs. Nie mogła być chyba z Morysków, na to cerę miała zbyt jasną, ale może pochodziła z Maranów, to znaczy tych Żydów, którzy raczej woleli się wychrzcić, niż pójść na wygnanie z kraju, ale jak powszechnie wiadomo, pozostali w skrytości wierni żydowskiemu obyczajowi: myli ręce przed i po jedzeniu, pościli w Jom Kipur, a w piątki jedli mięso. Inkwizycja czuwała i było bezpieczniej nie zadawać się ani z Moryskami, ani Maranami; nikt nie znał dnia ani godziny. Niech któreś z nich wpadnie w ręce Świętego Oficjum i wyda na torturach imię niewinnego człowieka?

Katalina lękała się, czy nie rzekła niczego, co mogłoby dać powód oskarżeniu. Czasy w Hiszpanii przysły takie, że jedno nierozważne słowo, jeden przychylny gest wystarczały do aresztowania. A potem tygodnie, miesiące, ba, lata mogły minąć, nim człowiek zdołał dowieść swej niewinności.

Pomyślała, że lepiej czym prędzej zabrać się precz.

- Czas mi do domu, señora - powiedziała i dodała z przyrodzoną sobie układnością: - Pożegnam was już, jeśli pozwolicie. - Spojrzała na kulę leżącą u podnóża schodów

niepewna, czy przystoi prosić panią, by po nią sięgnęła. Pani jakby nie usłyszała jej słów.

- Chciałabyś, moje dziecko, odzyskać władzę w nodze, chodzić i biegać, jakby nigdy nic ci się nie przytrafiło?

Katalina pobladła. Pytanie zdradzało prawdę. Pani nie należała do nowych chrześcijan, była Moryską, a jak powszechnie wiadomo, Moryskowie, zwący się tylko chrześcijanami, mieli pakt z diabłem i posługiwali się czarami dla czynienia wszelkiego zła. Kiedy niedawno na miasto spadła zaraza, Moryskowie oskarżeni o jej wywołanie wyznali na torturach, że stało się to za ich przyczyną. Zginęli na stosie. Na chwilę strach odjął jej mowę.

- Cóż więc, moje dziecko?

- Dałabym wszystko, co mam, a Bóg widzi, że to mizerna ofiara, żeby ktoś odjął ode mnie słabość, ale nawet przez miłość do Diega nie wystawię duszy na wieczne potępienie ani nie zgrzeszę przeciw naszemu Kościołowi Świętemu.

Nie odrywając oczu od pani przeżegnała się na poparcie swoich słów.

- Powiem ci zatem, jak możesz zostać uleczona. Jest w mocy tego syna Juana Suareza de Valero, który najlepiej służył Bogu, wrócić ci zdrowie. Dość, by złożył ręce na twojej głowie i w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego nakazał ci odrzucić kule i iść. A ty odrzucisz kule i pójdziesz.

Tego nie oczekiwała. Zdumiała ją, co usłyszała, ale w głosie pani brzmiała niezwykła moc, która nie pozwalała wątpić w prawdę jej słów. Wstrząśnięta, z niedowierzaniem i nadzieją wpatrywała się w tajemniczą nieznajomą. Próbowwała pozbierać myśli, nim wypowie nierozważne pytania. Wtem oczy o mało nie wyszły jej z orbit, rozwarła szeroko usta. W miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą stała pani, nie było nikogo.

Nie mogła wejść do kościoła, bo Katalina cały czas nie spuszczała z niej oczu. Nie mogła zrobić choćby kroku,

rozplynęła się po prostu w powietrzu. Dziewczyna wydała głośny okrzyk, po policzkach popłynęły jej łzy, ale już inne niż poprzednio.

- To Przenajświętsza Panienka! - wykrzyknęła. - Królowa Niebios, a ja z nią rozmawiałam jak z własną matką. Przenajświętsza Maryja, a ja ją wzięłam za Moryskę albo nową chrześcijankę!

W uniesieniu, nagłona potrzebą podzielenia się z kimś swoim przeżyciem, niewiele myśląc zsunęła się po schodach, doczołgała się do kuli i pokuszyła do domu. Dopiero pod drzwiami przypomniała sobie, że nikogo nie ma. Zawiedziona weszła do izby i wtedy poczuła, jak bardzo jest głodna. Zjadła kawałek chleba, kilka oliwek, popiła kubkiem wina. Chociaż zaraz zdjęła ją senność, postanowiła czuwać, póki nie wrócą matka i wuj Domingo. Tak bardzo chciała opowiedzieć im o cudownym zdarzeniu, ale powieki same opadły i po chwili spała już mocno.

Rozdział drugi

Śliczna była dziewczyna z szesnastoletniej Kataliny. Wysoka na swój wiek, o kształtnych piersiach, drobnych dłoniach i stopach. Nim okulała, zachwycała wszystkich wokół. Duże, ciemne, błyszczące młodością oczy, długie, czarne, spływające za stan loki, cera gładka, oliwkowa, policzki zaróżowione, usta czerwone, wilgotne. Kiedy uśmiechała się czy śmiała, a przed wypadkiem naturę miała radosną, odsłaniała małe, białe, równe ząbki. Taka była Maria de los Dolores Katalina Orta y Perez. Jej ojciec, Pedro Orta, wkrótce po jej narodzinach wyruszył do Ameryk i odtąd słuch po nim zaginął. Matka, Maria Perez, choć nie wiedziała, czy mąż żyje jeszcze, czy odszedł z tego świata, nie traciła nadziei, że pewnego dnia powróci ze skrzynią wypełnioną złotem i uczyni ich bogaczami. A że była kobietą pobożną, przeto codziennie podczas porannej mszy modliła się za niego. Gniewał ją brat jej, Domingo, kiedy powiadał, że jeśli Pedro jest jeszcze między żywymi, to dawno wziął sobie tubylczą kobietę, może dwie albo trzy nawet, i teraz ani myśli porzucać nowej rodziny - a przez tyle lat musiał

ją założyć - by wracać do starej żony, która straciła urodę.

Był Domingo ciężkim utrapieniem dla swej zacnej siostry, kochała go przecież, po części dlatego, że tak nakazywał

chrześcijański obowiązek, po części dlatego, że mimo licznych przywar poczciwym był człowiekiem i nie umiała długo chować do niego złości. Wspominała zatem i jego w swych modlitwach, wołąc myśleć, że to dzięki nim, a nie ze starości, poniechał najgorszych szaleństw. Miał Domingo niegdyś zostać kapłanem. W seminarium w Alcalá de Henares przyjął niższe święcenia, zaczął nosić tonsurę.

Wśród jego towarzyszy kleryków liczył się w tamtych czasach Blasco Suarez de Valero, teraz biskup Segowii, którego przybycie do miasta właśnie świętowano. Maria Perez wzdychała na myśl, jak różnie potoczyły się losy obydwu. Domingo, młodzieniec niepokorny, w seminarium od samego początku zawsze jakoś napytał sobie biedy. Był uparty, porywczy, lekkomyślny i żadne napomnienia, kary i baty nie mogły go utemperować. Już wtedy miał pociąg do butelki i kiedy zaczynało mu się kurzyć z czupryny, wyśpiewywał sprośne piosenki obrażające uszy pobożnych seminarzystów oraz ich duchowych przewodników, powołanych, by zaszczepiać obyczajność w młodych duszach. Nim dobiegł dwudziestki, zrobił dziecko moryskiej niewolnicy, a gdy ów niecny postępek wyszedł na jaw, uciekł i przyłączył się do trupy wędrownych komediantów. Przemierzał z nimi kraj przez dwa lata, po czym pojawił się niespodziewanie w ojcowskim domu.

Pokajał się za grzechy i przyrzekł poprawę. Stan kapłański widać nie był mu pisany. Prosił ojca, by utworzył sakiewkę, bowiem on wstąpi na uniwersytet i zacznie studiować prawo. Rodzic skłaniał się uwierzyć, że syn wreszcie zmadrał, a i jego wymizerowany wygląd, sama skóra i kości, świadczył dowodnie, że przez ostatnie lata nie wiódł lekkiego życia. Dał się ubłagać. Domingo pojechał do Salamanki, tam bawił lal osiem, niewiele czasu poświęcając studiom. Ojcowskie wsparcie ledwie starczało na stancję dzieloną z innymi studentami i na skapę jadła: tyle aby nie szczeznąć z głodu.

Jeszcze po

latach raczył swych kamratów po gospodach opowieściami

o niedolach tamtych czasów i przebiegłych sposobach napełniania pustej kieszeni. Bieda nie przeszkadzała mu wszak używać życia. Giętki język, czarujące wzięcie, dobra piosenka otwierały mu wstęp do każdej wesołej kompanii. Choć dwa lata przepędzone z wędrownymi komediantami nie uczyniły z niego może wytrawnego aktora, to nauczyły go innych, bardziej przydatnych rzeczy.

Wiedział, jak ogrywać w karty

i kości. Gdy do Salamanki na studia zjeżdżał majątny młodzieniec, Domingo zaraz wchodził z nim w zażyłość. Był mu nauczycielem i przewodnikiem po zakamarkach miasta i rzadko się zdarzało, by bogatszy o doświadczenia młodzik nie wychodził z tych nauk z bardzo nadszarpniętą kabzą. Domingo w tamtych czasach był gładkim kawalerem i nie szczędził swych wdzięków niewiastom. Ze nie były pierwszej młodości, ale za to bogate, uważał za słuszne, by okazywały szczodrość w zamian za jego fawory.

Czas spędzony wśród komediantów obudził w nim pasję twórczą. Zaczął układać sztuki dla teatru i temu zajęciu poświęcał każdą chwilę wolną od uciech życia. Pióro miał lekkie. Oprócz licznych komedii od czasu do czasu składał zgrabny sonet poświęcony któremuś z obiektów swej popłatnej uwagi bądź rymował wersy na cześć jakiejś znacznej osoby. Te ofiarowywał później adresatowi, licząc na zadośćuczynienie w żywej monecie; właśnie owa smykałka do wierszy stała się przyczyną jego wydalenia z uniwersytetu.

Zdarzyło się, że rektor wydał postanowienie nie po myśli studentów. Kiedy na stole gospody pojawiły się swawolne a sprośne rymy przeciw Jego Magnificencji, przyjęto je z zachwytem.

Już wkrótce krążyły z rąk do rąk. Szeptano, że ułożył je Domingo Perez. On sam, choć zaprzeczał, czynił to z taką radością, jakby potwierdzał pogłoski. Przyjaciele zadbali, by kopie wierszy - a z nimi imię poety - trafiły do rektora. Oryginał zniknął, a wraz z nim podstawa do oskarżenia Dominga.

Przeprowadziwszy ciche dochodzenie, rektor nabrał pewności, że sprawcą obrazy musi być ów rozpustnik. Dość przebiegły, by rozumieć, że otwarcie nie dowiedzie mu winy, wziął się na subtelniejszy sposób. Na jaw wyszło zgorzenie, jakie Domingo siał w Alcali i jakiego nie przestawał

przyczyniać przez osiem lat swawoli w Salamance. Domingo był hazardzistą, co jak wiadomo jest źródłem bezbożności i wszelkiego zepsucia. Znaleźli się świadkowie gotowi przysięgać, że nieprzystojnie bluźnił Bogu. Dwaj z nich mieli nawet słyszeć, jak twierdził, że wierzyć w zasady wiary jest wyłącznie kwestią dobrego wychowania. To wystarczyło, by stał się przedmiotem zainteresowania Świętego Oficjum. Rektor skwapliwie przekazał zdobyte świadectwa szlachetnym inkwizytorom. Święte Oficjum nie miało w zwyczaju działać pochopnie i zanim uderzało w ofiarę, która ani podejrzewała, że jest bacznie obserwowana, wprzódy potajemnie zbierało przekonujące dowody.

Pewnej nocy, gdy Domingo spał głębokim snem, do jego drzwi zapukał alkazil. Dał mu ledwie czas na ubranie się i spakowanie skąpego dobytku, po czym poprowadził go nie do więzienia - przez wzgląd na niższe święcenia podejrzanego Kościół pragnął uniknąć zgorzenia - ale do klasztoru, gdzie zamknięto go w oddzielnej celi. Tam, pod kluczem, odcięty od ludzi, pozbawiony książek, bodaj i świecy rozpraszającej ciemności, odsiedział kilka tygodni, po czym stanął przed obliczem trybunału. I byłoby z nim krucho, gdyby nic pomyślna okoliczność. Los zrządził, że rektor, człek porywczy i próżny, wdał się był w gwałtowny spór z Inkwizytorami na temat predestynacji. Ci, czytając potem wiersze Dominga, zanosili się złośliwym a pełnym ukontentowania śmiechem. Postępki autora nie mogły ujść płazem, ale łącząc sprawied-

liwość z miłosierdziem, słudzy boży mogli wyrządzić obrażonemu rektorowi zniewagę, którą ten chcąc nie chcąc musiał przełknąć. Domingo przyznał się do winy i obiecał poprawę. Za pokutę wysłuchał mszy w klasztorze, za karę wydalono go z Salamanki bez prawa powrotu. Przeląkł się nie na żarty. Uznawszy, że będzie lepiej zniknąć na jakiś czas z Hiszpanii, wybrał żołnierkę we Włoszech, tam spędził kilka lat hazardując się, klnąc na czym świat stoi, ilekroć karta lub kości mu nie sprzyjały, cudzołożąc i tego pijąc. Czterdziestka mu stuknęła, gdy powrócił w rodzinne strony, tak goły, jakim je opuszczał, z paroma bliznami zdobytymi w pijackich burdach, za to bogaty we wspomnienia, które mile skracają chwile nudy.

Ojciec i matka już nie żyli, z całej rodziny pozostały jedynie siostra i siostrzenica, śliczna dziewięcioletnia dziewczynka. Maria z całego przepuszczonego przez męża posagu zdołała ocalić tylko domek, w którym mieszkała. Na życie zarabiała wyszywając w złocie i srebrze wizerunki Jezusa Chrystusa, Przenajświętszej Dziewicy i świętych pańskich. Zdobiła nimi aksamitne feretrony noszone w wielkotypodniowych procesjach, kapy i ornaty służące w czasie mszy świętej. Po dwudziestu latach awanturniczego żywota Domingo uznał, że czas się ustatkować. Siostra, rada mieć w domu mężczyznę, który byłby jej wsparciem i ochroną w potrzebie, zaofiarowała mu dach nad głową. Nasza historia zaczyna się w siedem lat po tym, jak Domingo zamieszkał w jej domu. Nie był jej ciężarem, zarabiał na siebie pisaniem listów niepiśmiennym, oświadczeń sądowych i kazań

księżom zbyt leniwym lub nazbyt tępym, by sami chcieli się nad nimi mozolić. Umiał też nadzwyczaj biegle wywodzić genealogię osób, które chciały wykazać swe szlachetne pochodzenie: dość było dowieść, że przez ostatnie sto lat ród nie splamił się domieszką krwi żydowskiej ani moryskiej. Żyliby nawet w dostatku, gdyby tylko Domingo potrafił zerwać z nagannymi nałogami picia i hazardu. Wiele też wydawał na książki. Gromadził poezje i sztuki teatralne, jako że po powrocie z Italii zabrał się na nowo za pisanie dla sceny. Choć nikt nigdy nie wystawił żadnego z dzieł jego pióra, wystarczało mu do szczęścia, że czytał je podobnym mu birbantom w ulubionej gospodzie. Skoro znów był człowiekiem szanowanym, powrócił do tonsury, jako że w ówczesnej Hiszpanii strzegła ona przed wieloma niebezpieczeństwami życia, i przy-dziewał proste suknie stosowne dla bakalarzy niższego stopnia.

Szczerze pokochawszy wesołą, żywą i ładniutką Katalinę, patrzył, jak wyrasta na piękną dziewczynę z radością niezmaconą męskim pożądaniami. Wziął na siebie obowiązek kształcenia siostrzenicy.

Uczył ją czytać i pisać, nauczył też prawd wiary i z ojcowską dumą uczestniczył w jej Pierwszej Komunii. Poza tym jej edukacja ograniczała się do słuchania wierszy, a kiedy dorosła na tyle, żeby je docenić, do czytania sztuk nowych autorów, zaczynających właśnie zażywać rozgłosu. Domingo nade wszystkich uwielbiał Lopego de Vega, którego miał za największego geniusza, jakiego świat widział.

Przed wypadkiem on i Katalina odgrywali razem ulubione sceny z jego sztuk. Dziewczyna szybko się uczyła i potrafiła recytować z pamięci całe partie. Domingo nie zapomniał, że był kiedyś komediantem, uczył ją więc, jak wydawać rolę, kiedy zachować umiar, a kiedy dać się ponieść porywom nieokiełznanych namiętności. Był już wtedy wychudłym, zniszczonym człowiekiem o siwych włosach i żółtej pobruźdzonej twarzy, ale w jego oczach wciąż płonął ogień, a głos zachował

dawną dźwięczność. Gdy odgrywali jakąś porywającą scenę, mając za całą publiczność Marię, zniknął

gdzieś starzejący się pijaczyna chudogęba, a w jego miejsce pojawiał się młody galant, księżę krwi, kochanek, bohater i kto tylko chcecie. Wypadek z bykiem położył kres tym ucieshom. Katalina przez kilka tygodni nie podnosiła się z łóżka.

Miejscowi medycy użyli całej swej skąpej wiedzy, próbując na powrót tchnąć życie w bezwładną kończynę. Na koniec przyznali, że są bezradni. Bóg tak chciał. Ukochany Diego nie przychodził już nocą pod okno, by wyznawać miłość przez żelazne kraty, aż któregoś dnia matka przyniosła do domu żalobną nowinę - w mieście mówiono, że Diego będzie się żenił z córką Pedro Alvareza. Domingo czytał Katalinie sztuki, chcąc odegnać od niej złe myśli, ale przy scenach miłosnych wybuchała tak gorzkim płaczem, że musiał poniechać i tej przyjemności.

Rozdział trzeci

talina spała twardym snem przez kilka godzin. Obudziły ją dopiero odgłosy matczynej krzątanimy w kuchni. Wsparta na kuli pokuszykała do niej.

- Gdzie wuj Domingo? - Chciała, by i on usłyszał to, co tak spieszo było jej opowiedzieć.

- A jak myślisz? W gospodzie. Jak go znam, wróci na kolację.

Zwykłym obyczajem biedaków jedli ciepły posiłek raz dziennie, w południe, ale dzisiaj od rana nie mieli w ustach nic poza chlebem z czosnkiem. Maria wiedziała, że Domingo będzie głodny. Rozpaliła ogień i zabrała się za przygotowywanie zupy. Katalina nie mogła czekać ani chwili dłużej.

- Matko, ukazała mi się Przenajświętsza Panienka.

- Tak, kochanie - odparła Maria. - Umyj marchewkę i pokrój ją, dobrze?

- Matko, posłuchajcie. Ukazała mi się Przenajświętsza Panienka. Przemówiła do mnie.

- Nie bądź niemądra, dziecko. Widziałam, że spałaś, kiedy wróciłam. Pomyślałam, że nie będę cię budzić. Jeśli miałaś miłe sny, tym lepiej. Ale skoro już się przebudziłaś, pomóż przy kolacji.

- Ale ja nie śniłam. To było zanim usnęłam.

I opowiedziała o nadzwyczajnym zdarzeniu, które się jej przytrafiło.

Maria Perez była w młodości urodziwą niewiastą, ale z wiekiem nabrała tuszy, jak to często bywa u hiszpańskich kobiet. Życie nie szczędziło jej trosk i niedoli. Dwoje dzieci, które przyszyły na świat przed Kataliną, zmarło. Pogodziła się z tym, jak pogodziła się ze zniknięciem męża, uznawszy to za nieszczęścia, które Niebiosa zesłały, by poddać ją próbie, odznaczała się bowiem niezwykle pobożnością, a że naturę miała praktyczną, nie roniła łez nad rozlanym mlekiem. Pocięchą była jej ciężka praca, usługa dla Kościoła, miłość do córki i starania o brata utrapieńca. Z niepokojem słuchała teraz opowieści. Drobiazgowość i mnogość szczegółów sprawiały, że skłonna była dać wiarę, cóż, kiedy wszystko brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie. Znajdowała jedno tylko wytłumaczenie: choroba i utrata ukochanego zmały dziewczynie umysł. Modliła się w kościele, potem usiadła w słońcu, musiało jej się pomieszać w głowie i wyobraziła sobie całą historię tak wyraziście, że w końcu w nią uwierzyła.

- Synem Don Juana de Valero, który najlepiej służy Bogu, jest biskup - powiedziała Katalina, kończąc opowieść.

- Z pewnością - przytaknęła matka. - To święty.

- Wuj Domingo dobrze go znał, w czasach gdy obydwaj byli jeszcze młodzi. Może mnie do niego zaprowadzić.

- Cicho, dziecko, daj mi pomyśleć.

Kościół niechętnym okiem patrzył na tych, którzy utrzymywali, że mają widzenia Jezusa Chrystusa czy Jego Matki i odzęgnywał się od nich całą mocą swego autorytetu. Kilka lat wcześniej wiele zamieszania wywołał pewien franciszkanin, gdy uleczywszy chorego w nadprzyrodzony sposób, przyciągnął do siebie takie rzesze nieszczęśliwych, że w sprawę musiała się wdać Inkwizycja.

Aresztowany, przepadł bez wieści. Karmelitanki z klasztoru, skąd Maria Perez brała hafty do roboty,

szeptaly o mniszce, która obstawała uparcie, że Elias, założyciel klasztoru, pojawił się w jej celi i obdarzył ją szczególnymi łaskami. Dopiero gdy przeorysza kazała ją wychłostać, wyznała, że zmyśliła wszystko, by zwrócić na siebie uwagę. Jeśli mnisi i mniszki cierpieli z racji podobnych świadectw, co czeka nieszczęsną Katalinę? Maria przeraziła się.

- Nie mów nikomu ani słowa - nakazała córce. - Nawet wujowi Domingo. Sama z nim porozmawiam po kolacji, niech radzi, co czynić. A teraz, na Boga, weź się za marchewkę, bo nie będzie kolacji.

Katalina innej czekała odpowiedzi, cóż, kiedy matka kazała jej stulić uszy i siedzieć cicho.

Domingo wrócił niezbyt trzeźwy, ale nie pijany. Humor mu dopisywał, a że należał do ludzi, którzy lubią słuchać samych siebie, toteż w czasie kolacji zaczął rozwodzić się przed Kataliną nad wydarzeniami dnia, co daje nam wreszcie sposobność opowiedzenia czytelnikowi, jak powstało wielkie podniecenie w mieście.

Rozdział czwarty

Don Juan Suarez de Valero był starym chrześcijaninem. Kiedy synowie szlacheckich rodów Hiszpanii żenili się z córkami możnych Żydów, jeszcze zanim Ferdynand i Izabella zjednoczyli królestwa Kastylii i Aragonii, on mógł szczycić się pochodzeniem nie splamionym mezaliansem. Ale też pochodzenie stanowiło cały jego majątek. Posiadał nędzną pięćdziesiąt mil od miasta, koło osady zwanej Valero, i bardziej dla odróżnienia się od innych Suarezów niż dla przydania sobie znaczenia wzorem ojców dodał jej nazwę do własnego nazwiska. Był ubogi, a małżeństwo z córką zacnej rodziny z Castel Rodriguez nie polepszyło jego kondycji. Rok w rok przez dziewięć kolejnych lat Doña Violante rodziła mężowi potomka, ale tylko trójka, sami synowie, dożyła wieku męskiego: Blasco, Manuel i Marcin.

Blasco, najstarszy, który od wczesnych lat przejawiał oznaki niepospolitego umysłu i - szczęśliwie - wielkiej pobożności, został przeznaczony do stanu duchownego. Gdy osiągnął stosowny wiek, wysłano go do seminarium w Alcalá de Henares, poczem ustaloną koleją rzeczy wstąpił na uniwersytet. Tytuły magistra sztuk wyzwolonych i doktora teologii uzyskał jeszcze młodzikiem i było jasne, że zajdzie wysoko w hierarchii świeckiego duchowieństwa. Już czyniono mu obietnice wysokich stanowisk, gdy oświadczył niespodziewanie, że

pragnie usunąć się od świata i poświęcić życie studiom, modlitwie i medytacjom, co rzekłszy wstąpił do zakonu dominikanów. Przyjaciele usiłowali odwieść go od tego zamiaru, jako że reguła była tu surowa, z mszami o północy, zakazem spożywania mięsa, częstymi umartwieniami, długimi postami i wymogiem milczenia. Perswazje nie odniosły skutku. Blasco de Valero został mnichem. Jego talenty były wszak zbyt wielkie, by mogły ująć uwagi superiorów, kiedy więc odkryto, że oprócz miłej powierzchowności i rozległej wiedzy posiada głos mocny i melodyjny, a przy tym odznacza się żarliwą wymową, zaczęto go posyłać tam i sam, by wygłaszał kazania; wszak z polecenia papieża Innocentego III święty Dominik kazał do heretyków i odtąd dominikanie słynęli jako misjonarze i kaznodzieje. Zdarzyło się, że został posłany do Alcalá de Henares. Cieszył się już wtedy znaczną reputacją, przeto całe miasto zbiegło się ciekawe go wysłuchać. Używając całego swego kunsztu,

wskazywał tłumom konieczność życia w cnocie i wierze, wypalenia do cna wszelkiej herezji.

Grzmiąc, nawoływał, by nikt, komu droga własna dusza i kto żyje w bojaźni Świętego Oficjum, nie tuił podejrzeń, tam gdzie mogło rodzić się domniemanie grzechu i zbrodni odstępstwa. Straszonymi słowami zasiewał w sercach przekonanie o powinności świadczenia sąsiada przeciw sąsiadowi, syna przeciw ojcu, męża przeciw żonie i żony przeciw mężowi swemu, jako że żadne więzy naturalne nie mogą rozgrzeszać dzieci Kościoła, które pobłażają złu, co jest zagrożeniem dla państwa i obrażą Boga. Kazanie wywarło pożądaną skutek. Posypały się donosy. Trzech nowych chrześcijan, oskarżonych o wykrawanie tłuszczu z mięsa i zmienianie bielizny przed szabasem, spłonęło na stosie, wielu skazano na dożywotnie więzienie i przepadek mienia, wielu wychłostano albo obłożono wysokimi grzywnami, innych ukarano w inny jeszcze sposób.

Potęga jego wymowy tak głębokie wywarła wrażenie na władzach uniwersytetu, że wkrótce został powołany na katedrę

teologii. Opierał się, powiadając, że niegodzien jest podobnych zaszczytów, nalegał, by zwolniono go od przyjęcia takiego wyniesienia, ale superiorzy zakonu przyjąć mu je nakazali i musiał usłuchać.

Wypełniał chlubnie i pokornie nowe obowiązki, a jego wykłady cieszyły się takim wzięciem, że choć głośił je w największej sali uniwersytetu, nie mogła ona pomieścić wszystkich chętnych. Jego sława osiągnęła szczyty i po kilku latach - w trzydziestym siódmym roku życia

- uczyniono go Inkwizytorem Świętego Oficjum w Walencji. Chociaż szczerze przekonany, że nie jest go godzien,

przyjął nowe stanowisko bez zbędnych sprzeciwów. Do portu w Walencji często zawijały obce okręty: angielskie, holenderskie, francuskie. Wśród ich załóg było wielu protestantów, oni też stanowili przedmiot szczególnej czujności Inkwizycji, zwłaszcza gdy usiłowali wwozić do kraju zakazane książki

- hiszpański przekład Biblii czy heretyckie dzieła Erazma. Blasco de Valero rozumiał, jak użyteczny może być tutaj

jego trud. Było też w Walencji i jej okolicach wielu Morysków, co prawda siłą nawróconych na wiarę chrześcijańską, ale każdy wiedział, że dla większości wychrzczenie niewiele znaczyło i że nadal trwają przy swoim obyczajach. Nie jedli wieprzowiny, w domu nosili zakazane suknie, odmawiali spożywania padłych zwierząt.

Inkwizycja, wspierana autorytetem Korony, zdołała wytepić judaizm i chociaż wciąż jeszcze podejrzliwym okiem spoglądano na nowych chrześcijan, Święte Oficjum coraz rzadziej znajdowało powody, by ich prześladować. Z Moryskami sprawa miała się inaczej. Niezwykle przedsiębiorczy, opanowali nie tylko rolnictwo, ale i cały handel. Hiszpanie, zbyt leniwi i dumni, by żyć z pracy rąk, woleli oddawać się uciechom, zaś Moryskowie rośli w bogactwo, a że mieli w łądzwiach wielką płodność, to rośli też w liczbę. Przezorni przepowiadali, że niedługo przyjdzie czekać, jak przejmą całe

bogactwo kraju i rozmnożą się nad rodowitych synów tej ziemi. Jakże naturalną była zatem obawa, że sięgną po władzę, czyniąc Hiszpanów swymi powolnymi sługami. Koniecznie i za wszelką cenę trzeba było się ich pozbyć. Rozważano różne sposoby. A to wydać ich w ręce Inkwizycji, osądzić za herezję, spalić większość, resztę czyniąc niegroźną, a to, mniejszym nakładem starań, deportować.

Cóż, kiedy Korona obawiała się, że Maurowie, siedzący w krajach Maghrebu po drugiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej, zbyt się umocnią dzięki kilkuset tysiącom hardych i zaradnych wygnańców.

Wreszcie padła godna uwagi propozycja: pod pozorem wyprawienia ich do Afryki, wsadzić wszystkich na niezdatne do żeglugi okręty i zatopić na pełnym morzu.

Nikommu chyba bardziej rzecz nie leżała na sercu niż bratu Blasco de Valero i może najświetniejszym kazaniem, jakie wygłosił za swojego pobytu w Alcalá de Henares, było to, w którym zalecał przeniesć Morysków na Nową Funlandię, wcześniej wykastrować wszystkich mężczyzn, młodych i starych bez różnicy, i tym sposobem doprowadzić do rychłej zatyry onego ludu. Kto wie, czy nie temu właśnie kazaniu zawdzięczał zaszczytne stanowisko Inkwizytora w tak znaczącym mieście jak Walencja.

Brat Blasco przystąpił do pełnienia nowych obowiązków z umacnianą żarliwymi modłami wiarą, że oto Niebiosa dały mu sposobność dokonania wielkiego dzieła, które przyniesie zaszczyt Świętemu Oficjum na większą chwałę bożą. Wiedział, że niełatwo przyjdzie stawić czoło wiązanym korzyściom: Moryskowie, wasale wielkich panów hiszpańskich, płacili im daninę w pieniądzu, naturze i posłudze, ci zaś dawali im w zamian ochronę. Mnich, że nie zwykł chylić karku przed możnymi tego świata, powziął postanowienie, że nie pozwoli nikomu, choćby najznacznieszemu, stawać na drodze świętej powinności. Ledwie w kilka tygodni po przybyciu do Walencji

doszło do niego, że wielki pan, Don Hernando de Belmonte, książę Terranova, przeszkodził

wysłannikom Świętego Oficjum w aresztowaniu bogatych wasali, którzy wbrew prawu nosili się po morysku i zażywali łaźni. Brat Blasco nakazał księcia pojmać, nałożył nań karę tysiąca dukatów i na dożywocie zamknął w klasztorze. Na wieść o tym, jak śmiało uderzył w wielkiego możnowładcę, zadrżały najbardziej harde serca, kiedy jednak okazało się, że Inkwizytor zamierza wytępić Morysków, rajcy miejscy zgodnie stanęli za nimi, przekonując, że od nich zależy pomyślność prowincji. Dał niefortunnym wstawiennikom ostrą odprawę, pod groźbą ekskomuniki wymusił

posłuszeństwo i pokorne przeprosiny. Wkrótce karami i konfiskatami dopiął swego, przywodząc Morysków do niedoli i ubóstwa. Jego szpiedzy byli wszędzie i nieszczęsny był każdy Hiszpan, świecki czy duchowny, który czynem lub słowem ściągnął na siebie podejrzenia. W swoich kazaniach Blasco nie przestawał nawoływać ludu Walencji do donoszenia na tych, co w porywie gniewu czy z przyrodzonej ciemnoty niebaczenie wypowiedzieli bezmyślne zdanie. Miasto żyło w ciągłym strachu.

Będąc człowiekiem prawdziwie sprawiedliwym, baczył pilnie, by kara odpowiadała występkom. I tak oto, choć jako teolog potępiał pozamałżeńskie obcowanie cielesne, uznane za grzech śmiertelny, jako Inkwizytor wkraczał tam tylko, gdzie cudzołężnicy przeczyli, jakoby dopuścili się grzechu głównego.

Takich skazywał na sto batogów. Z drugiej strony za heretyckie twierdzenie, iż stan małżeński jest równie dobry jak celibat, nakładał tylko karę grzywny. Był też człowiekiem miłosiernym. Nie śmierci odstępcy pragnął, lecz zbawienia jego duszy. Zdarzyło się, że aresztowano pewnego Anglika, kapitana okrętu. Gdy ten wyznał, że należy do kościoła reformowanego, zatrzymano jego okręt, skonfiskowano ładunek. Torturowano go, aż złamany na duchu wyrzekł się swej wiary i przyrzekł być odtąd katolikiem; wówczas z ulgą

w sercu skazał go na ledwie dziesięć lat galer i dożywotnie uwięzienie. Dwa czy trzy podobne przykłady niech świadczą

o jego miłosiernej naturze. Kiedy raz pewnego penitent zmarł po wymierzeniu mu dwustu batogów, zaczął surowo przestrzegać zasady ograniczania chłosty do stu cięć. Kiedy przychodziło do torturowania ciężarnej kobiety, nakazywał zwlekać aż do rozwiązania. Jego czułem sercu raczej niż poszanowaniu prawa trzeba zawdzięczać, iż pilnie zważał, by tortury nie spowodowały trwałego kalectwa bądź uszkodzenia kości, a jeśli już się zdarzyło, że podsądny Inkwizycji zmarł w trakcie badania, nikt nie żałował go równie gorzko.

Brat Blasco sprawował swój urząd w sposób ze wszech miar podziwu godny. W ciągu dziesięciu lat celebrował trzydzieści siedem autodafe, w których ukarano prawie sześciuset odstępców, a ponad siedemdziesięciu spalono faktycznie lub *per procura*, wszystko w służbie Boga i dla zbudowania maluczkich. Człowiek mniejszej niż on pokory uznałby ostatnią z tych ceremonii za ukoronowanie swoich dążeń, jako że odbyła się ona na cześć królewskiego syna, księcia Filipa. Przygotowana z niezwykłą pieczołowitością uroczystość sprawiła królewskiemu gościowi tak ogromną radość, iż przesłał on biskupowi w darze dwieście dukatów oraz list, w którym wieszował budującego widowiska

i zachęcał do dalszych wysiłków w służbie bożej, dla chwały Świętego Oficjum i pomyślności Korony. Oddanie i pobożność Inkwizytora musiały wywrzeć na królewskim synu głębokie wrażenie; gdy niedługo potem zmarł Filip II i książę wstąpił na tron, nie zwłócząc uczynił Blasco de Valero biskupem Segowii.

Przyjął tę godność dopiero po nocy, kiedy to klęcząc zmagając się z Panem, po czym opuścił Walencję pośród lamentów zarówno możnych, jak maluczkich. Wielcy tego świata podziwiali go za jego żarliwość, surowe życie i niepokalaną uczciwość, biedni ubóstwiali za dobroczynność. Otrzymywał godziwą zapłatę za służbę Inkwizycji, a i kanonia

Malagi, do której był przypisany, dawała *znaczny* dochód; on oddawał każdy grosz potrzebującym.

Skarbiec Świętego Oficjum zasilany przypadłe majątności kacerzy i grzywny nakładane na grzeszników. Tak pozyskane pieniądze przeznaczano na rozliczne wydatki instytucji, nierzadko przecież zdarzało się, iż Inkwizytorzy zatrzymywali dla siebie sowite sumy. Nawet tak święty człowiek jak Torquemada zgromadził tym sposobem olbrzymią fortunę, którą obrócił na budowę klasztoru Świętego Tomasza z Akwinu w Avila oraz na rozbudowę konwentu Santa Cruz w Segowii.

Lecz Blasco de Valero obce były podobne praktyki. Opuścił Walencję tak ubogi, jakim tu przybył.

Nie wdziawał nigdy nic innego jak tylko prosty habit swojego zakonu, nigdy nie kosztował mięsa, nie nosił bielizny, ani w dzień ani do spoczynku, regularnie się umartwiał, niekiedy z taką surowością, że krew tryskała na ściany. Przekonanie o jego świętości było tak powszechne, że kiedy musiał już zmienić stary habit na nowy, ludzie odkupowali od jego sług skrawki znoszonej materii, wierząc że będą ich chroniły, niczym amulet, od ospy wietrznej i czarnej. Przed jego wyjazdem kilku dostojników odważyło się prosić, by, kiedy już Wszechmogący wezwie go do siebie, przypadł im w udziale przywilej złożenia jego doczesnych szczątków w mieście, gdzie tak owocnie wypełniał swe służby. Tu nadmienili, że wpływy, jakie mają w Rzymie, pozwolą im uzyskać jeśli nie akt kanonizacji, to bodaj beatyfikację świątobliwej osoby. Miasto poczytywałoby sobie za wielki zaszczyt, gdyby jego szczątki spoczęły w tutejszej katedrze. Brat Blasco, odgadując ich zamiary, zdecydowanie odmówił

proście.

Rozdział piaty

Pozostali synowie Don Juana de Valero nie odznaczyli się w równym stopniu.

Średni, Manuel, był o kilka lat młodszy od brata, i choć trudno go nazwać głupim, nie dorównywał mu ani darami umysłu, ani pracowitością. Bardziej zajmowały go ćwiczenia ciała niż zdobywanie wiedzy.

Wyrósł na chwackiego młodzieńca odznaczającego się tężyzną fizyczną i nadzwyczaj dobrym mniemaniem o własnej osobie. Rzutki, odważny, ambitny, zapalony myśliwy, umiał ujeździć konia, którego nikt nie potrafił okiełznać, od wczesnej młodości brał udział w walkach byków i jako dorosły człowiek nigdy nie ominął sposobności, by wskoczyć na arenę i zmierzyć się z groźnym zwierzęciem.

Gdy miał lat szesnaście, pozwolono mu stanąć konno przeciw bykowi; ku zachwytowi publiczności położył go jednym ciosem piki. Wcześniej postawił na żołnierkę, jako że w owych czasach w Hiszpanii, jeśli ktoś nie przywdziawał szat duchownych, była to jedyna droga do stanowisk. Choć biedny, Don Juan de Valero cieszył się wielkim poważaniem. Traf zdarzył, że pewien szlachcic z Castel Rodriguez był dalekim krewnym księcia Alva. Za jego sprawą pewnego pięknego dnia młody Manuel wyruszył szukać szczęścia z listem polecającym w kieszeni. Stał przed obliczem wielkiego pana w dogodnym

momencie. Książę, wygnany ze dworu, żył w areszcie domowym, zamknięty w swoim zamku w Uzeda. Ujęło go dworne obejście młodzieńca, który szukał u niego protekcji, kiedy on sam popadł w niełaskę. Gdy niedługo potem Filip II przywrócił go do stanowisk, powierzając dowództwo w wojnie z Portugalią, wziął Manuela do swej świty. Książę odniósł zwycięstwo nad królem Don Antoniem, wygnał go z królestwa, zdobył wielkie skarby Lizbony i pozwolił swoim żołnierzom splądrować miasto. Manuel dzielnie sprawił się w bitwie, a kiedy dano hasło do grabieży, przywłaszczył sobie wiele kosztowności, które wnet zamienił na brzęczącą monetę. Stary Alva stał już nad grobem, a że młodzieńcowi spieszo było do wojennych zaszczytów, książę dał mu list polecający do jednego ze swych dawnych kapitanów, który służył pod nim kiedyś w Niderlandach, a teraz wojował u Aleksandra Farnese.

Przez dwadzieścia lat Manuel mężnie bił się o Północne Prowincje. Dowiódł nie tylko odwagi, ale także sprytu, i piął się w górę najpierw służąc pod Aleksandrem Farnese, zaś po jego śmierci pod wodzą generałów, którzy przyszli po nim. Nieustraszony choć okrutny, równie posłuszny jak brutalny, krok po kroku zdobywał kolejne awanse. Szybko pojął, że w służbie ojczyźnie człowiek nie otrzyma nic podług zasług, póki sam się nie upomni o należne mu nagrody, co też czynił bez zbędnych obiekcji. I tak, plądrując zdobyte miasta, wymuszając kontrybucje z okolic pod jego administracją, świadcząc wreszcie płatne przysługi, zgromadził pokaźny majątek. Mógł teraz stawiać żądania, które trudno było lekceważyć. Otrzymał Order Calatravy i dumnie obnosił jego zieloną wstęgę. Dwa lata później uczyniono go hrabią San Constanzo w królestwie Neapolu, z prawem do swobodnego dysponowania tytułem. Było zwyczajem królów Hiszpanii w ten przemyślny sposób nagradzać zasłużonych poddanych. Ci mogli potem odsprzedawać nominacje aspirującemu do szlachectwa bogatemu pospólstwu, i tym oto sposobem Korona okazywała wdzięczność przelewając pieniądze do ich sakiewek bez uszczerbku dla królewskiej szkatuły. Jako że rycerz Calatravy dobrze ulokował swoje pieniądze, nie musiał sprzedawać tytułu. Był wielokroć ranny, ostatnio tak poważnie, że gdyby nie silna konstytucja ciała, pewnie by nie przeżył. To przesądziło o jego odejściu z królewskiej służby. Pewny swej pozycji i majątku postanowił wrócić w rodzinne strony i tam wżenić się w stary arystokratyczny ród. W razie powodzenia planu, w które ani wątpił, myślał zamieszkać w Madrycie, gdzie, z pomocą przyrodzonej energii i zmysłu do intryg, mógłby wreszcie zaspokoić swe nienasycone ambicje. Kto wie, gdyby dobrze rozegrał karty, pozyskał przychylność, a nawet przyjaźń właściwych ludzi, może w końcu osiągnąłby wyżyny? Miał lat czterdzieści, męską postać, śmiałe oko, piękny wąs, butną postawę i gibki język.

Rozdział szósty

O trzecim synu, Marcinie, jeszcze mniej godzi się mówić. Każdy ród ma swoją czarną owcę i rodzina Don Juana de Valero nie była wyjątkiem. Marcin, najmłodszy z braci, ostatnie dziecko Doñi Violante, nie odznaczał się ani płomiennym zapałem, który wyniósł Blasco de Valero do wielkich zaszczytów w hierarchii Kościoła, ani ambicją i przebiegłością, które przyniosły majątek i sławę Don Manuelowi.

Wystarczało mu, że może uprawiać nędzny spłachetek ziemi, której plon pozwalał przeżyć matce i ojcu. Ustawiczne wojny i magnetyczna siła, z jaką młodych i złaknionych przygód pociągała w owych czasach Ameryka, pozbawiała Hiszpanię rąk do pracy. Mądrych i zapobiegliwych Morysków i dawniej mieszkało w tym regionie niewielu, a i tych, z nielicznymi wyjątkami, wygnano w ostatnich latach. Doña Violante próbowała przetłumaczyć mężowi, że to nie najgorszy los mieć syna silnego, sprawnego, chętnego każdej pracy, ale Don Juan nie przestawał sarkać, mocno rozczarowany Marcinem.

Jednak naprawdę gorzkie rozczarowanie nastąpiło dopiero wtedy, gdy w dwudziestym trzecim roku życia Marcin ożenił się poniżej swego stanu. Prawda, jego żona wywodziła się ze starych chrześcijan

- istniały przekonujące dowody, że od czterech pokoleń w rodzinie nie było domieszki krwi żydowskiej ani moryskiej - ale jej ojciec był tylko piekarzem. Consuela, jedynaczka, dziedziczyła wszystko, nie zmieniało to jednak faktu, że Marcin wziął za żonę córkę rzemieślnika. Minęło kilka lat, Consuela urodziła czwórkę dzieci i wtedy na Don Juana spadł kolejny cios. Piekarz umarł, Don Juan odetchnął

z ulgą, można było wreszcie sprzedać piekarnię i usunąć piętno niegodnego zajęcia. Cóż, kiedy nie zdążono jeszcze pochować jak należy nieboszczyka piekarza, gdy Marcin oświadczył rodzicom, że myśli przenieść się do miasta i samemu poprowadzić interes. Nie mogli uwierzyć własnym uszom.

Don Juan miotał gromy, Dona Violante szlochała. Syn tłumaczył, że jeśli ostatnimi laty żyli dostatniej niż przedtem, to dzięki- posagowi, jaki wniosła mu Consuela; teraz i ten przejedli, a on ma czworo dzieci i nie widzi racji, dla których nie miałby mieć następnej czwórki. Niewiele było pieniędzy w Hiszpanii; to, co mógł dostać za piekarnię, starczyłoby ledwie na kilka lat, potem czekałby ich głód.

Wysunął śmieszny doprawdy argument, że pieczenie chleba nie bardziej uwłacza człowiekowi niż oranie pola czy wyciskanie oliwek.

Zamieszkał z rodziną nad sklepem. Wstawał na długo przed świtem, piekł chleb, potem jechał w pole i tam pracował do zmierzchu. Wiodło mu się dobrze, bo dobry był jego chleb, i po roku czy dwóch najął parobka do gospodarstwa. Nie było jednak dnia, żeby nie odwiedził rodziców. Rzadko przyjeżdżał z pustymi rękoma. Jadali teraz mięso codziennie, jeśli tylko Kościół dozwalał. Powoli niedołąźnieli i Don Juan nie mógł zaprzeczyć, że gościeńce przywożone przez Marcina były im ulgą i pociechą na stare lata. Chociaż w mieście dziwiono się, że syn Don Juana de Valero tak się spospolitował, a ulicznicy wołali za nim *panadero*, *panadero*, co znaczy piekarz, piekarz, dobry charakter i spokojna pewność, że nie uczynił nic osobliwego, w końcu udobruchały wszystkich.

Szczodry, nic pozwolił, by biedak, który zapukał do jego drzwi po prośbie,

odszedł kiedy bez bochna świeżego chleba. Był pobożny, chodził co niedzielę do kościoła, spowiadał

się cztery razy do roku. Liczył sobie teraz trzydzieści cztery lata. Krzepki, zażywny, korpulentny, lubił

dobre jadło i dobre wino, twarz miał szczerą, rumianą, spojrzenie pogodne i szczęśliwe.

- Zaczny z niego człowiek - mówiono w mieście. - Niezbyt rozgarnięty i bez wielkiej ogłady, ale dobry i uczciwy.

Był miły w obejściu, lubił zarty i kiedy już lżej mu się żyło, szanowani mieszczanie często zachodzili na pogawędkę do jego sklepu, który stał się zwykłym miejscem spotkań.

Szczęśliwym obrotem rzeczy to on wziął na siebie staranie o rodziców; brat Blasco ani razu w ciągu dwudziestu lat, od kiedy opuścił dom rodzinny, nie przysłał im pieniędzy, bo wszystko, co miał, oddawał ubogim, Don Manuel nigdy nic nie przysłał, bo nie myślał, że ktoś może uczynić z jego pieniędzy lepszy użytek niż on sam. Tak to na starość mogli liczyć tylko na Marcina. Nadał wstydzieli się go i nie przestawali utyskiwać, że wiedzie marny żywot. On zaś ku ich wiecznej irytacji zdawał się całkiem zadowolony ze swojego losu. Jego gminną żonę traktowali z wyniosłą uprzejmością, przekonani, że tego wymaga od nich szacunek dla samych siebie, kochali wnuki, ale prawdziwą miłość zachowywali dla dwóch starszych synów, którzy przynosili zaszczyt i chlubę rodowemu nazwisku.

Nietrudno sobie wyobrazić, z jaką radością Don Juan i Dona Violante wyglądali spotkania z nimi po latach rozłąki. Brat Blasco słał im czasem listy, ale że ani Don Juan, ani jego syn piekarz nie byli biegli w piórze, ani dowierzali, że zdołają wyrazić myśl z wykwintem należnym uczonemu Kościoła, przeto prosili Domingo Pereza, by odpowiadał na listy, co ten czynił ku obopólnemu zadowoleniu, bo szczycił się wytwornością stylu. Don Manuel napisał raz tylko, kiedy zabiegając o order Calatravy musiał przedłożyć dowody nieskazitelnego pochodzenia. I tym razem odwołano się do usług Dominga. Ten sporządził potwierdzone przez rajców drzewo genealogiczne, w którym wykazał, że ich ród, wolny od choćby śladu krwi żydowskiej, wiedzie się od Alfonsa VIII, króla Kastylii, który poślubił Eleonorę, córkę króla Anglii, Henryka II.

Okazją do przyjazdu obydwu synów Don Juana było nic tylko odejście Don Manuela ze służb w armii króla jegomości i wyniesienie brata Blasco na stolec biskupi. Był i inny powód - złote wesele rodziców. Bracia uradzili, że spotkają się w małym miasteczku dwadzieścia mil od Castel Rodrigue/, i wspólnie dokonają uroczystego wjazdu. Don Juan rad myślał, iż wspaniałe przyjęcie, które im gotowano, będzie zadość

uczynieniem za niesławę, jaką okrył rodzinę biedny Marcin. Nie mógł wszak dać gościny synom w chylącym się ku ziemi domostwie, uradzono zatem, że biskup stanie w klasztorze dominikanów, zaś ochmistrz księcia Castel Rodríguez prosił Don Manuela, by pod nieobecność pana zamieszkał w książęcym pałacu.

Nadszedł wielki dzień. Panowie szlachta wyjechali konno, rajcy i duchowieństwo na mułach, za nimi Don Juan, Doña Violante i Marcin z rodziną w powozie użyczonym przez kogoś z możnych. W oddali widać już było niecierpliwie oczekiwanych przybyszów, jak zbliżają się gościńcem pośród obłoków kurzu. Biskup, w dominikańskim habicie, na mule, obok Don Manuel na bojowym rumaku, we wspaniałej zbroi ze złotym damaskiną. Za nimi dwóch sekretarzy biskupa, jak on dominikanów, dalej jego słudzy i wreszcie służba kapitana w pysznych liberjach.

Po powitaniach i wysłuchaniu kwiecistych oracji biskup zapytał o matkę i ojca, którzy dotąd trzymali się skromnie z tyłu. Teraz postąpili do przodu. Doña Violante chciała klękać i całować pierścień, ale biskup ku zachwytowi obecnych powstrzymał ją, po czym wziął w ramiona i ucałował w oba policzki.

Rozpląkała się, a świadkowie tej sceny tak się wzruszyli, że niejednemu popłynęły łzy z oczu. Biskup ucałował następnie ojca, kiedy zaś staruszkowie zaczęli witać się z drugim synem, zapytał o Marcina.

- *El panadero* - krzyknął ktoś. - Piekarz!

Marcin z żoną i dziećmi przecisnął się przez tłum. Wszyscy mieli na sobie odświętne stroje i wesoly, rumiany, korpulentny piekarz prezentował się całkiem godnie. Biskup przywitał go serdecznie, Manuel z niejaką powściągliwością. Consuela i dzieci przyklękły ucałować biskupi pierścień, Blasco łaskawie wieszował Marciniowi licznego i zdrowo wyglądają-

cego potomstwa. Wiedział o jego małżeństwie i narodzinach dzieci z listów Don Juana, ale ojciec

nigdy nie odważył się wspomnieć, jakie Marcin obrał sobie zajęcie. Rodzice obserwowali spotkanie braci z lękiem w sercu. Prawda musiała wyjść na jaw, a z całej duszy pragnęli, by nic nie zmąciło radosnej chwili. Długo się wadzono, kto pojedzie z prawej, kto zaś z lewej strony obok dwóch znakomitych synów miasta i choć nie rozsądzono sporów, orszak wreszcie uformował się i dokonano wspaniałego wjazdu. Kiedy minęli bramę, rozdzwoniły się dzwony, wystrzeliły ku niebu race, trębacze zadęli w trąby, dobosze uderzyli w bębny. Tłumy na ulicach wiwatowały i klaskały. Goście skierowali się ku kolegiacie, gdzie mieli wysłuchać *Te Deum*.

Po mszy przyszedł czas na ucztę. Gospodarze skrzętnie odnotowali w pamięci, że choć był dzień świąteczny, biskup nie tknął ani mięsa, ani wina. Kiedy biesiada dobiegła końca, świątobliwy mnich oznajmił, że pragnie spędzić kilka chwil sam na sam z najbliższą rodziną. Marcin poszedł po matkę, która czekała u niego w domu. Za powrotem zastali Blasco sam na sam z ojcem, ale ledwie weszli, pojawił się i Don Manuel, nasrożony, z pociemniałymi od gniewu oczami.

- Bracie - rzekł do biskupa - czy wiesz, że ten tu Marcin, syn szlachcica starego i znakomitego rodu, jest cukiernikiem?

Don Juan i jego żona podskoczyli strwożeni, ale biskup tylko się uśmiechnął.

- Nie cukiernikiem, bracie. Piekarzem.

- Chcesz powiedzieć, żeś wiedział?

- Wiedziałem od lat. Choć służba Kościołowi nie pozwalała mi zaopiekować się rodzicami, jak bym tego pragnął, czuwałem nad nimi z dala i nieustannie modliłem się za nich. Przeor tutejszego klasztoru słał mi wieści o tym, jak żyją.

- Jakżeś więc mógł dopuścić, by ściągnął taką hańbę na rodzinę?

- Nasz brat Marcin jest dzielnym i pobożnym człowiekiem. Szczodrze wspomaga biednych i cieszy się w mieście powszechnym szacunkiem. Otoczył rodziców na stare lata troskliwą opieką. Trudno go winić, że postąpił tak, jak los zrządził.

- Jestem żołnierzem, bracie, i honor przedkładam nad życie. To, co się stało, niweczy me zamiary.

- Bardzo wątpię.

- Skąd możesz wiedzieć? - wybuchnął Don Manuel. - Nie znasz moich zamiarów.

Cień uśmiechu przemknął po surowym obliczu biskupa.

- Nie znasz zbyt dobrze świata - odparł - jeśli nie wiesz, że nic nie uchowa się przed sługami.

Zapomniałeś, że w drodze spędziliśmy dwa dni pod jednym dachem. Doszło do mych uszu, że przybywasz tu nie tylko po to, by spełnić synowski obowiązek, ale też by szukać sobie żony pośród miejscowych szlachcianek. Nie bacząc na zajęcie, jakie obrał nasz brat, z tytułem, który łaskawie nadał ci Jego Wysokość i pieniędzmi, które zdobyłeś w jego służbie, powinieneś łatwo dopiąć celu.

Marcin słuchał ich rozmowy bez śladu zawstydzenia. Na jego pogodnej twarzy malowało się nawet coś, co przypominało uśmiech.

- Nie zapominaj, Manuelu - odezwał się - że Domingo Perez wywodzi nasz ród od królów Kastylii i Anglii. Powinno to coś znaczyć dla rodziny, którą zaszczycisz prośbą o rękę córki domu. Mówił mi Domingo, że jeden z królów Anglii piekł ciastka, może więc nie jest hańbą dla potomka królów piec chleb, zwłaszcza gdy wszyscy zgodnie ci poświadczą, że to najlepszy chleb w mieście.

- Kim jest ten Domingo Perez? - zapytał nadąsany wojak.

- Człowiek kształcony i poeta - odparł Marcin na to niełatwe pytanie.

- Pamiętam go - rzekł biskup. - Byliśmy w tym samym seminarium.

Don Manuel potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową i natarł na ojca:

- Czemuś pozwolił mu okryć niesławą nasz ród?

- Nie pochwalałem tego. Robiłem, co w mej mocy, żeby go powstrzymać.

Don Manuel zwrócił się teraz rozszokowany do brata:

- Śmiałeś sprzeciwić się życzeniom ojca, które powinny być dla ciebie rozkazem? Podaj mi bodaj jeden powód, dla którego tak się spospolitowałeś, za nic mając przyzwoitość, żeś został piekarzem.

- Głód.

Słowo grzmotnęło niczym sterta kamieni walących się na podłogę. Don Manuel zdusił okrzyk gniewu i niesmaku. Na wargach biskupa ponownie zaigrał leciutki uśmiech. Nawet święci zachowują w duszy coś ludzkiego, a po dwóch dniach, które spędzili razem, Blasco doszedł do przekonania, że nie żywi szczególnej miłości do brata wojaka. Czynił sobie wyrzuty z tego powodu. Mimo całe swoje chrześcijańskie miłosierdzie nie mógł dojrzeć w Don Manuelu więcej niż zadufka i nieokrzesanego gbura.

Szczęściem rodzinne spotkanie zostało przerwane. Nadeszła pora na walki byków. Dostojni goście zasiedli na honorowych miejscach. Municipium nie poskąpiło pieniędzy; zwierzęta były przednie, a widowisko godne wielkiego dnia. Późnym wieczorem biskup w towarzystwie mnichów udał się do klasztoru dominikanów, a Don Manuel na swoją kwaterę. Po domach i gospodach opowiadano sobie jeszcze długo w noc o podniecającym dniu, zaś Domingo Perez trafił wreszcie do domku swojej siostry.

Rozdział ósmy

Po kolacji, jak zwykle, Domingo zamknął się w swojej izbie. Maria słyszała z dołu, jak czyta na głos, biorąc dramatyczne tony. Poszła na górę, zapukała do drzwi i choć nie doczekała się odpowiedzi, wkroczyła do środka. W małej izdebce nie było nic poza łóżkiem, skrzynią na ubrania, stołem, krzesłem i pełną książek półką. Książki zalegały na stole, piętrzyły się na podłodze i na skrzyni. Na

nie zasłanym łóżku poniewierał się byle jak rzucony kaftan. Maria z westchnieniem spojrzała na stół zarzucony papierami, na stertę manuskryptów w kącie - bałagan, z którym nigdy nie mogła się uporać.

Brat nadal zawzięcie deklamował, nie zwracając na nią żadnej uwagi.

- Muszę z tobą mówić - rzekła.

- Nie przeszkadzaj, kobieto. Posłuchaj wspaniałych wersów największego geniusza naszych czasów.

I wrócił do swoich ukochanych strof. Maria tupnęła nogą.

- Odłóż książkę, Domingo. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Idź precz. Co może być ważniejszego niż boska inspiracja feniksa epoki, niezrównanego Lopego de Vega?

- Nie wyjdę, póki mnie nie wysłuchasz. Domingo odrzucił książkę zniecierpliwionym gestem.

- Mów, co masz powiedzieć, i opuść mą izbę. Opowiedziała mu historię zasłyszaną od Kataliny, jak to ukazała się jej Maryja i rzekła, że jest w mocy biskupa, syna Don Juana, uleczyć jej ułomność.

- To sen, nieszczęsna kobieto - rzekł, kiedy skończyła.

- I ja tak powiedziałam, ale ona upiera się, że nie śniła. Nie sposób jej przetłumaczyć.

Domingo był poruszony.

- Zejdę z tobą na dół, niech sama mi opowie tę historię. Po raz drugi Katalina powtórzyła, co się wydarzyło.

Domingo milczał, patrzył tylko bacznie, jakby chciał mieć pewność, czy dziewczyna wierzy w słowa, które wypowiada.

- Skąd wiesz, że ci się to nie śniło, dziecko?

- Jak mogłabym usnąć o tak ранней godzinie? Dopiero co wyszłam z kościoła. Płakałam, kiedy wróciłam do domu, cała chusteczka była mokra od łez. Jakże we śnie ocierałabym oczy? Słyszałam, jak biły dzwony, gdy biskup i Don Manuel wjeżdżali do miasta. Słyszałam trąby i bębny, i okrzyki ludzi.

- Szatan potrafi na wiele sposobów mieć tych, którzy nie mają się na baczności. Nawet Matka Teresa od Dzieciątka Jezus, założycielka klasztorów, długo się lękała, czy jej wizje nie są zesłane przez diabła ułudą.

- Jakże czart mógłby przemawiać do mnie z taką słodyczą i miłością jak Nasza Panienka?

- Czart jest dobrym komediantem - uśmiechnął się Domingo. - Kiedy Lope de Rueda złościł się na swoich aktorów, powiadał, że oddałby ich dusze co do jednej diabłu za zapłatę, gdyby ten tylko zgodził się zagrać dla niego. Posłuchaj, moja gołąbeczko. Wiadomo, że bardzo pobożne osoby otrzymują łaskę widzenia Naszego Pana i Przenajświętszej Dziewicy, ale nie inaczej jak w nagrodę za modły, posty, umartwienia i życie w służbie bożej. Co takiego uczyniłaś, żeby otrzymać to, co innym dane jest po latach wyrzeczeń?

- Nic - odparła Katalina. - Ale jestem biedna i nieszczęśliwa, modliłam się do Maryi, żeby mnie wspomogła, i ulitowała się nade mną.

Domingo milczał przez chwilę. Katalina obstawała przy swoim, a on lękał się o nią, myśląc, że dziewczyna nie wie, na jakie wystawia się niebezpieczeństwo.

- Nasz Kościół nie zwykł pobłażać tym, którzy mówią, że obcują z duchami niebieskimi. Pełno w Hiszpanii takich, co rozprawiają wokół o swoich nadprzyrodzonych darach. Są między nimi biedne, zwodzone istoty, które szczerze wierzą w to, co mówią, inni to szachraje szukający rozgłosu bądź

pieniędzy, słusznie zatem, że Święte Oficjum ma na nich baczenie, bo sieją niepokój między prostaczkami i przywodzą ich do herezji. Inkwizytorzy karzą ich więzieniem, chłostą, skazują na galery albo i na stos. Zaklinam cię przez miłość do nas, nikomu nie mów słowa z tego, coś nam tu opowiedziała.

- Ale wuju, kochany wuju, moje szczęście od tego zależy. Wszyscy wiedzą, że w całym królestwie nie ma człowieka bardziej świętego niż biskup i że nawet skrawki jego szaty mają cudowną moc. Jak mogę milczeć, kiedy sama Matka Boska rzekła mi, że on mnie uleczy z niemocy, która zabrała mi miłość Diega?

- Nie tylko o ciebie idzie. Jeśli Święte Oficjum zacznie dochodzić prawdy, to i moje przewiny wyjdą znowu na wierzch. Inkwizycja jest pamiętliwa. Niech wtrąca nas do więzienia, trzeba będzie sprzedać dom, żeby płacić za wikt, a matka pójdzie na ulicę żebrac o kawałek chleba. Przrzeknij mi, że nie powiesz nikomu słowa, póki nie uradzimy, co czynić dalej.

Na twarzy Dominga malowało się takie przerażenie, taka obawa, że Katalina przystała.

- Dobrze, przrzekam.

- Dobrze z ciebie dziecko. Niech cię teraz matka zaprowadzi do łóżka, bośmy wszyscy zmęczeni po takim dniu.

Ucałował ją i ruszył do siebie, ale jeszcze ze schodów zawołał na siostrę.

- Daj jej na przeczyszczenie - szepnął. - Jak poruszą się kiszki, będzie spokojniejsza. Może jutro jej przetłumaczymy, że to wszystko było tylko nieszczęsnym snem.

Rozdział dziewiąty

Przeczyszczenie nie pomogło. Katalina ciągle obstawała, że na własne oczy widziała

Przenajświętszą Panią i że z nią rozmawiała, a tak wiernie opisywała jej szaty, że matka nie mogła się nadziwić.

Następnego dnia wypadał piątek, dzień konfesji. Maria od lat spowiadała się u ojca Vergary, w którego przychylności i mądrości ufała bez zastrzeżeń. Kiedy otrzymała już rozgrzeszenie, opowiedziała mu osobliwą historię Kataliny, a i wiele z tego, co powiedział Domingo.

- Twój brat okazał powściągliwość i roztropność, co mu się chwali tym więcej, że trudno po nim oczekiwać podobnych zalet. Trzeba działać rozważnie, bez pośpiechu, unikając zgorszenia. Przykaż córce surowo, by z nikim nie mówiła o swoim widzeniu. Pomyślę, a jeśli będzie trzeba, poszukam zwierzchniej rady.

Spowiednik Marii spowiadał też od lat jej córkę i znał, jak tylko spowiednik może znać swoich penitentów, te proste, szczerze, bogobojne dusze, których nawet Domingo nie zdołał sprowadzić na złą drogę i odmienić ich przyrodzonej prawości. Katalina była rozsądną dziewczyną, miała głowę na karku. Choć nie pogodziła się ze swoją ułomnością, to przecież zносиła ją dzielnie. Była naturą zbyt otwartą, by wymyślić podobną historię z niskich pobudek i miała zbyt przyziemne, w co wierzył głęboko, usposobienie, by wyimaginować sobie podobne duchowe przeżycie. Ojciec Vergara, dominikanin z klasztoru, w którym stanął biskup, skromny, nie wykształcony człowiek, poruszony do głębi opowieścią Marii, poczuł się w obowiązku powtórzyć ją przeorowi. Ten po namyśle przyszedł do przekonania, że należy rzecz omówić z biskupem, posłał doń zatem nowicjusza z zapytaniem, czy on sam i ojciec Vergara mogą stawić się przed jego obliczem w sprawie, kto wie, wielkiej może wagi. Nowicjusz wrócił z wiadomością, iż biskup ich czeka.

Oddano mu najlepszą celę w klasztorze, przedzieloną arkadą na dwie części, jedna służyła za alkowę, w drugiej było oratorium. Mnisi zastali go przy dyktowaniu listów. Przeor wyjaśnił, co ich sprowadza, po czym pozwolił ojcu Vergara wiernie powtórzyć słowa penitentki. Spowiednik zaczął od tego, jak dobre i pobożne są obydwie kobiety i jak czyste ich życie, po czym opisał wypadek, który sprawił, że biedna Katalina utraciła władzę w nodze i adoratora, wreszcie powtórzył historię, jak to ukazała się jej Niepokalana Dziewica i powiedziała, że biskup może uleczyć jej kalectwo. Dodał jeszcze po namyśle, że wuj dziewczyny, Domingo Perez, wymógł na niej obietnicę dochowania sekretu, dopóki rzecz nie zostanie rozważona. Nie skończył jeszcze, a już twarz biskupa oblekła się taką surowością, że spociał

się jak mysz i głos zaczął mu się łamać. Zapadła cisza.

- Znam tego Dominga - odezwał się biskup po chwili. - To człowiek, który wiódł nędzny żywot i nikt, komu drogie jest zbawienie własnej duszy, nie powinien się z nim zadawać. Ale nie jest głupcem.

Kiedy wymusił na siostrzenicy przyrzeczenie milczenia, postąpił roztropnie. Ty jesteś spowiednikiem tego dziecka, ojcze? - Mnich przytaknął. - Posłuchaj mnie zatem i nie dawaj jej rozgrzeszenia, póki nie przyrzeknie, że zachowa całe wydarzenie dla siebie.

Biedny ojczulek spoglądał na biskupa w zupełnym pomieszaniu. Czyż nie uważano go powszechnie za świętego? Ojciec Vergara sądził, że taki człowiek z radością powita sposobność dokazania swych cudownych mocy nie tylko dla większej chwały bożej, ale i dla przywiedzenia do skrucy kroci

grzeszników. Oczy biskupa spoglądały zimno, jakby hamował gniew tylko siłą woli.

- A teraz, jeśli dozwolicie, powrócę do swych zajęć - rzekł, po czym zwrócił się do sekretarza: -

Przeczytaj ostatnie zdanie, które ci podyktowałem.

Mnisi wycofali się bez zbędnych słów.

- Czemu okazał rozdrażnienie? - zapytał ojciec Vergara, gdy wyszli.

- Nie powinniśmy byli rozmawiać z nim o tym. To moja wina. Uraziliśmy jego pokorę. Nie wie, jak bardzo jest święty i sądzi, że nie jest godzien dokonać cudu.

Tłumaczenie zdawało się rozsądne, a że dowodziło tylko wielkich cnót biskupa, ojciec Vergara bez zwłoki powtórzył wszystko innym mnichom. Wkrótce wrzało w całym klasztorze. Jedni wychwalali skromność świątobliwego męża, inni żalowali, że nie skorzystał z okazji, by uczynić coś, co powiększyłoby jego sławę i przyczyniło chwały zakonowi.

Tymczasem opowieść dotarła w inne rejony. Kościół, w którym modliła się Katalina, i z którego, jeśli wierzyć jej słowom, wyszła Przenajświętsza Dziewica, należał, jak już wspomnieliśmy, do klasztoru Karmelitanek. Klasztor był to bogaty i przez lata całe przeorysza dawała Marii Perez pracę, po części z miłosierdzia, po części zaś dla jej zręczności w żmudnym i niełatwym rzemiośle hafciarskim. Stąd Maria była w zażyłości z mniszkami, a jako że reguła zakonu należała do łagodnych, korzystały one ze swobody i zdarzało się, że któraś zachodziła do niej na wspólny posiłek i pogawędkę. W dwa czy trzy dni po spowiedzi Maria odwiedziła

klasztor i po załatwieniu swych spraw wdała się w rozmowę z zaprzyjaźnioną mniszką. Zaklinając ją, by dochowała sekretu, opowiedziała o dziwnym przeżyciu córki. Dla głodnych plotek, wiodących pobożne i jednostajne życie siostrzyczek podobna opowieść stanowiła nie lada wydarzenie. Nie minęła doba, a powtarzał ją już cały klasztor. Na koniec nowina doszła uszu przeoryszy. Ponieważ pani ta odegra niepoślednią rolę w naszej opowieści, musimy zatem w tym miejscu, ryzykując nawet, że zanudzimy czytelnika, opowiedzieć jej historię.

Rozdział dziesiąty

Beatriz Henriquez y Braganza, nosząca imię zakonne Beatriz de San Domingo, była jedyną córką księcia Castel Rodriguez, granda Hiszpanii i rycerza orderu Złotego Runa, człowieka mającego wielkie majątki i wielką władzę, który sprawując ważne urzędy w Hiszpanii i Italii potrafił zdobyć i zachować konfidencję ponurego, podejrzliwego Filipa II. W obydwu krajach posiadał znaczne włości i choć obowiązki zmuszały go do ciągłych podróży, nic nie było mu miłsze niż przepędzać czas z żoną i dziećmi - -a miał trzech synów i córkę - w rodzinnym mieście, gdzie powietrze było bal-samiczne, widoki zaś piękne. Stąd wiódł się jego ród i tutaj, po tym jak jeden z jego przodków odparł

atak oblegających miasto Maurów, po raz pierwszy wslawiło się ich imię. Nie znalazłby tu znamienitszego rodu nad książąt Castel Rodriguez, tu też żyli niczym królewęża. Szlachetni antenaci

księcia wchodzili w świetne koligacje, był przeto spokrewniony z największymi panami Hiszpanii.

Kiedy jego córka Beatriz skończyła lat trzynaście, począł się rozglądać za odpowiednią dla niej partią.

Po głębokim namyśle wybór padł na jedynego syna księcia Anteguera, potomka z nieprawego łoża Ferdynanda Aragońskiego. Książę Castel Rodriguez dawał córce wspaniały posag i rzecz zdawała się być przesądzona. Młodzi

zaręczyli się, ale że chłopiec liczył sobie lat ledwie piętnaście, postanowiono poczekać ze ślubem stosownego wieku. Beatriz wolno było widywać się z przyszłym mężem nie inaczej jak w obecności rodziców, wujów, ciotek i różnych pociotków. Był to młodzian krępy, równy jej wzrostem, ze strzechą czarnych włosów, zadartym nosem i obwisłymi wargami. Nie lubiła go od pierwszej chwili, ale że wiedziała, iż protesty na nic się nie zdadzą, poprzestała na strojeniu przed nim min, na co on odpowiadał wywalając język.

Po zaręczynach książę wysłał ją dla ukończenia edukacji do klasztoru Karmelitanek w Avila, gdzie przeoryszą była jego siostra. Dziewczyna rada była odmianie. Za towarzyszkę miała inne dziewczęta, córki szlacheckie w podobnej jej własnej kondycji oraz wysoko urodzone damy, które z różnych powodów wybrały życie klasztorne, nie podlegając wszak jego rygorom. Reguła karmelitanek należała do łagodnych i choć część mniszek oddawała się modlitwie i kontemplacji, wiele z nich, bez uszczerbku dla świętych powinności, zażywało swobody, pozostając czasami i po kilka tygodni poza klasztorem, w domach krewnych i przyjaciół. Rozmównica zawsze pełna była wizytujących, kobiet i mężczyzn, pędzono beztroskie życie, swatano młodych, dyskutowano przebieg batalii wojennych, powtarzano sobie plotki. Ta spokojna, nie przynosząca nikomu krzywdy egzystencja, z jej skromnymi urozmaicheniami, wyznaczała niezbyt wytężoną drogę do wiecznej szczęśliwości.

W wieku lat szesnastu Beatriz zabrano z klasztoru. Wróciła z matką do Castel Rodriguez. Księżna niedomagała i medycy zalecili jej klimat łagodniejszy od madryckiego. Książę, zajęty sprawami państwa, musiał, jakkolwiek niechętnie, pozostać w stolicy. Zbliżał się czas, kiedy małżeństwo Beatriz mogło dojść do skutku i rodzice uznali, że najwyższa pora, by zapoznała się z obowiązkami wielkiej pani. Przez następne

miesiące księżna wpajała jej reguły dwornego życia, których nie mogła przyswoić sobie u karmelitanek. Beatriz wyrosła na wysoką, bardzo piękną pannę o gładkiej, nie tkniętej ospą cerze, klasycznych rysach i smukłej sylwetce. Hiszpanie miłowali się co prawda w obfitszych niż jej kształtach i bywało, że składające uszanowanie księżnej damy lamentowały nad chudością dziewczyny. Dumna matka odpowiadała, że małżeństwo wkrótce usunie ten defekt.

Beatriz była w tamtych czasach wesoła, kochała tańce, miała nieokiełznany temperament. Psotna i samowolna, rozpieszczona, przyzwyczajona zawsze stawiać na swoim, już wtedy odznaczała się władcym usposobieniem. Od najmłodszych lat wiedziała, jak świetna pozycja jest jej przeznaczona i że świat będzie posłuszny jej kaprysom. Spowiednik Beatriz, niemało poruszony ową potrzebą władania, próbował rozmawiać z matką, ale księżna chłodno zbyła jego przestrogi.

- Moja córka urodziła się, by władać, ojczy - odrzekła. - Nie możecie oczekiwać od niej pokory

praczki. Jeśli jest nazbyt dumna, maź ją utemperuje, ile będzie miał charakter, a nie będzie go miał, to jej poczucie tege, co jest jej należne, i dla niego okaże się pożyteczne.

W klasztorze Beatriz rozmiłowała się w romansach rycerskich krążących wśród dam rezydentek i choć mniszka opiekująca się uczennicami zabraniała ich czytania, to przecież czasami udało się jej rzucić okiem na zakazaną lekturę. Po powrocie do Castel Rodriguez natrafiła w pałacu na więcej podobnych opowieści, a że matka często niedomagala, a duenna zajęta była sobą, pochłaniała je namiętnie i bez sprzeciwów z niczyjej strony. Pobudzona wyobraźnia sprawiała, że spoglądała ze wstrętem na przyszłe małżeństwo z młodzieńcem, który przedstawiał się jej oczom nie wyrośniętym czarno-brewym hołyszem. Świadoma aż nadto własnej urody, w czasie mszy łowiła każde zachwycone spojrzenie, jakie stali jej miejscowi galanci. Zbierali się na schodach, by popatrzeć, jak wychodzi z kościoła, i choć szła ze skromnie spuszczonej oczami u boku księżnej, gdy za nimi postępowało dwóch pacholków w liberii z aksamitnymi poduszkami do klęczenia, pewna wywoływanego podniecenia łowiła kątem ucha komplementy, które młodzieńcy hiszpańską manierą rzucali, kiedy ich mijała. Chociaż nigdy na nich nie spoglądała, znała ich wszystkich z widzenia, a wkrótce poznała też i ich imiona, wiedziała, z jakich rodzin pochodzą, znała wszystkie fakty, jakich tylko wywiedzieć się mogła. Raz czy dwa któryś ze śmiałków odważył się śpiewać serenady pod oknami pałacu, ale słudzy z rozkazu księżnej wnet go przepędzili. Znalazłszy raz list na swojej poduszce, odgadła, że ktoś musiał przekupić jedną z jej panien służących, by go podrzuciła. List otworzyła, przeczytała dwukrotnie, podarła na drobne kawałki i spaliła w płomieniu świecy. Był to pierwszy i jedyny list miłosny w całym jej życiu. Brakowało pod nim podpisu, nie wiedziała nawet, od kogo pochodził.

Słabująca księżna uznała, że dość, jeśli będzie chodziła do kościoła jedynie w niedziele i święta, ale Beatriz w towarzystwie duenny każdego ranka uczestniczyła w mszy świętej. O tak wczesnej porze kościół zazwyczaj był pusty, tylko pewien młody seminarzysta pojawiał się zawsze; wysoki, chudy, o wyrazistych rysach i namiętnych oczach. Czasami, kiedy krążyły z duenną po mieście niosąc miłosierdzie potrzebującym, mijała go na ulicy.

- Kto to? - zapytała, gdy zobaczyła go pewnego razu zmierzającego powoli w ich kierunku ze wzrokiem zatopionym w książce.

- To? Nikt. Najstarszy syn Juana Suarez de Valero. *Hidalguia de guiterra*.

Co da się przetłumaczyć jako „szlachta rysztocka”, obraźliwe określenie odnoszące się do szlachetnie urodzonych.

którzy nie mieli środków, by żyć odpowiednio do swojego stanu. Duenna, wdowa chlubiąca się dalekim pokrewieństwem z księciem, kobieta dumna, bogobojna, surowa i pozbawiona grosza, spędziła w Castel Rodriguez całe życie. Kiedy Beatriz opuściła klasztor, książe uczynił z niej towarzyszkę córki. Wiedziała wszystko o wszystkich w mieście i mimo swej pobożności nie wzdragała się źle mówić o bliźnich.

- Co tu robi o tej porze roku? - dopytywała się Beatriz. Duenna wzruszyła chudymi ramionami.

- W seminarium zapadł na zdrowiu z przepracowania. Lękano się o jego życie i wysłano do domu dla

nabrania sił, co się też stało z bożą pomocą. Powiadają, że jest bardzo utalentowany. Jego rodzice zapewne czekają, iż z łaski księcia, twojego ojca, dostanie beneficjum.

Beatriz nie rzekła nic więcej.

Po czym z powodów, których medycy nie umieli odkryć, straciła apetyt i humor. Zniknęły rumieńce, pobjadła, stała się apatyczna, często płakała. Ona, której wesołość, miła przekora i ciągłe figle ożywiały ponure mury dostojnego pałacu, teraz chodziła osowiała i przygnębiona. Księżna nie wiedziała, co czynić. Zdjęta lękiem o życie drogiego dziecka napisała do męża, nalegając by przyjechał i by wspólnie uradzili, jak postępować. Gdy przybył, wstrząsnęły nim zaszły w córce zmiany. Wychudła, pod oczami pojawiły się cienie. Postanowili, że powinna czym prędzej iść za męża.

Kiedy Beatriz usłyszała, co myślą rodzice, dostała ataku hysterii. Przerażeni jeszcze bardziej, zarzucili temat. Zaczęto aplikować medykamenty, pojono oślim mlekiem i byczą krwią, lecz choć łykała wszystko posłusznie, nic nie pomagało. Była jak przedtem, mizerna i smutna. Czynili, co w ich mocy, by ją czymś zająć. Najmowano muzyków, żeby dla niej grali, zabierano na pobożne przedstawienia do kolegiaty, prowadzano na walki byków. Ciągłe niedomagania. Duenna bardzo się troskała o swoją podopieczną, a że Beatriz nie bawiły już ulubione niegdyś romanse, jedynym, co potrafiła wymyślić dla rozerwania chorej panny, było opowiadanie plotek krążących po mieście. Beatriz słuchała uprzejmie, ale obojętnie. Razu pewnego duenna napomknęła, że najstarszy syn Juana Suarez de Valero wstąpił do zakonu dominikanów i dalej rozprawiała o tym i o owym, kiedy nagle Beatriz zemdliała. Duenna wezwała pomocy. Beatriz położono do łóżka.

W dzień czy dwa później, kiedy poczuła się odrobinę lepiej, poprosiła o pozwolenie pójścia do spowiedzi. Przez kilka tygodni wymawiała się od konfesjonału, powiadając, że nie jest dość silna i spowiednik księżnej, który i ją spowiadał, sam przyznawał, że lepiej nie nalegać. Teraz oboje rodzice próbowali odwieść ją od raptownego postanowienia, ale tak się napierała, tak gorzko płakała, że w końcu ustąpili. Zaprzęgnięto wielką, paradną karocę i Beatriz z duenną pojechały do kościoła dominikanów. Po powrocie wyglądała trochę lepiej niż w ostatnich tygodniach. Na białych policzkach pojawił się słaby rumieniec, piękne oczy zabłyśły. Klękawszy u stóp ojca, poprosiła o zgodę na wstąpienie do klasztoru. Słuchał wstrząśnięty, nie tylko dlatego, że nie chciał oddawać Kościołowi swojej jedynaczki; rozwiewały się widoki świetnej paranteli. Że był jednak człowiekiem łagodnym i pobożnym, odpowiedział bez gniewu, iż nie chce nic przedsięwziąć w pośpiechu, tym bardziej, gdy córka cierpi na zdrowiu. Odparła na to, że rozmawiała ze spowiednikiem i że ten całym sercem przychylił się do jej planów.

- Ojciec Garcia jest bez wątpienia zacnym i świętobliwym człowiekiem - odparł książę wzdragając się

- ale jego posłannictwo nie pozwala mu zapewne dojrzeć, jak wielkie obowiązki łączą się ze szlacheńskim urodzeniem i wysoka, pozycja. Pomówię z nim jutro.

Następnego dnia mnich został wezwany do książęcego

pałacu i przyprowadzony przed oblicze księcia i księżnej. Wiedząc aż nadto dobrze, że nie zdradzi

słowem, co zwierzyła mu Beatriz przy konfesjonale, nie zamierzali dochodzić, jakie też podała powody budzącego ich sprzeciw kroku. Rzekli tylko, że choć zawsze wypełniała nakazy Kościoła, jest lekkomyślna, rozmiłowana w rozrywkach i nigdy nie objawiała dyspozycji do życia duchownego.

Opowiedzieli mu o świetnych planach małżeńskich, o kłopotach i despekcie, jakie przyniesie zerwanie zaręczyn, wreszcie, z całym szacunkiem dla zakonnej sukienki, dali do zrozumienia, jak nierozważnie uczynił, że poparł jej życzenie, mające bez wątpienia źródło w tajemniczej chorobie.

Była młoda, miała silny organizm, można zatem przypuszczać, że wraz z powrotem do zdrowia odmieni zdanie. Dominikanin, dziwnie głuchy na wszelkie perswazje, utrzymywał, że życzenie Beatriz było zbyt silne, by stawać mu na drodze i że jej powołanie jest prawdziwe. Posunął się nawet do powiedzenia dostojnym osobom, iż nie mają prawa powstrzymywać córki przed podjęciem kroku, który przyniesie jej spokój na tym świecie i szczęście na tamtym. Była to pierwsza z wielu dyskusji.

Beatriz trwała nieporuszenie w swoim postanowieniu, a spowiednik wspierał ją wszelkimi argumentami, jakie znajdował na jego poparcie. Wreszcie ksiązę przystał; jeśli po upływie trzech miesięcy nadal będzie pragnęła wstąpić do klasztoru, wyrazi zgodę.

Od tej chwili zaczęła powracać do zdrowia. Trzy miesiące minęły, Beatriz wstąpiła jako postulanka do Zgromadzenia Karmelitanek w Avila. Wystrojoną w adamaszki, aksamity i klejnoty odprowadziła do klasztoru rodzina i orszak szlacheckich kawalerów. Pożegnała się z nimi wesoło i zniknęła za klasztorną furta.

Ksiązę miał jednak własne plany. Na większą chwałę bożą - i sobie przysparzając zaszczytu -

postanowił ufundować klasztor w Castel Rodriguez. Tutaj jego córka przeniesie się zaraz po zakończeniu nowicjatu, tu we właściwym czasie zostanie przeoryszą. Wśród ziem posiadanych w mieście wybrał odpowiednie miejsce. Pobudował piękny kościół, klasztor, założył ogrody. Zatrudnił

najlepszego architekta, jakiego mógł znaleźć, najbieglejszych rzeźbiarzy, najzdolniejszych malarzy, a gdy wszystko już było gotowe, Beatriz, znana teraz jako Doña Beatriz od świętego Dominika, zjechała do miasta z mniszkami z Avila wybranymi dla ich cnót, zalet umysłu i urodzenia, ksiązę uznał

bowiem, że tylko panny szlacheckich rodów mogą być odpowiednimi towarzyszkami dla jego córki.

Wybrano przeorysę, która miała ustąpić Beatriz miejsce i tytuł, gdy ta osiągnie wiek odpowiedni do zaszczytu. Pod naciskiem księcia do klasztoru wstąpiła też duenna, by pó powrocie jego córki z Avila połączyć się z byłą podopieczną. Ojciec Garcia odprawił mszę, w tabernakulum umieszczono Święty Sakrament i mniszki zamieszkały w nowej fundacji.

W czasach, o których opowiada nasza historia, Doña Beatriz od świętego Dominika od wielu już lat była przeoryszą. Cieszyła się szacunkiem mieszkańców Castel Rodriguez oraz podziwem, jeśli nie miłością, swoich mniszek. Zawsze pomna własnej pozycji w świecie, nie zapominała, że i one wywodzą się ze szlacheckich rodów. W refektarzu zasiadały podług pierwszeństwa, a jeśli zdarzały

się swary na ten temat, Doña Beatriz rozstrzygała je jednym zdaniem. Ścisłe przestrzegająca dyscypliny i w przypadkach nieposłuszeństwa nawet najlepiej urodzonej mniszki nie omijała chłosta. Póki nikt się jej nic sprzeciwiał, była łaskawa, nawet pobłażliwa. Klasztor podlegał władzy łagodnego papieża Eugeniusza IV i jeżeli mniszki wypełniały swe powinności religijne, nie widziała powodów pozbawiać ich należnych im przywilejów. Mogły odwiedzać przyjaciółki w mieście i jeśli była po temu dostateczna racja, mogły nawet wizytować krewnych i bawić u nich przez dłuższy czas. Wielu odwiedzających, świeckich i duchownych, bywało w klasztorze, wiele szlacheckich dam, podobnie jak w Avila, mieszkało tu dla przyjemności. Życie upływało pogodnie.

Cisza obowiązywała tylko od ostatniej mszy o północy do jutrzni. Świeckie siostrzyczki trudziły się pracą rąk, pozostawiając mniszkom duchowe powinności i godniejsze zajęcia. Przy całej swobodzie i otwarciu na pokusy świata najmniejszy ślad zgorszenia nie skalał nigdy dobrego imienia tych cnotliwych niewiast. Zgromadzenie zażywało tak świetnej reputacji, że więcej było postulantek, niż przeorysza potrafiła przyjąć. Mogła zatem pozwolić sobie, by między nimi przebierać.

Była kobietą wiecznie zajętą. Oprócz obowiązków duchownych musiała dbać o klasztorne finanse, czuwać nad obyczajnością mniszek, nad ich zdrowiem cielesnym i duchowym. Klasztor miał wiele nadań, w budynkach i ziemi, musiała pilnować faktorów, zliczać czynsze, odwiedzać dzierżawców, doglądać folwarków i zbiorów. Ponieważ reguła dozwalała na posiadanie prywatnych majątkości, książę przepisał na córkę domy w mieście i rozległe wiejskie włości, zaś po jego śmierci odziedziczyła jeszcze więcej. Tak udatnie zarządzała swoimi dobrami, że rok w rok mogła przeznaczać znaczne sumy na biednych. Resztę wydawała na upiększanie kościoła, refektarza i rozmównicy oraz na kaplice w ogrodach, gdzie mniszki mogły medytować w odosobnieniu. Kościół był wspaniały. Naczynia sakralne z czystego złota, monstrancje bogato wysadzone klejnotami, obrazy nad ołtarzami w pysznie rzeźbionych złoconych ramach, figury Zbawiciela i Przenajświętszej Marii Panny odziane w aksamitne kapy haftowane złotem (ręką Marii Perez) w koronach połyskujących szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami.

Dla uczczenia dwudziestolecia swej służby Doña Beatriz wybudowała kaplicę pod wezwaniem św.

Dominika, którego

otaczała specjalną czcią, usłyszawszy zaś od jednej z sióstr, że w Toledo jest pewien Grek, którego obrazy cudownie oddziałują na uczucia wiernych, napisała do księcia, swojego brata, z prośbą o zamówienie ołtarzowego malowidła pędzla pobożnego mistrza. Z natury i nawyku skrupulatna w interesach, podała dokładne wymiary dzieła. Brat odpisał, że król był zamówił u tegoż Greka przedstawienie świętego Maurycego wśród Tebańczyków dla nowego kościoła w Eskurialu, a kiedy malowidło dostarczono, był tak niekontent, że postanowił nie umieszczać obrazu na przeznaczonym dlań miejscu. Uznawszy, że w tych okolicznościach byłoby obrażą zamawiać dzieło u tego samego malarza, książę wysłał jej malaturę sławnego w Italii Lodovica Cardacciego, która szczęśliwym trafem miała stosowne wymiary.

Książę nieboszczyk, ojciec przeoryszy, stawiając klasztor zadbał, by prywatne apartamenty, w których miała zamieszkać po objęciu obowiązków, wytwornością odpowiadały jej pozycji. Z celi, gdzie nikt nie miał dostępu poza siostrzyczkami dbającymi o porządek, wiodły schody na górę do oratorium. Tutaj oddawała się samotnym modłom, stąd sprawowała swój urząd i tu przyjmowała

gości. Było to pomieszczenie surowe acz pełne dostojności. Nad ołtarzykiem, przed którym się modliła, wisiał duży krucyfiks z prawie naturalnej wielkości figurą Chrystusa rzeźbioną w drewnie i tak pięknie polichromowaną, że zdawała się prawdziwa, natomiast nad stołem, przy którym pracowała, umieściła wyobrażenie Assunty pędzla pewnego katalońskiego mistrza. W owym czasie Doña Beatriz liczyła sobie lat ponad czterdzieści; wysoka, chuda, blada, o gładkiej twarzy i ogromnych ciemnych oczach. Wiek wyszlachetnił jej rysy; spokojną, surową urodą przypominała teraz damy z gotyckich sarkofagów. Trzymała się nadzwyczaj prosto, a w jej obejściu było coś władczego. Nikomu nie ulegała i tylko bardzo nielicznych traktowała jak równych sobie. Odznaczała się posępnym, kąśliwym poczuciem humoru i choć często się uśmiechała, był to rodzaj surowego pobjażania, kiedy zaś śmiała się, z rzadka co prawda, miało się uczucie, że czyni to z bólem.

Taka była kobieta, do której uszu doszło, iż Przenajświętsza Paniienka ukazała się Katalinie Perez na stopniach kościoła Karmelitanek.

Rozdział jedenasty

Doña Beatriz nie tylko z talentem zarządzała dobrami i odznaczała się zrozumieniem dla interesów, ale też jako kobieta wielkiego rozumu i rozwagi niechętnie słuchała o wizjach, nawiedzeniach i specjalnych łaskach, których doświadczały jej mniszki. Zakazywała surowych umartwień wykraczających poza przypisane regułą. Nic nie uszło jej uwagi. Gdy tylko któraś z siostrzyczek popadała w zbytnią dewocję, dawano jej na przeczyszczenie, zakazywano nadmiernych postów, a kiedy to nie pomagało, wysyłano nieszczęsną, by odpoczęła kilka tygodni wśród rodziny czy przyjaciół. Doña Beatriz była tak skrupulatna przez pamięć zgorzenia wywołanego niegdyś w klasztorze w Avila przez pewną mniszkę, która utrzymywała, że nawiedza ją Jezus Chrystus, Najświętsza Maria Panna i różni święci, obdarzając ją wszelakimi łaskami. Przeorysza nie wykluczała takiej możliwości, wiadomo bowiem, iż bywają wybrańcy boży, nie zdało się jej wszak podobnym, żeby mniszka Teresa de Cepeda, a nie raz z nią rozmawiała jeszcze za swego pierwszego pobytu w Avila, była kimś innym niż zwykłą histeryczką ulegającą rojeniom chorej wyobraźni.

Nie była też skłonna uwierzyć w prawdziwość osobliwej historii Kataliny, ale że podniecone mniszki nie mówiły

o niczym innym, należało posłać po dziewczynę i wysłuchać relacji z jej własnych ust. Wezwała jedną z siostrzyczek

i poleciła jej sprowadzić młodkę. Nie minęło wiele czasu, jak mniszka wróciła z wiadomością, że Katalina chętnie spełniłaby polecenie Wielebnej Matki, ale spowiednik zakazał jej rozmawiać z kimkolwiek o doznanym przeżyciu. Doña Beatriz, nie nawykła, by ktoś sprzeciwiał się jej woli, zmarszczyła brwi, a gdy marszczyła brwi, cały klasztor drżał.

- Jej matka jest tutaj, Wasza Wielebność - rzekła mniszka łapiąc oddech.

- A cóż mi po niej?

- Słyszała historię z ust dziewczyny zaraz potem, jak ukazała się jej Przenajświętsza Paniienka. Matce ksiądz nie zabronił opowiadać o cudownym zdarzeniu.

Surowy uśmiech pojawił się na bladych ustach przeoryszy.

- Godny zaufania, ale niezbyt przewidujący człowiek. Dobrze się spisałaś, moja córko, chcę widzieć tę kobietę.

Nie posiadającą się z przejęcia Marię Perez sprowadzono do oratorium. Często widywała przeoryszę, ale nigdy jeszcze z nią nie rozmawiała. Doña Beatriz siedziała na wysokim, wyściełanym skórą krześle, którego połączony szczyt ozdobiły kunsztownie odrobione w drewnie liście akantu. W oczach Marii Perez i królowa nie mogłaby wyglądać równie niedostępnie, godnie i dumnie. Uklękła i ucałowała chudą, białą dłoń wyciągniętą w jej stronę. Potem spełniając to, po co ją wezwano, słowo w słowo powtórzyła opowieść Kataliny. Kiedy skończyła, przeorysza lekko skinęła głową.

- Możesz iść.

Przez chwilę rozmyślała, potem usiadła za stołem i napisała list, w którym prosiła biskupa Segowii, by uczynił jej honor i odwiedził ją dla rozmowy o pewnej ważnej sprawie. List zaraz wysłała i w ciągu godziny dostała odpowiedź. Biskup pisał w podobnie formalnym tonie, że będzie dla niego zaszczytem spełnić rozkaz Wielebnej Matki i że stawi się w klasztorze następnego dnia.

Na wieść, że dostojna i święta osoba zaszczyści ich klasztor swoją obecnością, mniszki wpadły w wielkie uniesienie, od razu też doszły do słusznego wniosku, iż jego wizyta musi mieć coś wspólnego z cudownym pojawieniem się Przenajświętszej Pani na schodach ich wspaniałego kościoła.

Przybył po południu, po sjeście, nieodzownej w czas letnich upałów, w towarzystwie swoich sekretarzy i został przyjęty przez subprzeoryszę w rozmównicy. Mniszkom, ku wielkiemu ich rozgoryczeniu, zakazano opuszczać cele. Subprzeorysza ucałowawszy pierścień rzekła, że zaprowadzi go do matki przełożonej. Dwaj sekretarze gotowi byli iść za nimi.

- Wielebna Matka życzy sobie rozmawiać z Waszą Ekszelencją w cztery oczy - oświadczyła pokornie.

Biskup zawahał się przez moment, po czym skinął głową na znak, że zgadza się na taki warunek.

Braciszkanie zostali, on zaś ruszył za mniszką chłodnymi korytarzami i schodami w stronę oratorium.

Doprowadziła go do drzwi, otworzyła i cofnęła się, dając mu przejście. Wszedł do środka. Dona Beatriz wstała na powitanie, potem uklękła i ucałowała pierścień, wreszcie wskazała mu krzesło, poprosiła spocząć, sama też usiadła.

- Czekałam, że Wasza Ekszelencja zechce odwiedzić nasz klasztor - rzekła - ale skoro tak się nie stało, wysłałam zaproszenie.

- Mój nauczyciel teologii w Salamance nakazywał mi trzymać się z dala od kobiet, być dla nich uprzejmym, lecz zachowywać dystans.

Pohamowawszy chęć dania ciętej riposty, która aż cisnęła się na usta, zmierzyla go tylko baczny wzrokiem. Czekał ze spuszczonej oczyma. Nie spieszo jej było przemówić. Po niemal trzydziestu

latach od chwili, gdy go poznała i widziała

go po raz ostatni, teraz dopiero zamienili pierwsze słowa. Nosił stary, połatany habit, golił głowę z wyjątkiem pierścienia ciemnych, ledwie przyprószonych siwizną włosów okalających czaszkę symbolem korony cierniowej. Miał wklęsłe skronie, zapadnięte policzki. Twarz poorana głębokimi bruzdami nosiła ślady cierpienia. Tylko oczy rozświetlone dziwnym blaskiem, ciemne i pełne namiętności, przypominały jej młodego seminarzystę, którego znała wiele lat temu i kochała bez pamięci.

Zaczął się od zbytków. Spostrzegła go po raz pierwszy, kiedy służył do mszy w kościele, do którego chodziła z duenną. Już wtedy chudy, miał ciemne, gęste włosy, z tonsurą niższych święceń, wyraziste rysy, pełne gracji ruchy. Wyglądał jak jeden z tych świętych, którzy obdarzeni powołaniem w dzieciń-

stwie, stawali się przedmiotem powszechnej adoracji, a potem umierali w kwiecie wieku i w pełni urody. Kiedy nie służył do mszy, klęczał w małej kaplicy, pośród nielicznych o tak wczesnej godzinie wiernych. Zatopiony w modlitwie nie odrywał oczu od ołtarza. Beatriz w tamtych czasach była płocha i skora do figłów. Znała straszną moc swoich pięknych oczu. Pomyślała, że będzie dobrym żartem zwrócić uwagę poważnego seminarzysty. Ściągała go wzrokiem, pragnąc, by na nią spojrzął. Całymi dniami wpatrywała się w niego na próżno, aż wreszcie pewnego razu zdało się jej, że utracił zwykły spokój. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak pomyślała, ale była pewna, że tak jest. Czekala wstrzymując oddech. Spojrzal na nią raptem, jakby uslyszal niespodziewany odgłos, a napotkawszy jej wzrok, odwrócił się pospiesznie. Od tego czasu nie rzuciła mu nawet przelotnego spojrzenia, ale dzień czy dwa później, choć miała schyloną jak w modlitwie głowę, poczuła, że spojrzal w jej stronę.

Nie poruszyła się, wiedziała jednak, że patrzy na nią zaskoczony, wzrokiem, jakim nigdy wcześniej nie spoglądał na nikogo. Uczuła dreszcz triumfu, po czym podniosła głowę i z rozmysłem oddała mu spojrzenie. Odwrócił się szybko, jak poprzednio, zdążyła jednak dostrzec rumieniec wstydu na jego twarzy.

Dwa czy trzy razy idąc ulicą z duenną napotkała go nadchodzącego z przeciwka i choć mijał je z odwróconą twarzą, wiedziała, że jest wzburzony. Kiedyś dostrzegłszy je, odwrócił się nawet na pięcie i ruszył w stronę, z której przyszedł. Beatriz zachichotała, a kiedy duenna zaczęła dopytywać się, co też tak ją rozśmieszyło, powiedziała pierwsze kłamstwo, jakie przyszło jej na myśl. Pewnego ranka zdarzyło się, że natknęły się na seminarzystę przy wejściu do kościoła. Chciał się przeżegnać i zanurzał właśnie palce w wodzie święconej. Beatriz dotknęła jego dłoni i z niej wzięła wodę. Był to zwykły w tych czasach gest, przed którym nie mógł się wzbraniać. Pobladł strasznie, ich oczy znowu się spotkały na jedną krótką chwilę, ale Beatriz już wiedziała, że kocha ją ludzką miłością, miłością namiętnego chłopca do pięknej dziewczyny. W tym samym momencie uczuła przejmujący ból w sercu, jakby przeszył je miecz. Zrozumiała, że i ona kocha go tą samą ludzką miłością, miłością namiętnej dziewczyny do urodziwego młodzieńca. Przepęłniło ją uniesienie. Nigdy nie zaznała równie wielkiego szczęścia.

Tego dnia służył do mszy. Nie spuszczała z niego oczu. Serce biło jej mocno, z trudem znosiła podniecenie, lecz ból, jeśli był to ból, przerastał potęgą wszelką znaną jej dotąd radość. Wcześniej

już odkryła, że nieznanne powinności czy zajęcia każą mu o pewnej godzinie każdego dnia przechodzić koło książęcego pałacu, znalazła więc sposób, by siadać o tej porze przy oknie i obserwować ulicę.

Widziała, jak nadchodzi, jak zwalnia kroku, jakby wbrew własnej woli, a potem przyspiesza, zdając się uciekać przed pokusą. Pragnęła, by spojrzeć w górę, ale nigdy nie podniósł na nią oczu. Raz, chcąc się z nim podroczyć, rzuciła mu goździk pod stopy.

Instynktownie podniósł wzrok, a ona cofnęła się szybko, śledząc go z ukrycia. Zatrzymał się, podniósł kwiat. Trzymał go w obydwu dłoniach niczym cenny klejnot, stał tak przez chwilę, jak pogrążony w transie, później gwałtownym ruchem rzucił kwiat na ziemię, wdeptał w pył ulicy i umknął co sił w nogach. Beatriz wybuchnęła śmiechem, a potem nagle zaczęła szlochać.

Kiedy przez kilka kolejnych dni nie pojawił się na mszy, nie potrafiła dłużej kryć niepokoju.

- Co się stało z seminarzystą, który zwykle służył do mszy? - zapytała duennę. - Nie widziałam go ostatnio.

- Skądże mam wiedzieć? Pewnie wrócił do seminarium. Nie ujrzała go już nigdy więcej. Wiedziała teraz, że to, co

zaczęło się komedią, zmieniło się w tragedię i gorzko żałowała własnej płochości. Kochała go z całą namiętnością młodego ciała. Nikt nigdy nie uczynił nic wbrew jej życzeniom i drażniła ją myśl, że coś dzieje się nie podług jej woli. Planowane małżeństwo było małżeństwem z konwenansu, pogodziła się z tym, przyjmując to za rzecz nieodłączną dla jej pozycji w świecie. Miała wypełnić obowiązek, urodzić mężowi dzieci, ale poza tym nie zamierzała poświęcać mu więcej uwagi niż pierwszemu z brzegu pacholce. Teraz myśl o tym, że ma przeżyć życie z gamoniowatym pokurczem, napelniała ją odrazą. Wiedziała, że miłość do młodego Blasco de Valero jest mrzonką. Prawda, że miał tylko niższe święcenia i mógł zostać z nich zwolniony, ale nie uległo żadnej kwestii, że ojciec nigdy nie zgodzi się na podobny mezalians, a i własna duma nie pozwoliłaby jej oddać ręki zagrodowemu szlachetce. A Blasco? Kochał ją, to pewne, ale bardziej Umiłował Boga. Kiedy w złości deptał rzucony z okna kwiat, deptał niegodną namiętność, która go przerażała. Miała straszne, przejmujące lękiem sny, w których spoczywała w jego ramionach, z ustami na jego ustach, piersią przyciśniętą do jego piersi.

Budziła się

zawstydzona, udręczona, zdesperowana. Wtedy też zaczęła zapadać na zdrowiu. Nikt nie potrafił odkryć przyczyny choroby, ale ona rozumiała, co się z nią dzieje. Umierała ze złamanym sercem.

Kiedy usłyszała, że wstąpił do klasztoru, natchnęła ją zbawienna myśl; wiedziała, tak jakby słyszała jego słowa, że w ten sposób usiłował uciec od niej i napawało ją to dziwną radością, poczuciem triumfu. Uczyni to samo. Przywdzieje habit, uwolni się od obietnicy nienawistnego małżeństwa, znajdzie ukojenie w miłości do Boga. Gdzieś w zakamarkach mózgu, nie obleczona nawet w słowa, pojawiła się myśl, że oddzieleni od siebie, każde na swój sposób oddane służbie Najwyższemu,

złączą się w mistycznym związku.

To wszystko, czego opowiedzenie zabrało tyle czasu, przemknęło przez głowę surowej przeoryszy w jednym błysku, jakby rzutem oka obejmowała wielki fresk rozwijający się na ścianie klasztoru.

Namiętność, o której w czasach płochej młodości myślała, że będzie trwała wiecznie, dawno się wypaliła. Czas, zbożna jednostajność klasztornego życia, modlitwa i posty, różnorodne obowiązki związane z zajmowaną pozycją stępiły uczucie, po którym zostało jeno gorzkie wspomnienie.

Spoglądając na zniszczonego, wynędzniałego człowieka o twarzy naznaczonej cierpieniem, zastanawiała się czy pamięta, że niegdyś pokochał wbrew własnej woli, lecz całym sercem, piękną dziewczynę, z którą nigdy nie zamienił słowa, ale która nawiedzała jego sny. Cisza ciążyła biskupowi; niespokojnie poruszył się na krześle.

- Wasza Wielbność rzekła, że ma ważną sprawę, którą chce ze mną omówić - odezwał się.

- Tak, pierwiej jednak niech Ekscelencja dozwoli mi wyrazić radość, że Jego Królewska Mość wyniósł

go na tak godne stanowisko.

- Pozostaje mi tylko ufać, że potrafię godnie wypełniać zaszczytne obowiązki.

- W to nie będzie wątpić nikt, komu znane są oddanie i poświęcenie, z jakim przez dziesięć lat pełniliście urząd w Walencji. Chociaż nasze małe, skryte w górach miasteczko oddalone jest od świata, i tu przecież docierały wieści o surowych cnotach i gorliwej sumienności, z jaką Ekscelencja broni naszej wiary.

Biskup rzucił jej spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Wielcem zobowiązany za grzeczność, pani, ale proszę, zaprzestańcie pochwał. Nie lubię, kiedy ludzie prawią mi podobne słowa. Będę wdzięczny, jeśli powiecie mi nie zwłószcząc dłużej, dla jakiego powodu wezwaliście mnie tutaj.

Przeorysza nie stropiła się jego napomnieniami. Mógł sobie być biskupem, ale jak powiedziała niegdyś jej duenna, niech spoczywa w spokoju, to tylko *hidalgo de gutierra*, szlachetka-chudopacholek, ona zaś jest córką księcia Castel Rodríguez, wielkiego granda Hiszpanii, rycerza Złotego Runa. Jedno jej słowo szepnięte bratu, zausznikowi i faworytowi króla Filipa III, a zostanie wysłany do zapadłej diecezji na Wyspach Kanaryjskich.

- Przykro mi, że obrażam skromność Waszej Ekscelencji - odpowiedziała chłodno - ale to wasza cnota i surowość obyczajów, świętość, niech mi wolno będzie tak rzec, są właśnie przyczyną, dla której prosiłam, byście zaszczylili mnie swoją wizytą. Czy doszła waszych uszu osobliwa eksperjencja dziewczyny zwanej Kataliną Perez?

- Zaiste. Jej spowiednik, człek niechybnie zacny, ale ani uczony, ani bystry, opowiedział mi tę historię.

Zbyłem go. Zabroniłem mnichom w klasztorze wspominać o tym w mojej przytomności, a i rozmawiać między sobą. Dziewczyna albo daje fałszywe świadectwo i szuka rozgłosu, albo mam ją przywidzenia.

- Nie znam jej, señor, ale mówią, że to dobre, roztropne

i pobożne dziecko. Ludzie godni zaufania, którzy ją znają, powiadają, że niezdolna byłaby wymyślić podobnej historii. Jest prawdopodobna i, jak słyszę, nie trzymają się jej fantazje.

- Jeśli miała takie widzenie, jak opowiada, musi być to dzieło Szatana. Powszechnie wiadomo, że demony posiadają moc podszywania się pod niebiańskie istoty i tak przywodzą niebacznych do potępienia.

- To dziecko cierpi od niezасłużonego nieszczęścia. Nie przypisujmy Złemu większej przebiegłości niż posiada. Jakże mógłby być tak głupi, by dopuścić, że jej dusza znajdzie się w niebezpieczeństwie, gdy święty człowiek złoży ręce na jej głowie w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego?

Biskup nie odrywał dotąd oczu od podłogi. Kiedy teraz spojrzął na przeoryszkę, dojrzał w nich udrękę.

- Pani, Lucyfer, syn poranka, został strącony w otchłań za przyczyną swej pychy. Jakże inaczej niż przez pychę ja, niegodny grzesznik, miałbym pragnąć dokonania cudu?

- Przystoi wam zapewne w waszej pokorze spoglądać na samego siebie jako na człowieka grzesznego i niegodnego, panie, ale reszta świata zna aż nadto wasze wielkie cnoty. Posłuchajcie, seflor, historia się rozeszła, całe miasto już o niej rozprawia. Wszyscy wyczekują w podnieceniu. Trzeba dać ludowi zadośćuczynienie.

Biskup westchnął.

- Wiem, że miasto jest wzburzone, przed klasztorem zbiera się ciżba, jakby czegoś czekała, a kiedy muszę wyjść, klękają na mój widok i dopraszają się błogosławieństwa. Jakoś im to trzeba przetłumaczyć.

- Czy Wasza Ekscelencja pozwoli udzielić sobie rady? - spytała przeorysza z szacunkiem, choć w jej oku pojawił się błysk drwiny, odmieniający naturę pytania.

- Będę wdzięczny.

- Nie widziałam dziewczyny, spowiednik zakazał jej roz-

głaszać zdarzenie, ale jest w waszej mocy uchylić ten zakaz. Czy nie wartałoby z nią porozmawiać? Z

waszą przenikliwością, znajomością ludzkiej natury i biegłością, jakiej nabyliście przesłuchując podsądnych Świętego Oficjum, będziecie potrafili szybko dojść, czy jest zwykłą oszustką, czy diabeł

wodzi ją na pokuszenie, czy też naprawdę ukazała się jej Najświętsza Maryja Panna.

Biskup podniósł oczy ku figurze Ukrzyżowanego, przed którą zwykła się modlić przeorysza. Na jego twarzy malował się smutek. Szarpały nim wątpliwości.

- Nie muszę wam przypominać, señor, że ten klasztor jest pod specjalną opieką Matki Boskiej od Karmelu. My, biedne mniszki, bez wątpienia nie jesteśmy tego godne, ale może Maryja darzy szczególnymi łaskami ten kościół, pobudowany dla niej przez mojego ojca, księcia. Nasz dom mógłby się tylko chlubić, gdyby za wstawiennictwem Ekscelencji święta patronka uzdrowiła to biedne dziecko z niemocy.

Biskup na dłuższą chwilę zatopił się w myślach. W końcu ponownie westchnął.

- Gdzie mogę widzieć dziewczynę?

- Czy mogłoby być lepsze miejsce niż kaplica w naszym kościele poświęcona Maryi Pannie?

- Co ma się stać, niech stanie się bez zwłoki. Każcie jej przybyć tu jutro, pani, będę na nią czekał. -

Podniósł się z krzesła, a gdy zegnał przeoryszkę, na jego wargach zadrgał cień smętnego uśmiechu.

- Smutna noc przede mną, Wasza Wielbność. Uklęka i raz jeszcze ucałowała pierścień.

Rozdział dwunasty

Następnego dnia o oznaczonej godzinie biskup w towarzystwie dwóch sekretarzy wszedł do pysznie zdobionego kościoła. Wsparta na kuli Katalina oczekiwała go z jedną z mniszek w kaplicy Mariackiej.

Kiedy się pojawił, siostrzyczka dotknęła jej ramienia. Dziewczyna próbowała uklęknąć, ale powstrzymał ją.

- Zostawcie nas - polecił mniszce, a kiedy ta zniknęła, zwrócił się do swoich sekretarzy: - I wy odejdźcie, ale bądźcie w pobliżu. Chcę sam mówić z dziewczyną.

Wyniknęli się cicho. Biskup patrzył za nimi. Wiedział, że są ciekawi, a nie chciał, by słyszeli rozmowę. Potem spojrzał uważnie na kaleką dziewczynę. Miał miękkie serce i zawsze poruszały go ludzkie nieszczęście, bieda i kalectwo. Katalina drżała, pobleła.

- Nie lękaj się, dziecko - powiedział łagodnie. - Nie masz się czego bać, jeśli powiesz prawdę.

Czyniła wrażenie prostej i niewinnej. Zauważył, że ma ładną buzię. Odnotował to z taką obojętnością, jakby stwierdzał, że koń jest dereszowaty albo jabłkowity. Zaczął od pytań o nią samą. Odpowiadała zrazu zawstydzona, ale w miarę jak wypytywał, nabierała pewności. Miała łagodny, melodyjny głos, wyrażała się składnie. Opowiedziała mu prostą historię

swojego krótkiego życia. Była to historia biednej dziewczyny, historia ciężkiej pracy, niewinnych uciech, modlitw w kościele, miłości, opowiedziana tak naturalnie, tak prawdziwie, że biskup słuchał

w poruszeniu. Nie wierzył, że może fantazjować, by przydać sobie znaczenia. Każde jej słowo tchnęło skromnością i pokorą. Opowiedziała mu o wypadku, o tym, jak odjęto jej władzę w nodze i jak Diego, syn krawca, którego miała poślubić, i którego kochała, opuścił ją.

- Nie winię go - rzekła. - Wasza Miłość nie wie zapewne, że życie biedaków jest ciężkie i że mężczyzna nie chce kobiety, która nie może dla niego pracować.

Czuły uśmiech, jeśli czułość mogła ożywiać pobrużdzone surowym życiem rysy, przemknął przez twarz biskupa.

- Jak to się stało, że nauczyłaś się tak dobrze i rozsądnie przemawiać, moja córko?

- Mój wuj, Domingo Perez, nauczył mnie czytać i pisać. Bardzo się mną opiekował i był mi niczym ojciec.

- Znałem go niegdyś.

Wiedząc aż nazbyt dobrze, jak złą sławą cieszy się jej wuj, Katalina zlekła się, że napomknienie o nim może jej zaszkodzić w oczach świątobliwego człowieka. Zapadła cisza. Katalina myślała, że biskup zakończył posłuchanie.

- Teraz powiedz mi własnymi słowami to, coś rzekła swojej matce - polecił, wpatrując się w nią badawczo.

Jej wahanie przypomniało mu, co nakazał dziewczynie spowiednik, zapewnił więc uroczystym tonem, że uchyła zobowiązanie milczenia.

Powtórzyła wszystko słowo w słowo, jak opowiedziała matce. Mówiła, jak siedziała na schodach i płakała, bo wszyscy w mieście radowali się i tylko ona czuła się nieszczęśliwa, i jak z kościoła wyszła pani, zaczęła z nią rozmawiać i rzekła, że Jego Miłość może ją uleczyć z niemocy, jak zniknęła na jej oczach, ona zaś przyszła potem do

przekonania, że pani była Przenajświętszą Panią we własnej osobie.

Kiedy skończyła, zapadła długa cisza. Biskup był wstrząśnięty, wszak targały nim wątpliwości.

Dziewczyna nie kłamała, tego był pewien, jej niewinność i szczerść nie mogły być udane. Nie mógł

być to sen, bo słyszała bicie dzwonów i dęcie w trąby. Kiedy on z bratem wjeżdżali do miasta, rozmawiała właśnie z obcą panią, przekonana, że jest ona tylko tym, kim się jej przedstawiała. Czy Szatan miałby tyle mocy, by przybrać fałszywą postać, gdy dziewczyna wypłakiwała swoje małe, biedne serce przed Matką Boską, zanosząc do niej błagania o wybawienie z nieszczęścia? Dziewczyna była pobożnym stworzeniem, nie miała w sobie nic chełpliwości. Modlitwy innych są wysłuchane, inni otrzymują pociechę duchową, doznają ozdrowienia. Jeśli odmówi, wzdragając się uczynić to, co wedle wszelkiego podobieństwa powinien uczynić, czy nie dopuści się ciężkiego grzechu poniechania?

- Znak - mrucał do siebie. - Znak.

Postąpił krok w stronę ołtarza, na którym stała figura Matki Boskiej w błękitnym aksamitnym płaszczu gęsto haftowanym złotem i w złotej koronie na głowie. Uklęknął i zaczął modlić się o wsparcie duchowe. Modlił się w zapamiętaniu, ale serce pozostawało nieporuszone, a duszę spowijał

mrok. W końcu podniósł się z ciężkim westchnieniem i stanął z ramionami rozłożonymi w geście suplikacji, utkwivszy pełen desperacji wzrok w łagodnych oczach Maryi. Nagle Katalina krzyknęła przerażona. Dwaj braciszkwowie, chociaż niewidoczni i chociaż nie mogli słyszeć nic z rozmowy, byli w pobliżu i teraz skoczyli do przodu niczym dwa zające. To, co zobaczyli, osadziło ich w miejscu.

Stali z otwartymi ustami, nie mogąc dobyć głosu, niczym żona Lota zamieniona w słup soli. Don Blasco de Valero, biskup Segowii, powoli unosił się w powietrzu, tak powoli, jak spływa olej po nachylonym talerzu, tak

powoli, jak wzbiera prawie niedostrzegalny przypływ rzeki; unosił się, póki jego twarz nie znalazła się na wysokości oblicza posągu górującego nad ołtarzem, na chwilę znieruchomiał w powietrzu niczym sokół z rozpostartymi skrzydłami. Jeden z braciszków, lękając się, że biskup upadnie, wykonał ruch, jakby chciał podbiec do niego, ale drugi, brat Antonio, powstrzymał go. Biskup powoli, powoli, niemal niezauważalnym ruchem opadał, póki jego stopy nie dotknęły na powrót marmurowej posadzki. Opuścił ręce, obrócił się. Dwaj braciszkwowie przypadli do niego, na klęczkach całując kraj habitu, ale on wydawał się niepomny ich obecności. Zszedł po trzech stopniach prowadzących od ołtarza i niczym w transie ruszył do wyjścia z kaplicy. Braciszkwowie postępowali krok za nim, na wypadek gdyby miał się potknąć. Zapomniano o Katalinie. Biskup przystanął u szczytu schodów, na których siedziała dziewczyna, kiedy ukazała się jej Przenajświętsza Panienska. Spojrzał na placyk skąpany w promieniach sierpniowego słońca. Po przesyconym zapachem kadzidła mroku kościoła oślepił go jasny blask bijący z błękitnego, bezchmurnego nieba. Białe domy, z zawartymi przed skwarem okiennicami, wydawały się połyskiwać własnym światłem niby klejnoty. Biskup wzdrygnął

się, chociaż było gorąco jak w piecu. Przyszedł do siebie.

- Czy dziewczyna powiedziała, że będzie czekać wiadomości ode mnie?

Zszedł po schodach, braciszkwowie postępowali za nim w należytej odległości. Przemierzył plac z pochyloną głową, a oni nie śmieli do niego przemówić. Kiedy doszli do klasztoru dominikanów, stanął i odwrócił ku nim.

- Pod groźbą ekskomuniki nie rzekniecie słowa o tym, co dzisiaj widzieliście.

- To cud, senor - odparł ojciec Antonio. - Czy się godzi, żeby taką oznakę boskiej przychylności trzymać w sekrecie przed braćmi?

- Kiedy poszedłeś za swoim powołaniem, mój synu, złożyłeś śluby posłuszeństwa.

Ojciec Antonio był uczniem biskupa, kiedy ten wykładał teologię w Alcalá, i to pod jego wpływem wybrał regułę dominikanów. Był pojętny, inteligentny i Blasco wziął go na sekretarza, gdy został

Inkwizytorem w Walencji. Młody mnich był mu oddany całym sercem. Blasco mógł do woli wyrzucać młodzikowi nadmierną admirację dla jego osoby, wszystko, co mówił, wydawało się tylko ją zwiększać. Ojciec Antonio, mimo że jego pobożność i ścisła obserwacja przykazań religii nie pozostawiała nic do życzenia, choć jego życie było nienaganne, a służba Kościołowi ofiarna, cierpiał

na pewną przypadłość zwaną przez Juwenala *cacoéthes scribendi*. Nie kontentując się rolą prostego amanuenta, prowadzącego rozległą korespondencję Inkwizytora i sporządzającego rozliczne raporty, dokumenty, postanowienia i inne pisma niezbędne w prowadzeniu spraw Świętego Oficjum, każdą wolną chwilę poświęcał pisaniu. Inkwizytor doszedł, jak dochodził do wszystkiego, co tyczyło jego osoby i sprawowanego urzędu, że ojciec Antonio prowadził dokładny rejestr jego uczynków, każdego wypowiedzianego przezeń słowa i różnych wydarzeń związanych z jego świętym życiem. Wiedział w swej pokorze, że uwielbienie, jakie żywi dlań sekretarz, jest znacznie przesadzone i często zapytywał

sam siebie, czy nie powinien położyć kresu tym praktykom, rozumiał bowiem dobrze, jaki cel przyświeca młodemu mnichowi: otóż ubrdał on sobie w swojej mądrej i szalonej głowie, iż brat Blasco de Valero jest z tej gliny, z której lepią świętych, i że kiedy po śmierci biskupa zostanie otwarty przewód beatyfikacyjny, spisany dokument będzie dla kurii bezcenny. Choć świadom, jak jest niegodny, Blasco de Valero dość był ludzki, by odczuwać lekki dreszcz pobożnego uniesienia na myśl, iż pewnego odległego dnia zostanie może zaliczony w poczet świętych

Kościoła. Biczował się do krwi za swoją pychę, nie potrafił wszelako przywieść się do tego, by pozbawić dobrego i bogobojnego człowieka jego z pewnością niewinnych zatrudnień. Zresztą, kto wie? Mogło się zdarzyć, że prosta pobożność skryby zrodzi dzieło, które, pominąwszy jego przedmiot, będzie służyło zbudowaniu wiernych.

Spoglądał teraz na mnicha pewien, że choć jedno słowo o tym, co zdarzyło się w kościele Karmelitanek, nie wyjdzie z jego ust, pełne świadectwo zdarzenia znajdzie się w księdze. Cud, którego stał się obiektem, zwany obecnie lewitacją, był mu znany z lektury żywotów różnych świętych. Wiedziano, jak Hiszpania długa i szeroka, że podobna oznaka przychylności Niebios spotkała w ostatnich latach Piotra z Alcantary, Matkę Teresę od Dzieciątka Jezus i kilka mniszek od karmelitanek bosych. Biskup nie mógł oczekiwać od brata Antonio, by ten pominął w swej książce tak godne uwagi wydarzenie, ani też wiedział, czy ma po temu prawo, tak więc nie rzekłszy już więcej słowa wszedł do klasztoru i ruszył do swojej celi.

Rozdział trzynasty

Nie przyszło mu wszak do głowy, że powinien zobowiązać Katalinę do zachowania tajemnicy. Kiedy tylko trzech duchownych opuściło kościół, pospieszyła do domu tak szybko, jak dozwalało jej kalectwo. Domingo bawił w swoich sprawach w jednej z okolicznych wiosek, była tylko matka.

Katalina strwożonym głosem opowiedziała jej o cudownym wydarzeniu, którego była świadkiem, a kiedy skończyła, zaczęła raz jeszcze od początku.

Maria Perez miała pewne wyczucie dramatyzmu, którego bez wątpienia nie dostawało jej bratu pisarzowi. Niecierpliwie czekała godziny rekreacji w klasztorze, wiedząc, że o tej porze mniszki, damy rezydentki i goście z miasta zbierają się na rozmowy i że jej relacja z nieprawdopodobnego zdarzenia wywrze wtedy największe wrażenie. Istotnie miała licznych i wdzięcznych słuchaczy.

Przejęta do głębi subprzeorysza natychmiast przekazała nowinę Doni Beatriz i Maria Perez wnet została wezwana przed jej oblicze, a Wielebna Matka wysłuchała jej z nieskrywaną satysfakcją.

- Po czymś takim nie można się wahać - rzekła. - Będzie to nie tylko z chlubą dla naszego klasztoru, ale i dla całej reguły Matki Boskiej z Góry Karmel.

Odprawiła obydwie kobiety, ujęła w dłoń gęsie pióro

i zasiadła do listu, w którym zawiadamiała biskupa, że dowiedziała się o łasce, jaka spłynęła nań tego ranka. Pisała, że znak ów jest dostatecznym dowodem, iż widzenie dziewczyny Kataliny Perez nie było machinacją Szatana, jeno danym od Najświętszej Maryi Panny miłosierdziem. Przekonywała, by porzucił wątpliwości i wahania, bo jasne się stało, że jest jego chrześcijańską powinnością przyjąć nałożoną nań odpowiedzialność. Był to dobry list, zwięzły i gładko sformułowany, pełen szacunku, acz zdecydowany. Dopraszała się w nim pokornie, by zgodził się dokonać cudu w kościele, gdzie doznał łaski z Nieba, i który, jak widać, Matka Boska specjalnie umiłowiała. Przekazała pismo przez posłańca.

Dwaj panowie szlchetnego rodu, w przytomności których Maria Perez opowiadała cudowną historię, przejęci zasłyszczanymi nowinami pobiegli prosto do klasztoru dominikanów chcąc dojść prawdy u źródła. Niczego nieświadomi mnisi na wieść o cudownym wydarzeniu nie okazali bynajmniej zdziwienia, bowiem ani przez chwilę nie wątpili, że biskup jest człowiekiem wielce świątobliwym, przeto było naturalne, że Bóg zechciał w swej łaskawości dać mu znak poprzez lewitację. Tymczasem jedna z rezydentek odwiedziła w mieście przyjaciółki i podzieliła się z nimi nowiną o cudownym zdarzeniu. W ciągu kilku godzin wieść obiegła całe miasto. Panowie gromadzili się u dominikanów, by zasięgnąć wieści z pierwszej ręki, braciszkwowie zaś nie posiadali się z wielkiego uniesienia. W

końcu wymuszono na bracie Antonio, by poszedł do biskupa i rzekł, że choć ani on, ani drugi sekretarz nie puścili pary z ust, rzecz jest już powszechnie wiadoma. Rozpieczętowany list przeoryszy leżał na stole. Biskup wskazał nań.

- Te bezecne kobiety nie potrafią trzymać języka za zębami - powiedział. - To upokarzające, że wszyscy już wiedzą.

- Bracia wierzą, że Wasza Ekszelencja zgodzi się teraz uleczyć nieszczęsną dziewczynę z niemocy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Brat Antonio otworzył. Jakiś braciszek pytał, czy biskup da posłuchanie przeorowi.

- Niech przyjdzie.

Brat Antonio był obecny przy rozmowie i zapisał ją wiernie, nie opuszczając ani słowa. W końcu biskup dał się przekonać, że z woli Boga powinien uczynić, co rzekła Maryja. Postawił jednak pewne warunki, które przeor, acz niechętnie i wbrew sobie, musiał przyjąć. Chciał on ceremonii w przytomności wszystkich braci, dostojników miejskich, świeckich i duchownych, czemu biskup zdecydowanie się sprzeciwił, nastając, by rzecz cała odbyła się w tajemnicy. Był gotów udać się do kościoła Karmelitanek i odprawić tam mszę następnego ranka. Odrzwia kościelne miały być zawarte, by nikt niepożądany nie mógł wejść do środka. On sam miał pojawić się tylko w towarzystwie swoich sekretarzy. Przeor wyszedł rozdrażniony podobnym lekceważeniem jego dostojnej osoby. Biskup wysłał ojca Antonio do Doni Beatriz z wiadomością o powziętej decyzji. Przyzwolił, by stawiała się ze swoimi mniszkami, ale nie zgodził się na obecność dam rezydentek. Posyłał instrukcję, by przeorysza przygotowała Katalinę do komunii świętej po mszy i prosił, by tej nocy modliła się za niego razem ze swoimi mniszkami.

W godzinę później u Marii Perez pojawiła się zaaferowana mniszka. Domagała się widzenia z Kataliną, powiadając, że ma do niej poufną sprawę wielkiej wagi. Kiedy zjawiła się Katalina, mniszka położyła palec na ustach na znak dochowania milczenia.

- To wielki sekret - rzekła. - Nie wolno ci nikomu go zdradzić. Jego Miłość zamierza cię uzdrowić i jutro już będziesz biegała, jak każdy inny chrześcijanin.

Katalinie dech zaparło z przejęcia, serce biło jej jak szalone.

- Jutro?

- Przystąpisz do świętej komunii. Nie jedz nic po północy. Wiesz przecież.

- Wiem. I tak nigdy nie jem po północy.

- Musisz wprowadzić się w stan łaski. Przyjmiesz komunię, a biskup tchnie w ciebie nowe życie, jak nasz Zbawiciel w Łazarza.

- Czy mama i wuj Domingo mogą pójść ze mną?

- Nie było o tym mowy, ale pewnie mogą. Może twój wuj odmieni swoje nieczne obyczaje.

Domingo powrócił ze wsi późnym wieczorem. Ledwie wszedł do domu, drżąca z podniecenia siostrzenica podzieliła się z nim niesłychaną nowiną. Przyglądał się jej w pomieszczeniu.

- Nie cieszysz się, wuju? - wykrzyknęła.

Nic nie rzekłszy, zaczął krążyć niespokojnie po izbie. Katalina nie pojmowała jego dziwnego zachowania.

- Co z tobą, wuju? Nie jesteś zadowolony? Myślałam, że się ucieszysz jak ja. Nie chcesz, bym wyzdrowiała?

Wzruszył ramionami poirytowany i dalej chodził po izbie. Nie do końca przekonany, czy cudowne widzenie nie jest tworem chorego umysłu siostrzenicy, lękał się fatalnego obrotu spraw, w razie gdyby wysiłki biskupa okazały się próżne. Święte Oficjum mogło łatwo przyjść do przekonania, że cała sprawa wymaga zbadania. To oznaczałoby klęskę. Nagle zatrzymał się przed Kataliną i spojrzał na nią z powagą, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziała.

- Powiedz mi słowo w słowo, co ci rzekła Przenajświętsza Panienska.

Powtórzyła raz jeszcze swoją historię.

- A potem pani rzekła: „Jest w mocy syna Juana de Valero, który najlepiej służył Bogu, wrócić ci zdrowie.”

Domingo przerwał jej szorstko.

- Inaczej przecież opowiadałaś matce. Mówiłaś, że to Blasco de Valero może cię wyleczyć.

- Toż to to samo. Biskup jest świętym człowiekiem, każdy o tym wie. Który z synów Don Juana

równie dobrze służył Bogu?

- Ty głuptasie! - krzyknął. - Ty mały głuptasie!

- Sam jesteś głuptas - spierała się żarliwie. - Nigdy nie wierzyłeś, że Przenajświętsza Paniienka ukazała mi się i rozmawiała ze mną, a potem zniknęła. Myślałeś, że śniłam. Posłuchaj teraz.

I opowiedziała mu, jak widziała, że biskup uniósł się nad podłogą, zawisł w powietrzu, po czym opadł

znowu na ziemię.

- To nie był sen. Dwaj braciszkanie, którzy z nim przyszli, widzieli to samo na własne oczy.

- Dziwa się dzieją - mruknął Domingo.

- A ty ciągle nie wierzysz, że ukazała mi się Przenajświętsza Paniienka.

Spoglądał na nią teraz z dziwnym błyskiem w oku.

- Nie wierzyłem przody, ale teraz wierzę, nie dlatego, coś widziała dzisiejszego ranka, ale przez słowa, które rzekła Błogosławiona Dziewica. Jest w nich treść, która mnie przekonuje.

Katalina nic nie rozumiała. Nie pojmowała, jaka może być różnica między obydwojema wersjami jej opowiadania. Delikatnie poklepał ją po policzku.

- Wielki ze mnie grzesznik, moje biedne dziecko, a moje położenie jeszcze gorszym czyni to, że nigdy nie żałowałem za swoje grzechy. Chociaż wiodłem nieczne życie, przeczytałem wiele ksiązek, starożytnych i nowych, i wiele się dowiedziałem rzeczy, których może lepiej nie wiedzieć dla spokoju duszy. Bądź dobrej myśli, moja gołąbeczko, może wszystko jeszcze się ułoży.

Sięgnął po kapelusz.

- Gdzie idziesz, wuju?

- Miałem ciężki dzień i potrzebuję wytchnienia. Idę do gospody.

Tu rozmijał się z prawdą, jako że zamiast iść do gospody, ruszył do klasztoru dominikanów. Acz było jeszcze widno, furtian nie chciał go wpuścić, tłumacząc się późną godziną. Domingo nastawał, że musi się widzieć z biskupem w bardzo ważnej materii. Furtian spoglądał przez judasza, nie kwapiąc się otworzyć bramy. Domingo mówił, że jest wujem Kataliny Perez i błagał, żeby mnich zawołał

bodaj któregoś z sekretarzy. Furtian i tej prośbie odmówił, ale pisarz tak napierał, że braciszek w końcu ustąpił. Po chwili przy furcie pojawił się ojciec Antonio. Domingo zaklinał, by go dopuszczono do biskupa, tłumaczył, że musi mu przekazać coś niezmiernie ważnego. Mnich zdążył już widać usłyszeć, z kim ma do czynienia i jak złą opinią cieszy się natręt, bo z jego odpowiedzi wiało chłodem.

Rzekł, że nie wolno niepokoić Jego Ekscelencji, który pogrążył się w modłach, nakazawszy wcześniej, by nikt pod żadnym pozorem nie ważył się zakłócać mu spokoju.

- Jeśli mnie nie wpuszcicie, spadnie na was ciężar strasznej odpowiedzialności.

- Opój - odrzekł mnich z przyganą w głosie.

- Opojem prawdziwie jestem, alem teraz trzeźwy. Będziecie gorzko żałować, jeśli mnie nie wpuszcicie.

- Co to za wiadomość, z którą tu przyszedłeś? Domingo zawahał się, nie wiedząc, co czynić.

- Rzeknijcie mu, że przez miłość, jaką go darzy, Domingo Perez ślę mu tę wiadomość: „Kamień, który odrzucili budowniczo, stał się kamieniem węgielnym.”

- *Hijo de puta* - krzyknął brat Antonio, uniesiony gniewem, że podobny huncwot śmie przywoływać słowa Pisma, i zatrasnął okienko judasza. Domingo odszedł. Był w ponurym usposobieniu. Kroki same poprowadziły go w stronę gospody. Człowiek z natury towarzyski, miał

jeśli nie licznych przyjaciół, to bodaj kompanów od szklanicy. Upił się, a gdy był pijany, język mu się rozwiązywał. Lubił słuchać własnej mowy i, jak często bywało przy podobnych okazjach, bez trudu znalazł wdzięczną publiczność.

Rozdział czternasty

Następnego ranka, gdy, jakby to ujął Domingo w strofach poematu, różanopalca Aurora spędziła sen z powiek, a Febus zaprzęgał do swego złocistego rydwanu rączy rumaki słońca, czyli, mówiąc po prostu, o świcie, trzech dominikanów w kapturach głęboko nasuniętych na wygolone głowy, po części dla ukrycia twarzy, po części dla ochrony przez ostatnim chłodem odchodzącej nocy, chyłkiem opuszczało klasztor. Chociaż było jeszcze wcześniej, mieszczanie, czując, że coś wisi w powietrzu, zbili się w gromadkę u furty. W wysokiej, zakapturzonej postaci w środku bez trudu poznali świątobliwego biskupa. Trzech mnichów, za którymi w pełnym szacunku oddaleni postępowali ciekawscy, zmierzało szybko w stronę kościoła Karmelitanek, pod którym zebrała się gawiedź jeszcze tłumniejsza. Jeden z braciszków zapukał do wrót, ktoś je uchylił, by wpuszczać przybywających, i szybko zamknął na powrót. Gapie próbowali w ślad za nimi dostać się do wnętrza, ale natrafili na zawarte wierzeje i choć pukali, pukali na próżno.

Katalina czekała w kaplicy Mariackiej. Odprowadzili ją Maria Perez i Domingo, których nie wpuszczono do kościoła. W kruchcie powitała biskupa Dona Beatriz z dwudziestoma mniszkami, którą to liczbę wyznaczył książę Castel Rodriguez,

gdy zakładał fundację. Biskup i jego dwaj towarzysze przeszli do zakrystii, tam przywdziali szaty liturgiczne, po czym ruszyli godnym krokiem do kaplicy Mariackiej. Mniszki padły na kolana.

Katalina, wsparta na kuli, uklękła u stopni ołtarza. Biskup odprawił mszę przy wtórze chóru zdjętych bojaźnią bożą siostrzyczek. Udzielił komunii Katalinie. Po benedictum i odczytaniu Ewangelii uklękła przed ołtarzem i zatopił się w cichej modlitwie. Gdy skończył, powstał, i utkwivszy w

Katalinie tragiczne spojrzenie, zszedł do niej po stopniach. Położył chudą, smagłą dłoń na jej głowie.

- Ja, niegodne narzędzie Najwyższego, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego nakazuję ci: odrzuć precz kulę i idź!

Zaczął drżącym głosem, tak cicho, że mniszki ledwie mogły go słyszeć, ale ostatnie słowa wypowiedział głośno i wyraźnie niczym rozkaz. Katalina, pobladła z przejęcia, z błyszczącymi oczami, podniosła się z klęczek, odrzuciła kulę i z trwożnym krzykiem runęła na posadzkę. Cud się nie dokonał.

Wśród mniszek zapanowało zamieszanie, któraś krzyknęła, dwie zemdlały. Przeorysza postąpiła do przodu. Spojrzała na Katalinę, po czym jej wzrok napotkał oczy biskupa. Przez moment patrzyli na siebie w napięciu. Za ich plecami szlochały siostrzyczki. Biskup po chwili opuścił kaplicę i ruszył do zakrystii. Bez słowa zdjął szaty liturgiczne i wrócił do kościoła przebrany w swój habit. Dwaj braciszekowie nie odstępowali go przez cały czas na krok. Furtianka otworzyła drzwi kruchty. Biskup z naciągniętym na głowę kapturem wyszedł na światło letniego poranka.

Na wieść o cudzie okna domów wokół placu, schody kościoła i sam plac wypełniły się ludzką ciżbą.

Przez chwilę biskup był niemile zaskoczony obecnością tłumu, ale tylko przez chwilę. Owinął się szczelniej habitem, wyprostował się. Ledwie się pojawił, przez tłum przeszedł szmer zawodu, jakby

w niezwykle sposób wszyscy pojęli od razu, choć nikt nie potrafiłby powiedzieć jakim sposobem, że cud się nie dokonał. Gawiedź się rozstała. Biskup zszedł po schodach, krok za nim postępowali jego sekretarze. Ludzie na placu cofali się, czyniąc im przejście. Biskup szedł między nimi pośród posępnej ciszy, z ukrytą twarzą, owinięty w biało-czarny habit swojego zakonu. Można rzec, że wszyscy byli strwożeni, jakby zawisła nad nimi jakaś straszliwa a nieunikniona katastrofa.

Rozdział piętnasty

Dominikanie dąsali się, że biskup nie pozwolił im uczestniczyć w ceremonii. Kiedy wrócił ze swymi dwoma towarzyszami do klasztoru, kręcili się w pobliżu, chcąc na niego spojrzeć. Wieść już dotarła.

Przeszedł mimo, nie zważając na nikogo.

Kiedy usłyszeli, że będą gościć tak znamienitą osobę, zadbali o wszelkie wygody przynależne w ich mniemaniu dostojnikowi Kościoła, ale on kazał usunąć wszystko, co nie godziło się z surowym życiem. Zmusił mnichów, by miękkie piernaty zastąpili cienkim siennikiem, proste trójnogi zajęły w oratorium miejsce dwóch foteli pomieszczonych tam wcześniej. Dali mu do pisania piękny stół z drewna tekowego, w zamian poprosił o surową deskę na kozłach. Nie chciał niczego, co mogło cieszyć zmysły, odesłał precz obrazy, którymi przystroili ściany, teraz nagie z wyjątkiem prostego czarnego krucyfiksu, pozbawionego figury Zbawiciela, czy to malowanej czy rzeźbionej, a to dlatego, by łatwiej mógł widzieć siebie doń przybitego i uczuwać w ciele ból, jaki cierpiał Odkupiciel rodzaju ludzkiego.

Kiedy wszedł do celi, siadł na drewnianym stołku i wbił wzrok w kamienną posadzkę. Niespieszne

łyzy bólu toczyły się po jego zapadniętych policzkach. Serce ojca Antonio wezbrało

współczuciem, gdy ujrzał, jak jego opiekun popada w coś, co ze wszech miar czyniło wrażenie desperacji. Szepnął słowo do swego towarzysza, ten szybko opuścił celę, by powrócić po chwili z miską zupy. Ojciec Antonio postawił ją przed biskupem.

- Zjedzcie, senior. Biskup odwrócił głowę.

- Nie mogę jeść.

- O, mój panie, nie mieliście nic w ustach od wczorajszego poranka. Zjedzcie, przebóg, kilka łyżek.

Przyklęknął, nabrał na łyżkę parującej stawy i podsunął biskupowi pod usta.

- Jesteś bardzo dobry dla mnie, mój synu - rzekł. - Nie jestem wart twojego starania.

Żeby nie pokazać się niewdzięcznym, połknął zawartość łyżki, po czym pozwolił karmić się dalej niczym chore dziecko. Dobrze wiedział, jakim przywiązaniem darzy go sekretarz i często go przestrzegał przed mogącymi iść stąd niebezpieczeństwami, jako że człowiek duchowny winien strzec się zbytniego afektu dla innych, a tylko służyć całym sercem Bogu, jedynemu przedmiotowi wszelkiej miłości. Jeśli idzie o istoty ludzkie, jednako świeckiego czy duchownego stanu, winien na nie spoglądać z dobrocią jako na stworzenia boże, ale że te są śmiertelne, z obojętnością należną przemijaniu. Trudno wszak panować nad afektami i choć brat Antonio starał się jak mógł, nie umiał poniechać miłości i wzniosłego oddania, które przepęłniały mu serce.

Kiedy biskup już zjadł, brat Antonio odstawił na bok misę i ciągle klęcząc ujął jego dłoń.

- Nie desperujcie tak, senior, dziewczynę omamiły demony.

- Nie, ja zawiniłem. Prosiłem o znak i znak otrzymałem. W wielkim zadufaniu nie myślałem, że jestem niegodny uczynić, co Bóg w swej łasce dozwala świętym pańskim.

Jestem grzesznikiem i sprawiedliwie poniosłem karę za nadmiar pychy.

Biskup był tak zgnębiony, że mnich odważył się przemówić do niego, jak nigdy jeszcze nie śmiał.

- Wszyscyśmy grzesznikami, señor, ale dane mi było łaskawie przeżyć wiele lat u waszego boku i nikt nie zna lepiej niż ja waszej niezmiennej miłości dla wszystkich ludzi, waszego niewyczerpanego miłosierdzia i waszej czulej dobroci.

- To twoja własna dobroć przemawia przez ciebie, to miłość, którą żywisz do mnie, przed którą nie raz cię przestrzegałem i której nie jestem godzien.

Ojciec Antonio spoglądał z żalnością na obleczoną rozpaczą twarz biskupa. Nadal trzymał jego zimną, wychudzoną dłoń.

- Czy pozwolicie, Wasza Miłość, bym wam trochę poczytał? - zapytał po chwili. - Napisałem coś ostatnio i chciałbym poznać wasze zdanie w tym względzie.

Biskup wiedział, jak gorzko biedny mnich żałował, że cud, którego wyczekiwał z taką ufnością, nie dokonał się. Wzruszało go, że ten kochany, prosty człowiek, tłumiąc własne rozczarowanie, próbował

spieszyć mu z pociechą. Nigdy wcześniej nie chciał mieć dostępu do książki spisywanej pracownice przez sekretarza, ale teraz nie miał serca odmówić mu przyjemności, której tamten tak gorąco pragnął.

- Czytaj, synu, posłucham z radością.

Z zaróżowionymi ze szczęścia policzkami braciszek poderwał się na nogi i spośród licznych papierów związanych z jego pracą dobył kilka stron manuskryptu. Usadowił się na trójnogu. Drugi mnich, dla którego nie zostało już miejsca, siadł na podłodze. Ojciec Antonio jął czytać.

Był erudytą, pisarzem odznaczającym się wytwornością i żadna z figur retoryki nie była mu obca.

Jego styl bogaty był w przenośnie i metafory, metonimie, synekdochy i katachrezy. Nigdy nie dopuścił, by rzeczownik tkwił samotnie w zdaniu,

nie wsparty dwoma śmiałymi przymiotnikami. Obrazy obradzały w jego mózgu niczym grzyby po deszczu, a biegły w Piśmie, pismach Ojców Kościoła i łacińskich moralistów, zawsze miał na podorędziu zawilą aluzję. Budowa syntaksy, prosta czy złożona, podrzędna czy równorzędna, nie miały dla niego tajemnic, potrafił nie tylko stworzyć najprzedniejszy okres dzielony na klauzy i subklauzy, ale i doprowadzić go do końca z triumfalnym wybrzmieniem, które odnosiło ten efekt, co drzwi zatraskujące się przed nosem czytelnika. Owa maniera pisania, której przenikliwy krytyk nadał

nazwę marinizmu, jest wielce podziwiana przez jej wyznawców, ma však tę wadę, że opowiada w skomplikowany sposób o tym, co da się wyrazić w kilku słowach; w każdym razie stałaby w rażącej dysharmonii z prostym, bezpośrednim stylem, w jakim napisana została nasza opowieść, zamiast więc czynić próżne wysiłki naśladowania grandilokwencji pocziwego mnicha, autor niniejszych stron pomyślał, że lepiej będzie rzecz oddać na własny prosty sposób.

Ojciec Antonio, nie bez taktu, wybrał opis wielkiego autodafe stanowiącego ukoronowanie zasług ojca Blasco w służbie Świętego Oficjum, a które, jak wcześniej wspomnieliśmy, sprawiło tyle satysfakcji księciu, obecnemu Filipowi III oraz otworzyło świątobliwemu Inkwizytorowi drogę do zaszczytnych stanowisk w Segowii.

Pyszna ceremonia, mająca wzbudzić bojaźń Inkwizycji oraz służyć zbudowaniu maluczkich, odbyła się w niedzielę, by nikomu nie dać powodu do wymówienia się od obecności, skoro uczestnictwo w niej było zbożnym obowiązkiem. Dla zapewnienia jak najliczniejszego audytorium przybyli otrzymywali czterdziestodniowy odpust. Na placu miejskim wzniesiono trzy ogromne podesty, jeden dla skazanych i ich duchowych opiekunów, jeden dla inkwizytorów, familiantów Świętego Oficjum i

kleru, trzeci dla osobistości świeckich

i rajców miejskich. Uroczystości zaczęły się wieczorem w wigilię ceremonii procesją Zielonego Krzyża. Przodem szli familianci i szlachta, z królewską chorągwią z purpurowego adamaszku haftowaną złotem; dalej zgromadzenia zakonne z Białym Krzyżem, za nimi szedł laikat ze wszystkich parafii. Orszak zamykał przeor dominikanów z Zielonym Krzyżem, otoczony swoimi mnichami niosącymi pochodnie. Szli śpiewając *Miserere*. Zielony Krzyż został umieszczony na ołtarzu podestu przeznaczony dla inkwizytorów i dominikanie czuwali przy nim przez całą noc. Biały Krzyż zanesiono na miejsce egzekucji, gdzie strzegli go żołnierze Zarza, bractwa, do obowiązków którego należała opieka nad *quemadero*, czyli miejscem całopalenia, i dostarczanie drewna na stos.

Tej nocy inkwizytorzy wizytowali skazanych, powiadamiali ich o wyroku oraz przydzielali każdemu dwóch mnichów, którzy mieli przygotować nieszczęśnych na spotkanie Boga. Tego dnia młodszego inkwizytora, brata Baltazara, zatrzymała w łóżku uporczywa kolka, a że chciał wziąć udział w uroczystościach następnego dnia, ubłagał ojca Blasco, by wytłumaczył go z nieobecności w czas smutnych zatrudnień.

Z nadejściem świtu odprawiono mszę w salach Świętego Oficjum oraz przed ołtarzem Zielonego Krzyża. Więźniowie i mniisi dostali śniadanie, przyjęte z prawdziwą radością przez tych ostatnich, wyczerpanych nocą ze skazańcami, których zaraz po posiłku ustawiono podług ciężaru grzechów przeciw wierze i odziano w *sambenitos*, żółte tuniki z wymalowanymi po jednej stronie płomieniami, jeśli skazany szedł na stos, po drugiej z wypisanym jego imieniem, miejscem pochodzenia i występkiem, jakiego się dopuścił. Każdemu wręczono zielony krzyż i gromnicę.

Uformowała się procesja. Za żołnierzami Zarza, którzy stanęli u jej czoła, postępował duchowny z krzyżem spowitym w czarny całun i akolita z dzwoneczkami. Dalej szli gęsiego

penitenci otoczeni przez familiantów, potem figury i prochy tych, którzy wymknęli się Świętemu Oficjum, pozbawiając je czy to przez ucieczkę, czy śmierć należnej mu prawowicie ofiary; za nimi skazani na śmierć, odprowadzani przez mnichów, którzy spędzili z nimi ostatnią noc. Dalej konno wysocy urzędnicy, familianci dwójkami, rajcowie miejscy, dostojnicy Kościoła wedle rangi.

Szlachcic wysokiego rodu niósł szkatułę z czerwonego aksamitu, zdobioną złotymi frędzlami, zawierającą wyroki, za nim przeor domikanów otoczony mnichami niósł chorągiew Świętego Oficjum, na końcu podążali inkwizytorzy.

Był piękny, słoneczny dzień, taki, który jednakowo radując serca młodych i starych sprawia, że życie wydaje się piękne.

Procesja posuwała się powoli krętymi uliczkami w stronę placu, gdzie już tłoczyła się wielka ciżba.

Ludzie zjeżdżali do miasta z urodzajnych haciend rozsianych po okolicy, z pól ryżowych i gajów oliwnych. Byli i tacy, co przybyli aż z winnic Alicante i z Elche pełnego daktyłowców. W oknach domów usadowiła się szlachta. Książę ze świtą zajął miejsce na balkonie ratusza.

Oskarżonych usadowiono na przygotowanym dla nich podeście, w takim porządku, w jakim szli w

procesji, najmniej winni na dolnych ławach, skazani na śmierć na najwyższych. Na podeście umieszczono dwa pulpity dla Trybunału, z za jednego z nich wygłoszono kazanie. Potem sekretarz, głosem tak donośnym, by mógł być słyszany przez wszystkich, odczytał przysięgę posłuszeństwa Świętemu Oficjum, powtórzoną przez zebranych ślubujących tępić herezję i heretyków. Wszyscy rzekli Amen. Następnie dwóch inkwizytorów udało się na balkon, gdzie zasiadał książę, i tam odebrali od niego przysięgę na krzyż i Pismo Święte, iż będzie posłuszny wierze katolickiej oraz Świętemu Oficjum, będzie walczył z przestępcami i odszczepieńcami oraz wspomagał In-

kwizycję w jej dziele karania każdego, bez względu na pozycję i urodzenie, kto wyprze się wiary prawdziwej.

- Przysięgam w imię wiary i daję me królewskie słowo - powiedział książę uroczyście.

Pomiędzy pulpitemi umieszczono, ławkę, na której sadzano kolejno grzeszników. Wyroki odczytywano im na zmianę z obydwu pulpity. Z wyjątkiem skazanych na śmierć w płomieniach tutaj po raz pierwszy dowiadywali się, jaki los im sędzono, a że niektórzy mdleli słysząc wyrok, Święte Oficjum w swoim miłosierdziu pomyślało o oparciu przy ławce, na wypadek gdyby ktoś miał

upadając zrobić sobie krzywdę. Jeden z mężczyzn, złamany torturami, oddał ducha na miejscu nie przeżywszy wstrząsu. Odczytano ostatni wyrok, DO czym przekazano oskarżonych w ręce świeckich zbrojnych. Święte Oficjum nie wydawało sądów, które oznaczałyby przelew krwi, wręcz posuwało się do tego, by domagać się od władz świeckich, aby oszczędzały życie występnych ofiar. Obowiązkiem zaś władz, na mocy prawa kanonicznego, było natychmiast egzekwować karę na podsądnych przekazanych im przez Inkwizycję. Pobłażliwość mogli okazać ci, co podkładali polana pod stopy.

Na tym kończył się trud inkwizytorów. Na plac weszli żołnierze Zarza z muszkietami gotowymi do strzału. Otoczyli więźniów, których mieli powieść na miejsce egzekucji, chroniąc ich przed wzburzeniem gminu, gotowego w przypływie gniewu uczynić krzywdę skazanym albo i pozbawić ich życia. Nie odstępowali ich też mnisi, do końca szukający w ich duszach skruchy i czekający nawrócenia. Pomiędzy skazanymi były cztery Moryski budzące powszechny zachwyt swoją urodą, zatwardziały kupiec holenderski przyłapany na wwożeniu do kraju hiszpańskiego tłumaczenia Pisma Świętego, Maur skazany za zabicie kurczaka przez obcięcie mu łba, bigamista, kupiec, który dał

schronienie zbiegowi ukrywają-

cemu się przed Świętym Oficjum oraz Grek winny głoszenia przekonań sprzecznych z wiarą Kościoła. Alkad i sekretarz szli z władzami świeckimi, by dopatrzeć, czy wyroki zostaną wykonane należycie. Sekretarzem był ojciec Antonio, mógł więc spisać dokładnie wydarzenia dnia.

Quemerado usytuowano poza miastem. Do stosów przymocowano garoty, by tym, którzy, pragnąc odejść w wierze chrześcijańskiej, w ostatniej chwili odrzekną się swych przewin, oszczędzić płomieni i pozwolić umrzeć bardziej miłosierną śmiercią przez uduszenie. Za żołnierzami i więźniami ciągnęła tłumnie gawiedź, znalazło się też wielu takich, którzy ruszyli przodem na miejsce, gdzie miał rozegrać się finał. Rzesze były nieprzebrane. Rzecz zwykła, bo zapowiadał się widok wart oglądania, rozrywka prawdziwie godna królewskiego gościa; gapie nadto mogli się cieszyć, że

spełniając zbożny akt dobrze służyli Bogu. Tych, którzy mieli być uduszeni garotą, uduszono garotą, poczem rozpalono płomienie na zgubę żywym i martwym, aby pamięć o nich przepadła na wieki. Lud wznosił okrzyki i klaskał w dłonie, ogień rozgorzał na tyle, że zagłuszał krzyki ofiar, gdzieś jakaś kobieta zawodziła pieśń do Przenajświętszej Panienki albo do Chrystusa Ukrzyżowanego. Zapadła noc i ciżba popłynęła z powrotem ku miastu, umęczona długim stanem i podnieceniem, ale z poczuciem, że przeżyła szczęśliwy dzień. Zapełniły się szynki, zaroilo się w burdelach i niejedyn tej nocy przekonał

się o skuteczności działania noszonego na szyi skrawka z habitu brata Blasco.

Brat Antonio też był umęczony, ale jego pierwszą powinnością było złożyć raport z przebiegu wypadków dwóm inkwizytorom, po czym, jako człowiek sumienny, przemógłszy kuszącą do spoczynku fatygę, siadł spisywać sążniste documentum wszystkiego, co zaszło tego dnia, póki jeszcze obraz wypadków malował się żywo w jego pamięci. Pisał żarliwie z potoczystością dyktowaną z Niebios, i kiedy przeczytał, co napisał, rad uznał, że nie musi zmieniać ani słowa. Uszczęśliwiony na koniec, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i skromnego wkładu w zbożne dzieło, legł w łożu i zasnął snem niewinnego dziecięcia.

Wszystko to z dramatycznym akcentem na najbardziej znaczących epizodach odczytywał

zafrasowanemu biskupowi głosem mocnym i dźwięcznym. Czytał z oczami utkwionymi w tekst, unoszony dziwnym podnieceniem. Tak wypełniała się służba Bogu, tak zachowana została czystość wiary katolickiej. Skończył. Nie mógł pozbyć się uczucia, że oddał sprawiedliwość wielkiej ceremonii. Był pod wrażeniem żywości własnego opisu i zręczności, z jaką konstruował narrację, prowadząc ją, sam nie wiedząc jak, do pozostawiającej niezatarte doznania kulminacji. Podniósł

wzrok. Jak wielu autorów, którzy produkują się przed słuchaczami, byłby uszczęśliwiony słysząc słowo pochwały, ale szybko zwalczył to ulotne pragnienie. Wszak głównym jego celem było rozproszyć ponure fantazmata umiłowanego mentora przypomnieniem najbardziej chlubnego z jego licznych dokonań. Ten, choć świątobliwy, nie mógł powstrzymać dreszczu dumy, gdy oczyma duszy ujrzał wspaniały dzień, kiedy jako narzędzie wiecznego potępienia wielkich rzesz heretyków służył

Bogu, wypełniał nakazy sumienia oraz wpływał budująco na maluczkich. Ojciec Antonio ku swemu zaskoczeniu, więcej nawet, osłupieniu, ujrzał, że po wyniszczonych policzkach biskupa spływają łzy, a dłonie zaciskają się w wysiłku pohamowania łkań wstrząsających jego piersią.

Odrzucił precz manuskrypt, poderwał się ze stołka i padł do stóp swego mistrza.

- Mój panie, co wam? - wykrzyknął. - Cóżem uczynił? Czytałem tylko, by oderwać was od złych myśli.

Biskup odsunął go na bok i powstawszy, rozłożył ramiona w geście suplikacji przed czarnym krucyfikssem.

- Grek - jęknął. - Grek.

Po czym, nie mogąc się dłużej hamować, wybuchnął serdecznym płaczem. Dwaj braciszkuwie spoglądali na niego w pomieszaniu. Nigdy wcześniej nie widzieli, żeby ten surowy człowiek okazał uczucia. Biskup niecierpliwie otarł dłonią łzy z oczu.

- Zawiniłem - jęczał - straszliwie zawiniłem. Popełniłem przejmujący grzech i jedyna moja nadzieja w nieskończonym miłosierdziu bożym.

- Panie, przebóg, wyłóżcie to jaśniej. Nic nie pojmuję. Jestem niczym żeglarz pośród burzy, gdy okręt straci żagle i ster. - Ojciec Antonio, któremu dźwięczały jeszcze w uszach dopiero co czytane słowa, nie mógł się powstrzymać, by nie przemawiać niczym księga. - Grek. Czemu Wasza Miłość wspomina Greka? Był heretykiem i spotkała go zasłużona kara za jego zbrodnie.

- Nie wiesz, co mówisz. Nie wiesz, że moja zbrodnia jest większą od jego. Prosiłem o znak i znak otrzymałem. Myślałem, że to wyraz łaski od Boga, teraz wiem, że to wyraz jego gniewu. Prawdziwie, powinienem być upokorzony w oczach ludzi, bo jestem nieszczęsnym grzesznikiem.

Nie zwracał się do towarzyszy, nie do nich mówił, lecz do krzyża, na którym tyle razy widział siebie z dłońmi i stopami przebitymi hacelami.

- Był to dobry starzec, w swym ubóstwie litościwy dla biednych. Przez te wszystkie lata naszej znajomości nie słyszałem, by wyrzekł jedno niegodziwe słowo. Na ludzi spoglądał z czułą miłością.

Szlachetną zaiste miał duszę.

- Wielu ludzi, pełnych cnót publicznych i prywatnych, sprawiedliwie zostało skazanych przez Święte Oficjum, bo obyczajność niewiele waży naprzeciw śmiertelnego grzechu przeniewierstwa.

Biskup odwrócił się i spojrzał na ojca Antonio z tragicznym błyskiem w oku.

- A zapłatą za grzech jest śmierć - wyszeptał.

Grek, o którym mówił, a którego zwano Demetrios Christopoulos, urodził się na Cyprze. Niewielki majątek pozwolił mu poświęcić się studiom. Kiedy Turczyn, pod Selimem II, napadł na wyspę, zagarnął Nikozję, stolicę kraju, skosił mieczem dwadzieścia tysięcy jej mieszkańców. Famagusta, gdzie mieszkał Demetrios Christopoulos, została oblężona i poddała się po roku bolesnego oporu.

Takie były wypadki roku 1571. Grek uciekł ze skazanego na zagładę miasta, ukrywał się w górach, wreszcie zbiegł z wyspy na łodzi rybackiej. Po wielu przygodach wylądował bez grosza w Italii, wkrótce przecież znalazł zajęcie jako nauczyciel greki i filozofii starożytnej, dzięki czemu wiązał

jakoś koniec z końcem. W złej godzinie przyciągnął uwagę hiszpańskiego szlachcica w rzymskim poselstwie, który za pobytu we Włoszech rozkochał się w jakże poczytnym wtedy Platonie. Hiszpan wziął go do swego pałacu, gdzie przepędzali czas na czytaniu nieśmiertelnych dialogów wielkiego filozofa. Lata mijały i posła wezwano na powrót do Hiszpanii. Przekonał Greka, by z nim pojechał.

Mianowany wicekrólem Walencji, tam dokonał życia, a Grek, wtedy niemal już starzec, znowu

popadł w tarapaty. Opuścił wicekrólewski pałac i przeniósł się do skromnego pomieszczenia w domu pewnej wdowy. Jako że cieszył się niejaką sławą z racji swojej wiedzy, zarabiał na życie dając lekcje greki chętnym poznać ten szlachetny język.

Brat Blasco de Valero usłyszał o nim po raz pierwszy, kiedy wykladał jeszcze teologię w Alcalá de Henares. Gdy tylko objął urząd Inkwizytora w Walencji, zaczął przepytawać o Greka, a słysząc, że to człowiek prawy i cieszący się dobrą sławą, kazał po niego posłać. Ujęty miłym obejściem i skromnością Greka, zwrócił się doń z pytaniem, czy nie zechciałby go uczyć języka, w którym spisano Nowy Testament, tak by

mógł czytać święte wersy z jeszcze większym nabożeństwem. Przez dziewięć lat, kiedy tylko rozliczne obowiązki pozostawiały mu nieco wolnego czasu, Inkwizytor i Grek pracowali razem. Brat Blasco był rzetelnym i pojętym uczniem. Już po kilku miesiącach Grek, który namiętnie ukochał

wielką starożytną literaturę swego kraju, przekonał go, by zajęli się klasykami. Sam był zagorzałym miłośnikiem Platona, przeto wkrótce studiowali *Dialogi*, by niechybnie przejść do Arystotelesa.

Mnich odmówił czytania *Iliady*, bo miał ją za dzieło brutalne, a i *Odysei*, która w jego pojęciu była utworem frywolnym, polubił zaś dramatopisarzy. W końcu jednak zawsze powracali do *Dialogów*.

Inkwizytor, człowiek rozumny, uległ polotowi, pobożności i głębi Platona. Wiele było w jego pismach do przyjęcia dla chrześcijanina i nieraz dawały one obu skolarzom temat do poważnych dysput. Przed bratem Blasco otworzył się świat nowy. Studiowanie greckich ksiąg przepełniało go nieodpartym zachwytem, dając cudowne wytchnienie po trudach dnia. W czasie tych wieloletnich i owocnych studiów niemal polubił Greka samotnika, a wszystko, co tamten opowiadał o swym prostym, poczciwym życiu, o dobroci i miłosierdziu, wzmogło tylko jego podziw dla natury nauczyciela.

Jak grom z jasnego nieba spadła na niego wieść, że Holender, luteranin aresztowany przez familiantów Inkwizycji za wwiezienie do Hiszpanii tłumaczenia Nowego Testamentu, wyznał na torturach, iż dał też egzemplarz Grekowi. Pytany dalej, pod naciskiem kolejnego obrotu koła potwierdził, że często rozmawiali o religii i w wielu punktach podzielali zdanie. To wystarczyło Świętemu Oficjum do wszczęcia dochodzeń, jak zwykle dogłębnych oraz prowadzonych w całkowitej tajemnicy. Grek nie mógł dowiedzieć się, że jest podejrzany. Blasco przeraził się, kiedy przeczytał

raporty. Nigdy nie powstało mu w głowie, że Grek, tak dobry, tak pokorny, po tylu latacti spędzonych w Italii, a potem w Hiszpanii, mógł trwać przy schizmatycznych wierzeniach nie przechodząc na wiarę Rzymu. Znaleźli się świadkowie, którzy przysięgali, że słyszeli z jego ust potępiane herezje. Zaprzeczał, jakoby Duch Święty brał się od Syna, odrzucał zwierzchność papieską i choć czcił Dziewicę, nie uznawał dogmatu Niepokalanego Poczęcia. Gospodyni, u której mieszkał, słyszała, jak bluźnił przeciw odpustom, ktoś inny zeznał, że zaprzeczał katolickiej idei czyśćca.

Drugi obok brata Blasco inkwizytor, doktor praw, Don Baltazar de Carmona, mały, zasuszony człowieczek o długim, haczykowatym nosie, wąskich wargach i niespokojnych oczkach, mienił się surowym moralistą. Cierpiał na jakąś chorobę wątpi, od której tak zgorzkniał, że egzekwowanie

władzy dawanej przez sprawowany urząd przepełniało go wprost nieopisaną radością. Kiedy zapoznał

się z godnymi potępienia faktami, począł wołać o aresztowanie Greka. Brat Blasco czyniły co w jego mocy, by ratować przyjaciela. Przekonywał, że jako schizmatyk nie jest heretykiem i tym samym nie może podlegać jurysdykcji Świętego Oficjum, ale były też inne świadectwa poza zeznaniami torturowanego luteranina. Gdy francuski kalwin, też inkryminowany, zeznał, iż słyszał opinie wygłaszane przez Greka, a trącające protestantyzmem, ojciec Blasco uczuł, że musi wypełnić nałożone nań obowiązki, bodaj i za cenę własnych uczuć. Familianci udali się do mieszkania starca, skąd powiedli go do więzienia Inkwizycji. Przesłuchiwany, bez oporu przyznał się do winy. Dano mu możliwość zaparcia się fałszywych wierzeń i nawrócenia na wiarę Rzymu. Ku przerażeniu Blasco, Grek nie skorzystał z danej sposobności. Przewinienie było ciężkie, wszak dowiedzenie protestantyzmu nie przesądzało jeszcze o wyroku. Chcąc dać Demetriosowi okazję do oczyszczenia się z win, Blasco począł nastawać na drugiego inkwizytora, skłonnego

do skorych wyroków, by torturami wymusić na starcu nawrócenie i tym sposobem zbawić jego duszę.

Prawo wymagało, by przy torturach obecni byli obaj inkwizytorzy, wysłannik episkopatu i pisarz notujący ich przebieg. Było to widowisko nieodmiennie napawające brata Blasco takim przerażeniem, że potem przez całe noce nękały go koszmary senne.

Wprowadzono Greka, rozebrano go i poczęto wiązać do koła. Wątle ciało starca było wychudzone.

Nakazano mu uroczyście, by mówił prawdę przez miłość Boga i oszczędził inkwizytorom widoku cierpienia. Milczał. Przywiązano go za kostki do koła, ręce, biodra i łydki spętano sznurem, jego końce przytroczono do garoty, której obroty miały zaciskać pęta. Oprawca obrócił nią gwałtownie, Grek krzyknął, następny obrót przeciął skórę i mięśnie do kości. Mając na względzie wiek starca, brat Blasco zażądał, by poprzestano na czterech obrotach. Choć zakładano, że człowiek zdolny jest przetrzymać sześć albo i siedem, rzadko się zdarzało, żeby nawet silny mężczyzna zniósł więcej niż pięć obrotów. Grek błagał, by zabili go od razu i oszczędzili mąk. Brat Blasco musiał być obecny przy torturach, ale że nie było konieczne, by patrzył, spoglądał cały czas na kamienną posadzkę. Krzyki torturowanego dzwoniły mu w uszach i szarpały nerwy. Był to ten sam głos, którym jego przyjaciel recytował podniosłe i szlachetne strofy Sofoklesa, głos, którym z ledwie hamowanym wzruszeniem czytał przedśmiertną mowę Sokratesa. Przed każdym obrotem garoty Grek, wzywany do mówienia prawdy, zaciskał zęby w milczeniu. Kiedy go uwolniono, nie mógł ustać, do lochów Świętego Oficjum został zaniesiony.

Na torturach nie przyznał się do niczego, wyrok zapadł na podstawie wcześniejszych wyznań. Brat Blasco usiłował walczyć o jego życie, ale Don Baltazar, doktor praw, orzekł, że jest winien podobnie jak skazani na stos luteranie. Wysła-

nik episkopatu i urzędnicy, których zdania zasięgnięto, orzekli podobnie. Następne autodafe miało się odbyć dopiero za kilka tygodni; brat Blasco miał czas napisać do Wielkiego Inkwizytora i przedłożyć mu sprawę. Odpowiedział, że nie widzi powodu zmieniać wyroku trybunału. Chociaż brat Blasco uczynił wszystko, co w jego mocy, krzyki starca ciągle brzmiały mu w uszach i nic nie mogło ulżyć jego cierpieniom. Wierząc jeszcze w nawrócenie, posłał doń duchowego pocieszyciela. Wyrok

zapadł

nieodwołalnie, ale skrucha oznaczałaby śmierć od dławiącej garoty i oszczędziła skazańcowi cierpienie w płomieniach. Grek był zatwardziały. Mimo tortur i długiego uwięzienia zachował jasność umysłu.

Odpierał argumenty mnichów w sposób tak subtelny, że wznagał tylko ich rozdrażnienie.

W końcu nadeszła wilia autodafe, ceremonii, która dotąd pozostawiała brata Blasco nieporuszonym, jako że powracający do dawnej wiary Żydzi, wierni diabelskim praktykom Moryskowie, kacerze, wszyscy ci zbrodniarze przed Bogiem i ludźmi w imię bezpieczeństwa Kościoła oraz Korony ze wszelkich miar zasługiwali na cierpienie. Nikt jednak nie wiedział lepiej niż on, jak dobry, poczciwy i skory do niesienia ulgi potrzebującym był Grek. Nie ufając autorytetowi drugiego inkwizytora, okrutnego człowieka o zimnym umyśle, wątpił w prawomocność strasznego wyroku. Padły cierpkie słowa. Don Baltazar zarzucił mu, że przez pamięć przyjaźni sprzyja przestępcy. W głębi serca brat Blasco musiał przyznać rację; gdyby nie znał Greka, przyjąłby wyrok bez słowa sprzeciwu. Nie mógł

już uratować mu życia, ale mógł jeszcze zbawić jego duszę. Mnisi, których wysłał, by przekonali Demetriosą, iż błędzi, w obliczu jego wielkiej wiedzy dowiedli tylko, jak bardzo sami są nierozgarnięci. Zdecydował się na bezprzykładny postępek. Poszedł przed świtem do więzienia Inkwizycji, kazał prowadzić się do celi Greka, który przepędzał ostatnią

noc na tej ziemi w towarzystwie dwóch mnichów. Blasco nakazał im odejść.

- Nie chciał słuchać naszych napomnień - rzekł jeden z nich.

Kiedy wyszli z celi, na ustach Greka pojawił się uśmiech.

- Wasi mnisi to zapewne zacni ludzie, señor - powiedział - ale nie odznaczają się zbyt dużą mądrością.

Chociaż bardzo osłabiony, zachował godność i spokój.

- Wasza Ekszelencja wybaczy, że będę leżał. Tortury mnie wymęczyły, a chcę zachować resztę sił na dzisiejszą ceremonię.

- Nie marnujmy czasu na próżne słowa. Za kilka godzin staniesz w obliczu okrutnego przeznaczenia.

Bóg świadkiem, że oddałbym dziesięć lat życia, by cię od tego wybawić. Świadczenia mówiły przeciw tobie i dopuściłbym się krzywoprzysięstwa, gdybym nie dopełnił swych obowiązków.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który by tego pragnął.

- Twój los przesądzony, nie mogę cię uratować, ale jeśli zaprzesz się swojej wiary i nawrócisz, oszczędzę ci bodaj męczarni płomieni. Kochałem cię, Demetriosie, i mam u ciebie dług, który spłacić mogę tylko ratując twoją nieśmiertelną duszę. Ci mnisi to ciemni ludzie. Przyszedłem tutaj, by uczynić ostatnią rozpaczliwą próbę odwiedzenia cię od twych błędów.

- Traciecie czas na próżno, señor. Lepszy użytek uczynilibyśmy z tych godzin, rozmawiając, jak czyniliśmy to tyle razy, o śmierci Sokratesa. Nie pozwolili mi trzymać ksiąg w tym lochu, ale mam dobrą pamięć i znajdowałem pociechę w powtarzaniu sobie jego mowy, w której tak szlachetnie mówi o duszy.

- Nie nakazuję ci, lecz błagam, posłuchaj mnie, Demetriosie.

- Winien wam jestem tę ostatnią grzeczność. Przywołując na pomoc całą swą erudycję, głosem pełnym

powagi i powściągliwości Inkwizytor punkt po punkcie zaczął przedkładać argumenty wysuwane przez Kościół dla podtrzymania dogmatów i dania odporu głosom przenieściców oraz schizmatyków. Biegły w podobnych dysputach, wyrażał się potoczyscie i przekonywająco.

- Okazałbym się człowiekiem niewiele wartym, gdybym z lęku przed okrutną śmiercią uznał

wierzenia, które są w moim pojęciu błędne - odparł Grek, gdy Blasco skończył.

- Nie proszę, byś to uczynił. Proszę, byś całym sercem uwierzył w prawdę.

- „Co to jest prawda?” - zapytał Poncjusz Piłat. Człowiek nie jest panem swych wierzeń, jak nie może zapanować nad morzem wzburzonym wiatrami. Dziękuję Waszej Wielebności za dobroć i wiercie, że nie żywię żalu za los, jaki mnie spotyka. Czyniliście, jak nakazuje wam sumienie, więcej nie można żądać od człowieka. Jestem stary i czy umrę dzisiaj, czy za rok bądź dwa, nie ma wielkiego znaczenia.

Mam tylko jedną prośbę. Kiedy odejdę, nie zrzucajcie studiów nad wzniosłą literaturą starożytnej Grecji, która rozwija ducha i uszlachetnia umysł.

- Nie lękasz się kary bożej za twój niezłomny upór?

- Bóg ma wiele imion i nieskończone atrybuty. Ludzie zwą go Jehową, Zeusem, Brahmanem. Czy ważne, jak będziemy go nazywać? Pośród jego nieskończonych atrybutów głównym, jak słusznie zauważył poganin Sokrates, jest sprawiedliwość. Musicie wiedzieć, że człowiek nie wierzy, w co powinien, lecz w co może wierzyć. Źle bym czynił, gdybym sądził, że potępi swoje stworzenie za to, za co nie ponosi ono winy. Niech Wasza Wielebność nie myśli, że to brak szacunku, ale proszę, byście zostawili mnie teraz samego z moimi myślami.

- Nie mogę cię tak zostawić. Do końca muszę próbować ratować twoją duszę nieśmiertelną przed gorejącym ogniem piekielnym. Rzeknij jedno słowo, daj mi nadzieję, że możesz

jeszcze dostąpić zbawienia. Jedno słowo na znak, że nie jesteś tak nieprzejednany, bym mógł

umniejszyć karę ziemską, jaka cię czeka.

Grek uśmiechnął się i możliwe, że w tym uśmiechu kryła się lekka ironia.

- Czyńcie swoją powinność, ja swoją - odparł. - Do was należy zabijać, do mnie umrzeć bez drżenia.

Oślepiiony łzami Inkwizytor z trudem znalazł drogę do wyjścia.

Zacinając się, biskup opowiadał swoją historię obydwu braciszkom. Doszedłszy do tego miejsca, ukrył twarz w dłoniach, jakby zbyt wielki wstyd nie pozwalał mu mówić dalej. Słuchali go z bolesną uwagą, a brat Antonio notował w pamięci każde zdanie i każdą odpowiedź, by je potem wiernie spisać w swojej księdze.

- Potem uczyniłem rzecz straszną. Don Baltazar był chory i wiedziałem, że do ostatniej chwili pozostanie w łóżku, bał się bowiem śmiertelnie, że mógłby nie pojawić się na autodafe. Wiedziony ambicją, chciał zwrócić na siebie uwagę księcia. Mogłem działać swobodnie. Myśl, że biedny starzec zginie w okrutnych płomieniach, była mi nieznośna. Krzyki torturowanego ciągle jeszcze brzmiały mi w uszach i zdawało się, że będę je słyszał przez resztę życia. Powiedziałem komu trzeba, że rozmawiałem z Grekiem i że ugiął się na tyle, by uznać pochodzenie Ducha Świętego od Syna.

Nakazałem użyć garoty, nim skazańca dosięgną płomienie, i posłałem przez służbę pieniądze katu, by skłonić go do wykonania pracy bez zbędnej zwłoki.

Należy wyjaśnić, iż kat, zaciskając i rozluźniając żelazny kołnierz na szyi ofiary, mógł przedłużać męczarnie godzinami, zatem trzeba było go przekupić, by zadał cierpiętnikowi szybką śmierć.

- Pojmowałem, że grzeszę. Odchodziłem od zmysłów

z rozpaczy. Nie wiedziałem niemal, co czynię. Dopuszczałem się grzechu, za który miałem odtąd już zawsze żałować. Wypowiadałem się i odbyłem zadaną pokutę. Otrzymałem rozgrzeszenie, ale sam siebie rozgrzeszyć nie mogę, wypadki dzisiejszego dnia są mi karą.

- Ależ panie, to był akt miłosierdzia - rzekł ojciec Antonio. - Kto lepiej jak ja, który jestem z tobą tak długo, miałby znać twoje czułe serce, kto pośród ludzi winiłby cię za to, że raz pozwoliłeś mu przeważać nad poczuciem sprawiedliwości?

- To nie był akt miłosierdzia. Kto to wie, czy Greka nie poruszyło moje rozumowanie, kto to wie, może kiedy ogień lizałby jego nagie ciało, byłaby mu dana łaska boska i jego zaparta dusza odrzekłaby się błędów? Wielu w tej ostatniej, straszliwej chwili, gotując się na spotkanie Stwórcy, tak uratowało dusze. Pozbawiłem go tej sposobności i skazałem na męki wieczyste.

Z jego gardła dobyło się ochryple łkanie, zduszony dźwięk, tajemniczy krzyk ptaka nocy pośród mrocznej głuszy leśnych ostępów.

- Męki wieczyste! Kto zdolny jest odmalować sobie ten ból? Potępieńcy wiją się w ognistych odmętach, nad którymi unoszą się trujące wapory. Ciało ich toczy robactwo, cierpią nieugaszone pragnienie i straszliwy głód. Przypaleni na ogniu jęczą tak, że huk trzaskających grzmotów z piorunami i wycie rozszalałego morza zdają się przy nich martwą ciszą. Diabły, na które straszno patrzeć, naigrawają się i czynią sobie z nich pośmiewisko, smagają cięgami w nienasyconym zapamiętaniu, ale żal za grzechy szarpie ich bólem okrutniej szym niżli tortury zadawane przez

obmierzył pomiot szatański. Robak sumienia wżera się w ich wątpia. Ogień męczy dusze, a jest to ogień, naprzeciw którego ogień ziemski jest niczym słaby poblask, ogień, rozpalany i podsycany gniewem bożym, który czyni z niego narzędzie sprawiedliwej a wieczystej pomsty.

- Wieczność, jak straszna jest wieczność! Tyle milionów

lat mija w potępieniu, ile kropel wody spadło na ziemię od zarania wieków, tyle milionów lat, ile jest kropel wody we wszystkich morzach i rzekach świata, tyle milionów lat, ile jest liści na wszystkich drzewach i tyle milionów lat, ile jest ziaren piasku na brzegach wszystkich oceanów, tyle milionów lat, ile łez wylał człowiek od czasu, gdy Bóg stworzył pierwszych rodziców. A kiedy miną nieprzeliczone lata, trwoga uczuwana przez tych nieszczęsnych będzie taka, jakby to był dopiero początek, jakby to był pierwszy dzień i wieczność będzie trwała, jakby nie upłynęła nawet jedna sekunda. Na takie wieczyste cierpienia skazałem tego, nieszczęsnego człowieka. Jaka kara może zmazać tak niegodziwy uczynek? Och, lękam się, lękam się.

Był samą rozpaczą. Straszliwe łkania wstrząsały jego piersią. Spoglądał na obu mnichów oczami pociemniałymi od trwogi, a kiedy wejrzeli w nie, dostrzegli w źrenicach czerwony poblask, niczym dalekie odbicie ognia piekielnego.

- Zwołajcie mnichów, a powiem im, że zgrzeszyłem i na mą duszę nakażę im, by mnie biczowali wszyscy kołem.

Była to upokarzająca kara, w której wszyscy obecni zadawali ciągi pokutnikowi. Brat Antonio rzucił się w przerażeniu na kolana i z rękoma złożonymi niczym do modlitwy zaklinał swego mistrza, by odstąpił od tak strasznej próby.

- Bracia nie żywią do ciebie miłości, panie, źli są, bo zakazałeś im iść do kościoła dzisiejszego ranka.

Nie będą cię oszczędzać, gotowi zadawać razy bez żadnej litości. Mnisi często umierali po takich batogach.

- Nie chcę, by mnie oszczędzali. Jeśli umrę, sprawiedliwości stanie się zadość. Rozkazuję ci: przez wzgląd na śluby posłuszeństwa, uczynić, co każę.

Mnich podniósł się z klęczek.

- Panie mój, nie wolno wam wystawiać się na taką śmiertelną zniewagę. Jesteście biskupem Segowii.

Uczynicie

despekt całemu episkopatowi Hiszpanii. Umniejszycie poszanowanie dla wszystkich, którym Bóg dał równie wysokie zaszczyty. Pewniście, że nie przez fałszywą pokorę chcecie się wystawić na taką sromotę?

Nigdy nie odważył się jeszcze mówić do swojego ojca w Bogu równie nie znoszącym sprzeciwu tonem. Biskup słuchał zaskoczony. Byłbyż cień pychy w pragnieniu, by ukorzyć się tak na oczach ludzi? Spojrzał przeciągle na mnicha.

- Nie wiem - odparł wreszcie żałośnie. - Jestem jak człek błędzący pośród nocy po nieznannej krainie.

Może masz rację. Myślałem tylko o sobie, nie rozważyłem, jaki miałyby to skutek dla innych.

Ojciec Antonio odetchnął z ulgą.

- Wy dwaj wychłostacie mnie tutaj, z dala od ludzi.

- Nie, nie, nie, nie uczynię tego. Nie zadam gwałtu waszemu świątobliwemu ciału.

- Mam ci przypomnieć o twoich ślubach? - zapytał biskup z dawną surowością. - Tak mało mnie miłujesz, że wahasz się zadać mi błahą pokutę dla dobra duszy mojej? Bicz leży pod łóżkiem.

Unieszczęśliwiony mnich sięgnął poń w milczeniu. Były na nim ślady krwi. Biskup obnażył się do pasa, zdjął koszulę przetykaną drutem, kłującą niczym tarka, kaleczącą ciało. Ojciec Antonio wiedział, że Don Blasco zwykł nosić Włosienicę nie zawsze, by się do niej nie przyzwyczaić, ale tak często, by męka zawsze była świeża. Teraz, na widok straszliwej koszuli z drutu, zaparło mu dech w piersiach, choć był też zbudowany. Oto widzi przed sobą prawdziwie świętego człowieka. Nie omieszka odnotować tego w swojej księdze. Plecy biskupa nosiły ślady razów, które zadawał sobie przynajmniej raz w tygodniu. Były i otwarte ropiejące rany.

Objął ramionami wąską kolumnenkę, na której wspierały się

łuki dzielące jego celę, i wystawił plecy. W milczeniu ujawszy bicz, obydwaj poczęli kolejno wymierzać tnące do krwi razy. Przy każdym uderzeniu biskup wzdragał się, ale z jego ust nie dobył się najmniejszy jęk. Wymierzili mu nie więcej niż tuzin cięgów, gdy osunął się omdlały na posadzkę.

Unieśli go i złożyli na twardym łożu. Polali go wodą, ale nie odzyskiwał przytomności. Wystraszyli się. Brat Antonio posłał swego towarzysza, by powiedział braciom, że biskup zaniemógł, by wołali doktora; miał też upomnieć ich, że pod żadnym pozorem nie powinni przeszkadzać. Obmył poranione plecy, pełen niepokoju poszukał pulsu. Przez moment myślał, że biskup umiera, ale ten w końcu otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie; wreszcie uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nędzne ze mnie stworzenie - rzekł. - Zemdlałem.

- Nie mówcie nic, panie. Leżcie spokojnie. Ale biskup uniósł się na łokciu.

- Daj mi moją koszulę.

Brat Antonio ze wzdraganiem spojrział na okrutne narzędzie tortur.

- Panie mój, nie załóżycie jej przecież teraz.

- Daj mi ją.

- Zaraz przyjdzie medyk. Nie chcecie chyba, żeby widział ten przydziejek umartwienia.

Biskup opadł na twarde posłanie.

- Daj mi mój krzyż - rzekł.

Medyk nakazał, by pacjent pozostał w łóżku i powiedział, że przyśle lekarstwo. Przysłał wywar uspokajający, po którym biskup wkrótce zapadł w sen.

Rozdział szesnasty

Następnego dnia uparł się wstawać. Odprawił mszę. Choć słaby i przygnębiony, wydawał się spokojny i wypełniał swe zajęcia, jakby nic się nie wydarzyło.

Pod wieczór przyszedł mnich z wiadomością, że w rozmównicy czeka Don Manuel i pragnie z nim mówić. Myśląc, że brat usłyszał o jego chorobie, posłał słowo, że dziękuje za odwiedziny, ale pilne obowiązki nie pozwalają mu przyjąć go. Mnich wrócił, by powiedzieć, że Don Manuel nie odejdzie, póki nie zobaczy się z biskupem w niecierpiącej zwłoki sprawie. Blasco westchnął ciężko i kazał go wprowadzić. Od przyjazdu do Castel Rodriguez nie spotykali się więcej niż nakazywała grzeczność.

Chociaż strofował się za brak miłosierdzia, nie mógł przemóc niechęci do zadufanego w sobie prostaka.

Wszedł wystrojony, chwacki, pyszałkowaty, z obliczem, z którego biło zadowolenie z siebie. W

bezczelnych, błyszczących oczach, jeśli wzrok biskupa nie mylił, malowała się złośliwa przebiegłość.

Uśmiechnął się ponuro na widok nagiej, surowej celi. Biskup wskazał mu stołek.

- Nie masz, bracie, czego wygodniejszego do sięścia? - zapytał.

- Nie.

- Słyszałem, żeś zaniemógł.

- Błaha niedyspozycja. Wróciłem już do zdrowia.

- To dobrze.

Zaległa cisza. Don Manuel spoglądał na brata z na wpół szyderczym uśmiechem.

- Mówiłeś, że masz mi do powiedzenia rzecz niecierpiącą zwłoki - rzekł w końcu biskup.

- Mam, bracie. Wygląda na to, że wczorajsza ceremonia nie poszła po twej myśli.

- Bądź tak dobry i mów o swojej sprawie, Manuelu.

- Czemuś to myślał, że zostałeś wybrany, by uzdrowić dziewczynę z niemocy?

Biskup zawahał się. Chciał pominąć pytanie milczeniem, ale szukając umartwienia przed grubianinem, odpowiedział.

- Miałem znak, że to, co opowiadała dziewczyna, jest prawdą i choć wiem, że jestem niegodzien, uczułem, że jest moim obowiązkiem działać.

- Popełniłeś błąd. Trzeba ją było staranniej wy badać. Przenajświętsza Dziewica rzekła, że uleczyć ją jest w mocy tego syna Don Juana de Valero, który najlepiej służył Bogu. Czemuś przyszedł do przekonania, że o ciebie chodzi? Czy aby nie zabrakło ci chrześcijańskiej pokory?

Biskup pobrał.

- O czym ty mówisz? - wykrzyknął. - Powiedziała mi, że Matka Boska na mnie wskazała.

- To nieuczona, niemądra dziewczyna. Myślała, że ty musisz być naznaczony, bo jesteś biskupem, a tutejsi ludzie jakimś niewiadomym sposobem zwiedzieli się o twojej świętobliwości i umartwieniach.

Chcąc opanować gniew i wstyd, jakimi napełniły go słowa brata, biskup odmówił w myślach krótką modlitwę.

- Skąd to wiesz? Kto ci powiedział, że to właśnie rzekła Przenajświętsza Dziewica?

Don Manuel zaniósł się śmiechem, jakby usłyszał przedni koncept.

- Traf chce, że dziewczyna ma wuja imieniem Domingo Perez. Znaliśmy go w dzieciństwie. Jeśli mnie pamięć nie myli, byłeś z nim w seminarium.

Biskup skinął głową.

- Domingo Perez to opój. Moi słudzy wczoraj zachodzą do karczmy, gdzie spędza czas. Brata się z nimi, najpewniej by wyłudzić dzban wina, a dobrze już mu się ze łba kurzy. Wszyscy rozprawiają o wydarzeniach poranka, bo całe miasto zdążyło wziąć na języki twą ochybę, bracie. Domingo rzecze im, że niczego innego nie oczekiwał i że chciał cię przestrzec, ale nie dano mu do ciebie przystępu i odprawiono precz sprzed furty klasztoru. Powtarza słowo w słowo, co rzekła Przenajświętsza Panienska, jak mu powtórzyła siostrzenica.

Don Manuel dalej prawił, teraz już z nieskrywaną kpiną w oczach. Biskup słuchał w pomieszaniu, nie wiedząc, co odpowiedzieć i pytając sam siebie, cóż to za człowiek, co znajduje tak okrutną przyjemność w poniżaniu brata.

- Nie powstało ci w głowie, mój bracie, że to o mnie szło?

- O ciebie?

Biskup nie wierzył własnym uszom. Gdyby umiał się śmiać, uśmiełby się serdecznie.

- Dziwi cię to, bracie? Przez dwadzieścia i cztery lata służyłem Jego Królewskiej Mości. Setki razy wystawiałem życie na niebezpieczeństwo, stawałem chlubnie w wielu bojach i noszę na ciele zaszczytne blizny. Cierpiałem głód i łaknienie, straszliwe zimno przeklętych Niderlandów i letnią spiekotę. Tyś spalił kilka kop heretyków na stosie, ja, dla chwały bożej, tysiącami kładłem trupem onych potępieńców. Dla chwały bożej zostawiałem ich pola jałowe, spustoszone ogniem. Oblegałem kwitnące miasta, a kiedy się poddały, wycinałem w pień mężczyzn, kobiety i dzieci.

Biskup wzdrygnął się.

- Święte Oficjum skazuje oskarżonych w majestacie prawa. Daje sposobność poprawy i oczyszczenia z grzechów. Rozważnie wymierza sprawiedliwość, karze winnych, ale odpuszcza niewinnym.

- Zbyt dobrze znam tych Holendrów; by myśleć, że zdolni są żałować za grzechy. Mają herezję we krwi. Sprzeniewierzają się Kościołowi i królowi, toteż słusznie zasługują na śmierć. Nikt, kto mnie zna, nie zaprzeczy, że dobrze służyłem Bogu.

Biskup rozmyślał. Grubiaństwo i chępliwość brata przejmowały go wstrętem. Niepodobna, by Bóg obrał go za narzędzie swoich zamysłów, ale kto wie, czy nie uczynił tak właśnie, by okryć jego, Blasco de Valero, niesławą za dopuszczenie się śmiertelnego grzechu. Jeśli tak, musiał się ukorzyć.

- Niebiosa widzą, że jestem niegodny i że wiem o tym - rzekł w końcu. - W razie ci się nie powiedzie, a będziesz próbował, dasz miastu okazję do zgorszenia, prześmiewcom zaś sposobność do okrutnych kpin. Zaklinam cię, nie czyń niczego pochopnie, rozważ wszystko uważnie.

- O to się nie kłopotuj, bracie - chłodno odrzekł Don Manuel. - Radziłem się przyjaciół, a to najgodniejsi personaci w mieście. Zasięgnąłem zdania prałata i przeora tego klasztoru. Wszyscy, jak jeden mąż, są tej samej myśli.

Biskup znowu zamilkł. Wiedział, że wielu zazdrościło jemu i bratu, marnym szaraczkom, że doszli do tak wysokich godności. Być może, że przystali na pyszałkowane żądanie Don Manuela tylko po to, by widzieć, jak obydwaj okrywają się wstydem.

- Pamiętaj, że młoda Katalina Perez mogła być zwiedziona.

- Nie posmakujesz ciasta, póki go nie zjesz. Jeśli mi się nie uda, będzie to znak, że jest czarownicą i że trzeba ją wydać Inkwizycji, a ta już osądzi ją i ukarze.

- Skoro masz przyzwolenie miasta i gotów żeś na próbę, nie mogę nic uczynić, żeby cię powstrzymać.

Ale proszę, zachowaj wszystko w największym sekrecie, nie przyczyniaj większego zgorszenia niż to, które się już stało.

- Bardzom zobowiązany za twe rady, bracie. Dam im należyte baczenie.

Z tymi słowami Don Manuel opuścił celę. Biskup westchnął głęboko, czując, że dopełniła się czara goryczy. Klęknął przed czarnym krzyżem i począł się modlić w milczeniu. Potem zawołał braciszka i kazał mu sprowadzić Domingo Pereza.

- Jeśli go nie znajdziesz w domu, szukaj w karczmie koło pałacu, gdzie stanął mój brat, Don Manuel.

Proś, niech wyświadczy mi łaskę i przybędzie bez zwłoki.

Rozdział siedemnasty

Wkrótce braciszek przyprowadził Domingo do oratorium biskupa. Przez chwilę obaj spoglądali na siebie w milczeniu. Nie widzieli się od czasów młodości, gdy byli nieledwie wyrostkami w seminarium w Alcalá de Henares. Teraz obaj byli już w latach, dochodzili podeszłego wieku, obaj wyniszczeni i wychudzeni. Ale jeden wyniszczony był surowym życiem, długimi czuwaniem, postami i nieustanną pracą, drugi przez pijaństwo i rozpustę. Jeśli nawet dopatrywać się jakiegoś podobieństwa postaci, nie znalazłbyś żadnego w usposobieniu. Biskup był znękanym i niespokojnym, skrytym, beztrudnym i wesołym. Nosił klerkowski kaftan, wytarty i pozieleniał z starości, poplamiony na przodzie winem i jedzeniem. Obaj jednak odznaczał się ascetyzmem i dystynkcją właściwą ludziom intelektu.

- Wasza Miłość pragnął mnie widzieć - rzekł Domingo. Na ustach biskupa pojawił się prawie niezauważalny,

łagodny uśmiech.

- Wiele czasu minęło od chwili, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, Domingo.

- Różne obraliśmy drogi. Dziwne mi, że Wasza Miłość pamięta jeszcze takiego niegodnego biedaka jak Domingo Perez.

- Znamy się całe życie. Wstyd mi, że robisz sobie ze mną takie ceremonie. Od lat już nikt nie mówił do mnie Blasco.

Domingo posłał mu rozbijający uśmiech.

- Moźni tego świata nie mają przyjaciół, drogi Blasco. To cena, jaką płaci się za bycie wielkim.

- Zapomnijmy na godzinę o mojej nieszczęsnej wielkości i pomówmy jak starzy druhowie, którymi niegdyś byliśmy. Myliłeś się, sądząc, że zapomniałem o tobie, zbyt byliśmy sobie bliscy. Dochodziły do mnie wieści o twoim życiu.

- Niezbyt budujące, to pewna.

Biskup siadł na stołku, wskazując drugi gościowi.

- Co więcej, nie traciłem cię z oczu za sprawą twych listów.

- Jakże to? Nigdy do ciebie nie pisał.

- Nie we własnym imieniu, ale dość twoich wierszy przeczytałem w młodości, by nie rozpoznać twojej ręki. Myślisz, że jej nie dojrzałem w listach, które ślali mi ojciec i mój brat, Marcin? Wiem przecież, że nigdy nie potrafiliby składać zdań równie wytwornych i zgrabnych. Były tam wyrażenia, formuły i myśli, w których rozpoznawałem twoją duszę łazika.

Domingo roześmiał się.

- Talenty literackie Don Juana i twego brata Marcina nie są nadzwyczajne. Kiedy donosili, że są zdrowi, czego i tobie życzą, i że zbiory były nędzne, pisali wszystko, co mieli do powiedzenia.

Musiałem kolorować ich gołe zdania baj aniami zebranych po mieście, bagatelami i próżnymi żartami, jakie przyszły mi do głowy.

- Jakie to smutne, że marnujesz tak wielkie dary, Domingo. Co ja zdobywałem wysiłkiem i ciężką pracą, tobie przychodziło w jednym przecuciu. Często przyprawiałeś mnie o trwogę zuchwałością myśli, nieprzewidzianym tokiem conceptów rodzących się tak swobodnie, jak strumień tryska ze źródła, ale nigdy nie wątpił w bystrość twego umysłu. Urodziłeś się

dla lepszych *rzeczy* i gdybyś nie był niespokojnym duchem, mógłbyś stać się ozdobą naszego Świętego Kościoła.

- Zamiast tego - odparł Domingo - jestem biednym skolarzem, dramatopisarzem, który nie znajduje aktorów, chętnych odgrywać jego sztuki, wyrobnikiem układającym kazania klechom zbyt głupim, by sami je pisali, trochę moczygębą i w ogóle ze mnie nic dobrego. Nie miałem powołania, mój dobry Blasco. Życie mnie okpiło. Moje miejsce nie w klasztorze i nie przy domowym ognisku, jeno na szerokim gościńcu z jego przygodami i niebezpieczeństwami, spotkaniami trafem zrzadzonymi i cudną odmiennością. Żyłem. Cierpiałem głód i pragnienie, pęcherze na stopach, kije i wszelką niepomyślność, jaka przesładuje człowieka. Żyłem. Nawet teraz, kiedy czas grzbiet mi przygarbił, nie żałuję przetraconych lat, bo i ja spałem na Parnasie, a kiedy wyprawiam się do jakiejś odległej wsi, żeby pisać coś jakiemuś nieuczonemu błaznowi albo kiedy siedzę w swojej izbie otoczony książkami i rymuję strofy w sztuce, której nikt nigdy nie zagra, przepełnia mnie taki zachwyty, że nie zamieniłbym się z purpuratami i samym papieżem.

- Nie lękasz się gniewu bożego? Zapłatą za grzechy jest śmierć.

- Czy to biskup Segowii zadaje mi pytanie, czy stary i drogi przyjaciel, Blasco de Valero?

- Nigdy nie zdradziłem przyjaciela czy wroga. Tak długo, jak nie powiesz nic przeciwko wierze, mów, co chcesz.

- Oto więc odpowiedź: wiemy, że atrybuty Boga są nieograniczone i zawsze dziwne mi było, że człowiek nie liczy pomiędzy nie zdrowego rozsądku. Trudno uwierzyć, by Pan stworzył tak piękny świat i nie pragnął, żeby człowiek się nim radował. Czy uczyniłby gwiazdy równie cudne, śpiew ptaków tak słodki, kwiaty pachnące, gdyby nie chciał, żebyśmy czerpali z nich rozkosz? Grzeszyłem

przed ludźmi i ludzie

mnie potępili. Bóg stworzył mnie człowiekiem ze wszystkimi namiętnościami danymi człowiekowi.

Dałby mi je po to, bym je powściągał? Dał mi awanturniczego ducha i miłość życia. Mam pokorną nadzieję, że kiedy stanę przed moim Stwórcą, przebaczy mi moje niedoskonałości i znajdę łaskę w Jego oczach.

Biskup wyglądał na srodze zatroskanego. Mógł rzec biednemu poecie, że znaleźliśmy się na tym padole, żeby gardzić jego rozkoszami, opierać się pokusom, zwyciężać siebie i nieść nasz krzyż, byśmy w końcu, nieszczęśni grzesznicy, mogli okazać się godni komunii z Najwyższym. Ale na cóż zdałyby się jego słowa? Pozostawało mu tylko modlić się, by nim śmierć nadejdzie, łaska boża spłynęła na tego biednego człowieka, sprawiając, że pożałuje złych uczynków. Zapadła cisza.

- Nie po to posłałem po ciebie, by mówić, jak masz naprawić swoje życie - odezwał się w końcu biskup. - Łacno mógłbym odeprzeć twoje błędne sądy, ale wiem z dawnych czasów, jak przemyślnie potrafisz z czarnego uczynić białe, wiem, jaką radość sprawia ci wygłaszać przekorne sofizmaty.

Chętnie wierzę, że dużo z tego, coś tu mówił, powiedziałaś tylko po to, by zabawić się moim kosztem.

Masz siostrzenicę.

- Mam.

- Co myślisz o historii, która uczyniła tyle zamieszania?

- To cnotliwa i prawdomówna dziewczyna. Jest dobrą katoliczką, nie więcej bogobojną niż trzeba.

- Ponieważ rozumiem, że tobie zawdzięcza swoją edukację, jest pewnie tak, jak powiadasz.

- Nie w głowie jej fantazje. Już prędzej, jak to często biedacy, ma nieco przyziemny umysł. Nikt jej nie zarzuci, że posiada niefortunny dar wyobraźni.

- Wierysz, że naprawdę ukazała się jej Przenajświętsza Dziewica?

- Różnie myślałem do wczoraj, póki mi nie powtórzyła wiernie słów Maryi Panny. Wtedy nabrałem pewności. Dlatego szukałem u ciebie posłuchania. Pojąłem od razu ich znaczenie i chciałem ci oszczędzić próżnych zabiegów. Nie wpuścili mnie.

Biskup westchnął.

- Nie ostatni to krzyż, który musimy dźwigać, że towarzysze naszych trudów, w staraniach o nasz spokój, nie dają do nas dostępu tym, których widzieć byłoby dla nas z korzyścią.

- Czas nie umniejszył uczucia, które związało mnie z tobą za młodu, bo widzisz, że ja grzesznik potrafię ulec ślepym porywom serca. Chciałem ustrzec cię przed upokorzeniem, wiedziałem bowiem, że będzie ono gorzkie. Jak tylko dziewczyna powtórzyła mi wiernie słowa Przenajświętszej

Dziewicy, zrozumiałem, komu przeznaczone wyleczyć ją z niemocy.

- Mnie rzekła, że Matka Boska na mnie wskazała.

- To zrozumiały błąd u dziewczyny, która słyszała o twych umartwieniach, cnocie i surowym życiu.

Matka Boska powiedziała jej, że moc uleczenia choroby leży w rękach tego z synów twego ojca, który najlepiej służył Bogu.

- Już to słyszałem.

- Nie wiesz jeszcze o kogo szło? To jasne jak słońce. Biskup pobladł. Spojrzał niespokojnie na Domingo.

- O mego brata Marcina?

- Piekarza.

Krople potu zrosiły czoło biskupa. Przeszedł go dreszcz, jakby kto stąpał po jego mogile.

- To nie może być. Jest bez wątpienia poczciwym człowiekiem, ale ziemskim, ziemskim.

- Czemu nie może być? Bo niekształcony? To jedna z tajemnic naszej wiary, że Bóg, który dał człowiekowi rozum i wyniósł nad inne stworzenie, nigdy, jak nam powiadają, nie przykładał wielkiej wagi do władz umysłu. Twój brat jest

dobrym i prostym człowiekiem. To wierny swojej niewieście mąż i kochający ojciec. Szanuje matkę i ojca. Karmił ich, kiedy byli głodni, i doglądał w chorobie. Z pokorą znosił ojcowską wzgardę i matczyny smutek, że on, szlachcic z urodzenia, obrał zajęcie, które umniejszało go w oczach głupców.

Z pogodą przyjmował lekceważenie panów i drwiny pospółstwa. Jak nasz praojciec Adam, pracował na chleb w pocie czoła i cieszył się, że dobry to chleb. Z wdzięcznością witał radości życia, zaś jego smutki przyjmował z cichą rezygnacją. Wspomagał potrzebujących. Był miły w mowie i obejściu, przyjazny ludziom. Nieznane są ścieżki Pana i bardzo być może, że w jego oczach Marcin piekarz pracowitym, uczciwym życiem, dobrocią i prostoduszną pogodą lepiej mu służył niżli ty, któryś szukał odkupienia w modlitwie i pokucie, albo twój brat Manuel, który chlubi się tym, ile kobiet i dzieci posłał na śmierć i ile kwitnących miast obrócił w ruinę.

Biskup z wysiłkiem przeciągnął ręką po czole. Twarz miał zbolaną.

- Znasz mnie aż nazbyt dobrze, Domingo - powiedział drżącym głosem - by sądzić, że podjąłem się, czegom się podjął, nie spoglądając uważnie w głąb serca. Wiedziałem, że tego niegodny i moja dusza była w pomieszaniu, ale przyjąłem dany mi znak jako rozkaz, by wypełnić wolę Boga. Myliłem się. A teraz mój brat Manuel gotów jest zrobić to, czego mnie nie udało się dokonać.

- Już jako chłopiec silniejszy był raczej na ciele niż na umyśle.
- Jest równie uparty jak głupi. Miejscy personaci podbechtują go, żeby wystawić go na pośmiewisko.

Otrzymał przyzwolenie kanonika i przeora klasztoru.

- Za wszelką cenę musisz go powstrzymać.
- Nie w mojej to władzy.
- Jeśli twój brat nie odstąpi od tego szaleństwa, zechce potem wziąć odwet na nieszczęsnej dziewczynie. Ludzie staną po jego stronie. Nie będą mieli litości. Przez naszą dawną przyjaźń zaklinam cię, uchronij ją przed jego pomstą i dzikim gwałtem pospólstwa.
- Na krzyż, na którym został ukrzyżowany nasz Zbawiciel, przysięgam ci, że oddam życie, jeśli będzie trzeba, byle nie stała się jej krzywda.

Domingo podniósł się.

- Dziękuję ci z całego serca. Żegnaj, mój drogi. Różne są nasze ścieżki i więcej się nie spotkamy.

Żegnaj na zawsze.

- Żegnaj. Och, Domingo, jestem nieszczęśliwym człowiekiem. Módl się za mnie, módl się we wszystkich modlitwach, by Bóg zechciał uwolnić mnie od ciężaru żywota.

Był tak zgnębiony, jego postać tak żałosna, że starego opoja zdjęło współczucie. W nagłym porywie serca objął biskupa i ucałował w obydwie policzki. Grzesznik przycisnął świętego do piersi i zniknął.

Rozdział osiemnasty

Tej nocy wydarzyła się rzecz bardzo dziwna. Księżyc w pełni, przemierzający firmament zwykłym biegiem, świecił tak jasno, że bezchmurne niebo połyskiwało niczym aksamitny płaszcz okrywający Przenajświętszą Panią. Mieszkańcy Castel Rodriguez spali. Nagle rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście, tak głośno, że mogłyby poderwać martwego. Ludzie przebudzili się, jedni podbiegli do okien, inni, na wpół ubrani, w biegu narzucając odzienie, wylegli na ulice. Dzwony kościelne o tak niezwykłej godzinie oznaczały, że w jakiejś części miasta wybuchł pożar. Strwożone gosposie zbierały pospiesznie co cenniejszy dobytek, bo gdy gdzieś pojawił się ogień, nie było wiadomo, jak daleko sięgnie, należało zatem zawczasu ratować co można. Niektórzy w przerażeniu wyrzucali pościel przez okna, inni wynosili nawet meble przed domy.

Ulice zaroily się ludźmi. Wiedzeni jednym odruchem gromadzili się na wielkim placu, który stanowił dumę miasta. Dopytywano, gdzie pojawił się ogień. Mężczyźni złorzeczyli, kobiety załamywały ręce.

Ludzie biegali niespokojnie sprawdzając, czy ich domy są jeszcze bezpieczne, na próżno wypatrywali na niebie łuny, wskazującej feralne miejsce. Napływający na plac z różnych części

miasta jednak twier-

dzili, że tam, skąd przybywają, nie ma śladu ognia. Bo też ognia nigdzie nie było. Nagle wszyscy, jakby tknięci jedną myślą, orzekli, że to psotne wyrostki dla zabawy puściły w ruch dzwony, żeby wyciągnąć ludzi z łóżek i wystraszyć ich do utraty zmysłów. Rozzłoszczeni mężczyźni, gotowi sprawić setne lanie niewczesnym żartownisiom, ruszyli w stronę wież kościelnych, gdzie przywitał

ich nieoczekiwany widok. Sznury podskakiwały w górę i w dół nie tknięte ludzką ręką. Przez chwilę patrzyli oniemiałi na dziwne zjawisko, po czym zaopatrzeni w pochodnie i latarnie ruszyli stromymi schodami na szczyty wież. Gdy dotarli na górę, ogłuszył ich potężny dźwięk. Dzwony rozkołysane w zawrotnym tańcu wybrzmiewały uderzeniami serc o lany brąz. Nikogo nie było. Żaden człowiek nie zdołałby wprowadzić ich w tak donośny ton. Można by pomyśleć, że dzwony nagle oszalały. Dzwoniły same z siebie.

Zadyszani, z trwogą w sercach, umykając w dół schodami, jakby ich diabeł gonił, wybiegli na ulice i w gwałtownych słowach, z nieopanowanymi gestami opowiadali, co ujrzeli.

Cud się zdarzył. To Bóg wprowadził w ruch dzwony i nikt nie potrafił powiedzieć czy to dobry, czy zły omen dla miasta. Ludzie padali na kolana i zanosili głośnie modły. Grzesznicy pomni na swe występki oczekiwali dnia Sądu. Proboszcze otworzyli kościoły, do których cisnął się tłum na wspólną modlitwę o miłosierdzie Boga nad jego stworzeniem. Wreszcie uspokojeni ludzie milczkiem, chyłkiem, z ostudzonymi głowami wrócili do domów.

Rozdział dziewiętnasty

Nikt nie wiedział, jak to się zaczęło i czy myśl ta najpierw zaświtała w jakiejś niespokojnej głowie, czy też wielu wpadło na nią równocześnie. Szerzyło się niczym cholera: nie wiadomo, czy przyniósł ją do miasta jakiś przybysz z dalekich stron, czy jakieś złe wiatry siały zarazę; tu jakiś mężczyzna zaczynał się skarżyć, ówdzie umierała jakaś niewiasta, i nim zdałeś sobie sprawę z niebezpieczeństwa, była wszędzie, a grabarze nie nadążali kopać grobów. Nim dzień wstał na dobre, wśród mieszkańców Castel Rodriguez zapanowało przekonanie, iż tajemnicze wypadki ostatniej nocy mają jakiś związek z ukazaniem się Katalinie Perez Przenajświętszej Panienki. O niczym innym nie mówiono. Rajcy rozważali rzecz w ratuszowych salach, księża w zakrystiach, szlachta po pałacach. Pospólstwo na ulicy, kumoszki na targu, sklepikarze w sklepach rozprawiali i dziwowali się, a mnisi po klasztorach i zakonnice w konwentach odrywali się od modłów.

Wszyscy zdawali się jak jeden mąż zgodni, na kogo wskazywały niejasne słowa Przenajświętszej Panienki. Niemało było takich, szczególnie pośród świeckiego duchowieństwa, którzy zadawali sobie pytanie czy Bóg, niechętny przesadnej ascezie biskupa i pewnej arogancji w pokorze, nie udzielił mu tym sposobem boskiego napomnienia. Don Manuel był jednak

bez zmazy i winy. Oddał najlepsze lata życia w służbie Boga i Król Jegomość, pomazaniec Wszechmogącego na tym padole, pieczętował jego cnoty i zasługi, gdy obdarzył go znacznymi honorami. Dla wszystkich, duchownych i świeckich, bogatych i biednych, szlachetnie urodzonych i prostaczków było jasne, że Don Manuelowi przeznaczone jest dokonać cudu z bożego dopustu.

Deputacja złożona z wyższego duchowieństwa, możnych panów i szacownych przedstawicieli magistratu zjawiała się u niego, by przekazać jednobrzmiącą opinię. Don Manuel w prostych żołnierskich słowach oświadczył, iż oddaje się do ich dyspozycji. Uradzono, że ceremonia odbędzie się następnego dnia w kolegiacie. Don Manuel prosił prałata o popołudniową spowiedź, a że komunię chciał przyjąć rano następnego dnia, zmuszony pościć do tego czasu odwołał kolację, którą miał tego wieczoru podejmować przyjaciół. Będąc skrupulantem, dołożył wysiłków, by przy tak doniosłej okazji nie pominąć niczego, co mogłoby zwiększyć skuteczność jego interwencji. Po trzykroć bezpieczny ten, kto, wolny od grzechu i winy, pokłada ufność w Bogu.

Przeor klasztoru Dominikanów osobiście powiadomił biskupa, co postanowiono, prosząc jednocześnie, by poprowadził procesję mnichów, którzy mieli uczestniczyć w ceremonii. Don Blasco wyczuł przytyk w słowach przeora, ale, dziękując za honor, przyjął propozycję z należytą powagą.

Czuł się bezradny. Nie przywiązywał wagi do tego, co Domingo mówił o Marcynie, zbyt dobrze znał jego prześmiewczą naturę

i uświadomienie paradoksów, był jednak mocno przekonany, że Don Manuel nie jest tym, który ma dokonać cudu. Chętnie wymówiłby się od konieczności oglądania sromoty, jaką brat sobie gotował, wiedział jednak, że będzie mu to poczytane za oznakę urazy. Nie godziło się z jego urzędem dawać złym językom okazję do obmowy. Poza wszystkim winien dotrzymać obietnicy złożonej Domingo.

Znał głupotę i okrucieństwo

łuszczy, wszystko jedno czy byli wśród niej szlachetnie, czy nisko urodzeni. Więcej niż prawdopodobne, że zawiedzeni w oczekiwaniu cudu, zechcą wziąć pomstę na nieszczęsnej dziewczynie. Jeśli do tego dojdzie, może potrafi uchronić ją przed gwałtem.

Następnego dnia z ciężkim sercem, w towarzystwie obydwu wiernych sekretarzy poprowadził mnichów z klasztoru do kościoła.

Świątynia była już przepelniona po brzegi, a ciągle jeszcze napływali ludzie ciekawi ujrzeć, jak na ich oczach dokonuje się cud. Dano przejście i biskup z sunącymi w ślad za nim mnichami ruszył powoli nawą. Zajął miejsce na stolcu ustawionym z boku przed głównym ołtarzem. W prezbiterium zasiadały wszystkie znaczne osobistości miasta. Pojawił się właśnie Don Manuel z kompanią przyjaciół i skierował na miejsce po drugiej stronie ołtarza. Nosił paradną zbroję z napierśnikiem ze złotym damaskiną i wspaniałą płaszcz z zielonym krzyżem orderu Calatravy. Moźni zasiadający w prezbiterium odziani w najkosztowniejsze szaty śmiali się i rozmawiali, wymieniano ukłony i uśmiechy. Ciżba w nawie w głos rozprawiała, nawoływano się niczym na walkach byków. Biskup patrzył z oburzeniem na tę kpinę z religii. Zastanawiał się, czy nie wstać i nie upomnieć tłumu za bezceremonialność i brak poszanowania.

U stopni ołtarza, wspierając się na kuli, klęczała Katalina.

Z chóru dobiegły pierwsze dźwięki organów, radosne tony popłynęły pod sklepienie. Przestronny i

zrazu prosty kościół kolejne głowy domu Henriąquezów przyozdobiły bogatym stropem z malowanego drewna, przydały obrazom nad ołtarzami masywne złożone ramy, a figurom świętym wspaniałe szaty.

W prezbiterium pyszniły się stalle misternie cięte w drewnie, w kaplicach nagrobki, w których spoczywały doczesne szczątki zmarłych ksiąząt i ich konsortek, wcześniejsze w kamieniu,

ponure i surowe, późniejsze w marmurze bogato rzeźbionym. Mroczne światło sączyło się przez witrażowe okna, w powietrzu unosił się ciężki zapach kadzidła.

Pojawił się ksiądz ubrany w bogate szaty noszone od wielkiego święta, a darowane kościołowi przez bogobojne i szlachetne damy. Wikary uniósł kielich i patenę; zaczęła się msza. Podczas Eucharystii dreszcz trwogi przeszedł tłumne zgromadzenie. Prałat celebrans przyjął komunię, potem udzielił jej Don Manuelowi i Katalinie. Wreszcie nadszedł moment niecierpliwie wyczekiwany przez tłum. Dał

się słyszeć dziwny odgłos ni to głosów, ni to poruszeń - przypominał powiew wiatru w sosnowym lesie, jakby samo oczekiwanie przyobiekło słyszalną formę.

Don Manuel powstał i ruszył w stronę klęczącej dziewczyny. W zbroi i pysznym płaszczu spływającym z ramion prezentował się imponująco, wręcz wspaniale. Scena, chwila przydawały mu niezwyklej godności. Pewien swej mocy złożył dłonie na głowie dziewczyny i głosem donośnym, jakby wydawał swemu regimentowi rozkaz natarcia, słyszalnym w najdalszym zakątku ogromnego kościoła, powiedział:

- W imię Boga Ojca i Syna Bożego, i Ducha Świętego nakazuję ci Katalino Perez powstań, odrzuć precz kulę i idź!

Prawie nieprzytomna z przejęcia przerażona dziewczyna dźwignęła się ciężko i odrzuciła kulę.

Postąpiwszy krok do przodu z przeraźliwym krzykiem padła jak długa. Po raz kolejny cud się nie dokonał.

Podniosła się wrzawa, szal ogarnął tłum. Mężczyźni grzmieli, kobiety jazgotały. Wszyscy krzyczeli gniewnie.

- Czarownica, czarownica! - dochodziło zewsząd. - Stos, stos, stos! Spalić ją!

Wiedziona nagłym impulsem cizba runęła ku zakrystii, gotowa rozedrzeć ofiarę na strzępy. Ludzie popychali się nawzajem. Ci, co upadli, byli brutalnie tratowani, ich krzyki dopełniały straszliwego wrzasku.

Biskup porwał się na równe nogi i zwinnym ruchem rzucił naprzód, zasłaniając drogę rozsierdzonemu tłumowi. Uniósł ramiona; wielkie ciemne oczy pały blaskiem.

- Odstąpcie! Odstąpcie! - zagrzmiął. - Kim żeście, by bezcześcić miejsce święte. Odstąpcie, powiadam wam! Odstąpcie!

Na ten straszny widok tchnienie grozy wydarło się z tysiąca gardeł. Tłum zamarł, jakby rozwarła się

przed nim czarna czeluść. Cofnął się. Przez chwilę biskup mierzył zgromadzenie wzrokiem pociemniałym od gniewu.

- Nikczemnicy, nikczemnicy! - krzyczał, zaciskając pięści i wyrzucając przed siebie ramiona, jakby miał miotać gromy. - Na kolana! Módlcie się o przebaczenie, bo dopuściliście się zniewagi w domu bożym.

Na te straszne słowa jedni ze szlochaniem padli na kolana, inni wpatrzeni w groźną postać trwali bez ruchu jak zakłęci. Biskup powoli wodził wzrokiem po całym zgromadzeniu, a wszystkim się zdawało, że gniewne oczy wpatrują się w niego i tylko w niego. Zapadła cisza przerywana tu i ówdzie niewieściami szlochami.

- Słuchajcie - przemówił w końcu biskup. - Słuchajcie, co rzeknę. - Jego głos był już mniej straszny, choć surowy, stanowczy i władczy. - Słuchajcie! Znacie słowa, które Matka Boska wypowiedziała do Kataliny Perez. Wiecie, że niezwykle rzeczy wydarzyły się w mieście, siejąc zamęt i niepokój w waszych umysłach. Przenajświętsza Dziewica rzekła dziewczynie, że syn Don Juana de Valero, który najlepiej służył Bogu, ma od Boga daną moc uleczyć ją z kalectwa. W grzesznym zadufaniu i próżności ja, który do was mówię, i Don Manuel, mój brat, mieliśmy czelność mniemać, że wybór padł na jednego z nas. Gorzko zostaliśmy ukarani za naszą pychę. Wszak Don Juan ma jeszcze jednego syna.

Tłum przerwał mu okrzykami i śmiechami.

- *El panadero* - wykrzykiwano. - Piekarz.

Potem prześmiewczo zaintonowali w nieskładnym rytmie.

- *El panadero. El panadero.*

- Zamilczcie! - wykrzyknął biskup. Ludzie zaczęli się nawzajem uciszać.

- Śmieście się. Niczym zgrzyt cierni o dzban jest śmiech głupców. Czegóż Pan żąda od was, jak nie byście czynili sprawiedliwość, okazywali miłosierdzie i szli przez życie z pokorą w sercu. Hipokryci i bluźniercy! Cudzołożnicy! Nikczemność, nikczemność, nikczemność!

Powtarzał słowa z coraz większą przyganą. Ci, co słuchali, kurczyli się jak człowiek, któremu bluznąć w twarz szklanicą lodowatej wody. Strasznie było patrzeć na gniew biskupa, gdy rzucał tłumom wzdurliwe spojrzenia.

- Są tu familianci Świętego Oficjum?

Dziwny odgłos, jakby westchnienie zaskoczenia, przeszedł przez ciżbę. Wszyscy wstrzymali oddech -

słudzy Inkwizycji napawali ich przerażeniem. Ludzie zadrżeli, nie wiedząc, co mają oznaczać te złowieszcze słowa. Kilku mężczyzn w prezbiterium poruszyło się w stallach.

- Niech tu postąpią - rzekł.

Jako że familianci Świętego Oficjum zażywali władzy, wpływów, a nade wszystko ochrony dla ich przerażających uczynków, wybierano ich spośród najznamienitszych. W Castel Rodriguez było ich wszystkiego ośmiu. Chwilę trwało, nim podnieśli się ze swoich miejsc i stanęli za plecami biskupa.

Czekał. Gdy ucichły kroki, wiedział, że ma ich obok siebie.

- Słuchajcie - przemówił znowu, a jego wyciągnięty palec zdawał się oskarżająco wskazywać z osobna na każdą z drżących istot ludzkich. - Święte Oficjum nie czyni nic w gniewie ani w pośpiechu.

Każe sprawiedliwie winnych, ale okazuje miłosierdzie skruszonym grzesznikom.

Przerwał; zapadła przeraźliwa cisza.

- Nie wam, żmii pomioście, oskarżać tę nieszczęsną dziewczynę. Jeśli zmysły ją omamiły lub Szatan opętał, Święte Oficjum dojdzie prawdy. Jeśli próba zawiedzie, tu przytomni familianci postawią ją przed trybunałem. Ale nie koniec jeszcze próbie. Gdzie jest Marcin de Valero?

- Tutaj, tutaj - odezwało się kilka głosów.

- Niech wyjdzie.

- Nie, nie, nie - dał się słyszeć głos Marcina piekarza.

- Jeśli tu nie postąpi z własnej woli, przymusimy go - powiedział biskup zdecydowanie.

Zaczęła się szamotanina, ludzie popychali i szarpali Marcina. Wreszcie tłum się rozstał i piekarz został przyprowadzony przed stopnie prezbiterium. Mężczyźni cofnęli się, zostawiając go samego.

Przyszedł z piekarni ujrzeć cud, o którym wszyscy rozprawiali, ubrany w robocze odzienie, z twarzą czerwoną od żaru pieca i szarpaniny. Dzień był upalny, pot perlił się na jego czole. Na okrągłej, pogodnej twarzy malowało się zmieszanie.

- Podejdz - rzekł biskup.

Niczym wiedziony jakąś siłą, której nie mógł się oprzeć, piekarz wszedł na stopnie prezbiterium.

- Bracie, bracie, cóż mi czynisz? - wykrzyknął. - Jak mam sprawić to, co nie jest w mojej mocy?

Jestem tylko wyrobnikiem i nie lepszy ze mnie chrześcijanin od mego sąsiada.

- Zamilcz!

Biskup nie łudził się, że piekarz może dokonać cudu, pomyślał o nim pod wpływem impulsu, szukając sposobu ratowania Kataliny przed oszalałą tłuszcą. Potrzebował chwili zwłoki, by uspokoiły się namiętności. Wiedział już, że dziewczyna jest bezpieczna. Chroniła ją obecność familiantów, a że w mieście nie było więzienia Inkwizycji, mogli powieść ją z jego rozkazu do

klasztoru. Kiedy dziewczyna tam się znajdzie, będzie czas rozważyć, jakie podjąć kroki.

- Czyż garncarz nie ma władzy nad gliną, czyniąc z tej

samej grudki raz godne, raz niegodne naczynie? Nie masz przed Bogiem ludzi bardziej i mniej zasłużonych. Poniżeni zostaną wywyższeni, a ci, co się wywyższają, będą poniżeni. Przeprowadźcie dziewczynę.

Katalina leżała tam, gdzie upadła. Głowę ukryła w ramionach; łkania wstrząsały jej drobnym ciałem.

Nikt nie zwracał na nią więcej uwagi niż na psią padlinę przy drodze. Dwóch familiantów uniosło ją i postawiło przed biskupem. Wsparta na kuli, złożyła dłonie w geście suplikacji. Po twarzy spływały jej łzy.

- Panie, mój panie, miej litość nade mną! - wykrzyknęła. - Zaprzestańcie, błagam was! Wszystko na próżno! Pozwólcie pójść do domu, do matki.

- Klęknij! - nakazał. - Klęknij!

Z rozpaczliwym łkaniem dziecko padło na kolana.

- Połóż dłoń na jej głowie - polecił bratu.

- Nie mogę. Nie potrafię. Lękam się.

- Pod groźbą ekskomuniki nakazuję ci uczynić, co powiadam - rzekł biskup surowo.

Biedak zadrżał widząc, że brat nie cofnie się przed spełnieniem straszliwej groźby. Wstydliwie położył drżącą, brudną jeszcze dłoń na głowie dziewczyny.

- Wypowiedz teraz te same słowa, które wypowiedział twój brat, Manuel.

- Kiedy ich nie pamiętam.

- Ja będę zatem mówił, a ty powtarzaj za mną. Ja, Marcin z Valero, syn Juana z Valero.

Marcin powtórzył.

- Ja, Marcin z Valero, syn Juana z Valero.

Biskup wypowiedział ostatnie decydujące słowa donośnym, mocnym głosem, ale Marcin powtórzył je tak cicho, że ledwie dało się je słyszeć. Katalina, jak jej nakazano, dźwignęła się z klęczek i gestem pełnym rozpaczy odrzuciła kulę. Chwiała

się przez moment, ale nie upadła. Stała. Potem, z krzykiem i łkaniem, niepomna gdzie jest, odwróciła się i zbiegła po schodach prezbiterium.

- Matko, matko!

Maria Perez, która przyszła z Domingiem, nieprzytomna z radości poczęła przepychać się przez tłum ku córce. Katalina padła w jej objęcia z płaczem.

Zbita ciżba trwała przez chwilę w bezruchu. Ludziom ze zdziwienia dech zapało, po czym podniósł się rwetes, jakiego świat nie słyszał.

- Cud! Cud!

Krzyczeli. Klaskali w dłonie. Kobiety powiewały chustkami do nosa. Mężczyźni krzyczeli „ole, ole”, niczym w czasie walki byków, gdy jeden z torreros wykona jakiś trudny obrót; rzucali kapeluszami jak przed matadorem, który trzymając swoją caudrillę z tyłu, obchodzi arenę zbierając poklask widzów. Ponad zgiełk wznosiły się zawrota kobiet, śpiewających na jakąś mauretańską melodię hymny do Madonny. Wydawało się, że tumult nigdy nie ustanie. Obcy ludzie padali sobie w objęcia.

Mężczyźni i kobiety płakali z radości. Na własne oczy ujrzeli cud.

Nagle przez podniecony, rozszalały tłum przebiegł szmer i wszystkie oczy skierowały się na biskupa.

Marcin, zawstydzony, ledwie zdolny pojąć, co zaszło, cofnął się. Dominikanin stał teraz samotnie na szczycie stopni prezbiterium zwrócony plecami do głównego ołtarza. W połatanym i spar-ciałym habicie, wychudzony, ale wysoki i wyprostowany, budził lęk swoim widokiem. Cudowne było to, że stał skąpany w świetle, a aureola otaczała całą jego postać od stóp do głów.

- Święty, święty - zakrzyknęli ludzie, chłonąc oczami dziwny i straszny widok. - Błogosławiona niewiasta, która cię zrodziła - krzyczeli. - Dozwól teraz sługom swoim odejść w pokoju. Szczęsny, szczęsny dzień!

Nie wiedzieli, co mówią. Nie posiadali się z radości, miłości i trwogi. Tylko Domingo zauważył, że jedna z szybek witrażowych była zbita i trzeba trafu, że promień słońca wpadający przez otwór oświetlił biskupa i skąpał go w glorii.

Don Blasco uniósł rękę, nakazując ciszę. Wszystko się natychmiast uspokoiło. Stał przez chwilę, spoglądając na morze twarzy ze smutnym i surowym obliczem, po czym, uniósłszy głowę, z nieobecnym wyrazem tragicznych oczu, jakby ujrzął w duszy Pana Zastępów, począł wolno i uroczyście odmawiać *Credo*. Wszyscy znali słowa modlitwy, której słuchali każdej niedzieli w czasie mszy świętej; po kościele niósł się szmer powtarzanych wersów niby szurgot dalekich kroków.

Skończył. Odwrócił się i podszedł do głównego ołtarza. Otaczające go światło zniknęło. Domingo spojrzawszy w okno ujrzął, że słońce w swojej niezmordowanej wędrówce po nieboskłonie przesunęło się i żaden promień nie wpadał już przez rozbitą szybkę. Biskup legł krzyżem, składając dzięki Bogu w niemej modlitwie. Wielki ciężar spadł z jego umęczonego serca, bo uczył z całą wyrazistością, że choć to ręka Marcina spoczęła na głowie dziewczyny, brat był zaledwie narzędziem, które podobało się użyć Bogu, by on, Blasco de Valero, mógł dokonać cudu ku większej

jego chwale.

Co więcej, otrzymał znak, wyraźny i pewny, że Bóg przebaczył mu ciężki grzech, jaki popełnił, kiedy w swej słabości pozwolił, by Grek przed spaleniem został uduszony garotą. Bóg Wszechwiedzący, który zna rzeczy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, wiedząc, jak zatwardziałe jest serce niewiernego, skazał go na wieczystą śmierć. Godziło się żałować potępieńców w ich męce, lecz uskarżać się oznaczało sprzeciwiać się wyrokom bożym.

Biskup powstał i wolno ruszył przez prezbiterium. Szedł jak we śnie. Dwaj duchowni, jego przyjaciele i sekretarze, zgadując intencje, udali się w ślad za nim, zaś przeor, dając swym mnichom znak do wyjścia, ruszył za nimi. Biskup zatrzymał się na stopniach prezbiterium.

- Niech łaska Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, miłość boża i komunია Ducha Świętego będą z wami.

Zszedł. Tłum cofnął się, dając przejście jemu i postępującym za nim duchownym. Bracia zaintonowali *Te Deum Laudamus*; wzbiły się pod sklepienie ich mocne, głębokie głosy. Biskup, jak w transie, mijał

klęczące tłumy czyniąc gest błogosławieństwa. Nie widział ironicznego spojrzenia Dominga.

W tej samej chwili uderzono w dzwony i wkrótce dzwoniły już wszystkie, we wszystkich kościołach miasta, czego nie należy jednak przypisywać nadprzyrodzonej interwencji. Don Manuel, zdyscyplinowany żołnierz, dopatrywał najdrobniejszych szczegółów. Zadbął tedy, by kiedy odezwą się dzwony kolegiaty, sławiąc cud, którego był pewien dokonać, odpowiedziały im wszystkie pozostałe.

Rozwarto przed biskupem odrzwia kościoła, minął je i wyszedł w oślepiające słońce sierpniowego dnia. Tłum pociągnął za nim, odprowadzając procesję aż do bram klasztoru Dominikanów. Biskup miał już zniknąć, gdy z ciżby wzniosło się potężne wołanie. Chciano, by przemówił. Koło muru kościelnego był pulpit postawiony dla pewnego kaznodziei odwiedzającego miasto, a tak sławnego dla swojej wymowy, iż kościół klasztorny nie zdołał pomieścić wielkie gromady ludzi spragnionych jego słów. Do biskupa przystąpił przeor, wyjaśnił, jakie jest życzenie tłumów, i poprosił, by Ekscelencja zechciał się doń przychylić. Biskup popatrzył wokół, jakby niepomy, gdzie jest. Można by przysiąc, że aż do tej chwili był nieświadomy, ilu wiernych i spragnionych pociechy prostaczków ciągnęło za nim. Zatrzymał się na chwilę, zbierając myśli, po czym bez słowa wszedł na podniesienie.

Zaczął, a głos miał wspaniały, dźwięczny, bogato modulowany.

- Nie zmierzysz głębi serca człowieka ni zdolen jesteś wejrzeć w *rzeczy*, które myśli, jakże zaś szukać ci Boga, Stworzyciela wszytkich tych rzeczy, i poznać umysł jego i pojąć zamiary?

Jego gesty były pełne mocy, wymowne, brzemienne w znaczenia. Głos docierał na najdalsze krańce zbitej ciżby. Gdy go zniżał, współczując z tłumem, tak pięknie go ustawiał, że każde pojedyncze słowo dało się słyszeć. Gdy w namiętym potępieniu grzechów człowieczych podnosił go i rozwijał

cały dany mu przepych, był niczym grzmot przewalający się przez szczyty górskie. Przerywał nagle, a

wtedy cisza zapadająca pośród potoku wymowy zdawała się tak ostateczna jak w dniu dopełnienia przeznaczeń. Ludzie wzdragali się, gdy przypominał im o krótkości żywota, o nieszczęściach prześladowających synów Adamowych od kołyski po grób, o złudzie doczesnych przyjemności i udręce strapień; drżeli, gdy malował przed nimi otchłanie piekielne i nieskończone cierpienia potępionych; płakali, gdy głosem przepełnionym czułością opisywał w ekstatycznych zwrotach świętych obcowanie i rozkosze żywota wiecznego w niebiesiech. Skruszeni grzesznicy odmieniali w jednej chwili swoje postęпки. Zakończył wielką apostrofą do Przenajświętszej Dziewicy i chwały bożej.

Nigdy jeszcze nie mówił z tak ognistą swadą i rozdzierającym serce patosem.

Kiedy odprowadzono go do celi, był tak słaby, że pozwolił dwóm wiernym towarzyszom ułożyć się na twardym posłaniu. Pokonały go emocje i zmęczenie.

Rozdział dwudziesty

Tej nocy w mieście panowała wielka radość. W karczmach moczygęby nie nadążali napełniać szklanic i rogów. Trajkocące gromady krążyły po placu, bez końca rozprawiając o dziwach minionego dnia. Nikt nie wątpił, że to świątobliwy biskup dokonał cudu, a wszystkich ujęła za serce skromność, która kazała mu użyć brata piekarza jako narzędzia jego nadprzyrodzonej mocy. Tak oto pouczył ich, że prawdziwie pokorni będą wywyższeni, a wywyższający się poniżeni. Wielu przysięgało, że widzieli, jak uniósł się w powietrzu

- pół metra nad ziemią, powiadali jedni, metr, zapewniali inni

- i zawisł tak skąpany w glorii.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Gdy tłum wyległ z kościoła, spiesząc za biskupem, Marcin, skulony, w nadziei, że nikt nie zwróci na niego uwagi, pozostał wewnątrz, aż świątynia opustoszała. Czekał jeszcze, by umknąć nie zauważonym, choć niecierpliwił się wiedząc, że zamieszanie przygna do piekarni klientelę. Zostawił

sklep pod opieką dwóch czeladników i bał się teraz, że nie poradzą sobie z natłokiem kupujących. Nie tylko bowiem piekł chleb, ale też mięsa i inną strawę dla tych, którzy nie mogli przygotować jej w domu. Ludzie na pewno zapragną godnie się uraczyć przy takiej okazji. Kiedy wreszcie uznał, że może się bezpiecznie wymknąć, zobaczył kulę Kataliny na marmurowej posadzce, tam gdzie ją rzuciła, a że była z niego skrzętna dusza, co nie lubi nieładu, podniósł ją i zabrał ze sobą.

Kiedy prałat powrócił do domu i zasiadł do dobrze zasłużonego i jakże utęsknionego posiłku, przyszło mu do głowy, że kula została w kościele i że jest to przedmiot, którego nie należy spuścić z oka.

Natychmiast posłał sługę, by ją przyniósł i bardzo się rozsierdził słysząc, że kula zniknęła. Był to zbyt cenny obiekt, by go utracić. Ledwie skończył obiad, rozesłał ludzi na poszukiwania, ale dopiero następnego dnia doszła do niego wiadomość, że kula stoi w kącie piekarni. Posłał do Marcina z żądaniem jej zwrotu. Piekarz kulę oddał, a prałat schował ją skrzętnie, odkładając na później

decyzję, jaki z niej uczynić najlepszy użytek.

Jeśli idzie o Dońę Beatriz, ledwie usłyszała o cudownym zajściu, poleciła dwóm mniszkom iść do domu Marii Perez i wypytać dokładnie o przebieg wydarzeń, zobaczyć się z dziewczyną samotrzeć, a jeśli rzeczywiście znajdą ją w dobrym zdrowiu, uczynić jej podarunek ze złotego łańcucha misternej roboty. W zamian miały prosić o kulę, na której wspierała się chromając, a którą przeorysza myślała umieścić jako *ex voto* w kaplicy Mariackiej kościoła klasztornego. Jakież było jej rozczarowanie, gdy mniszki za powrotem powiadomiły ją, że ani Katalina, ani jej matka, ani wuj nie wiedzą, co się stało z kulą. Przeorysza za wszelką cenę postanowiła ją zdobyć. Skoro okazało się, że mniszki niewiele wskórały, posłała po swego ochmistrza, któremu nakazała, by wywiedziały się, kto posiadał cenny przedmiot i w jej imieniu zażądał jego oddania. Po kilku dniach dopiero majordomus przyniósł wieść, że kulę ma prałat i że jej nie odda.

Poirytowana do żywego Doña Beatriz rzekła majordomusowi w okrężnych słowach, że jest durniem i obwiesiem, a że była roztropną kobietą, siadła i napisała grzeczny, polityczny list. W miodem spływających słowach prosiła prałata o oddanie kuli, bo ta winna zawisnąć w kościele, na którego stopniach Przenajświętsza Panienka ukazała się Katalinie. Wykazywała, że jest to bez wątpienia należne jej miejsce, tu umieszczona służyć będzie zbudowaniu przyszłych pokoleń. Prałat odpowiedział w równie dwornych zwrotach, niemniej sens ich był taki, że choć gotów wyświadczyć jej każdą przysługę, jaka leży w jego mocy, skoro cud zdarzył się w kolegiacie, jego obowiązkiem jest zatrzymać ku chwale swej świątyni ten widomy znak łaski bożej. Dalej dowodził, że to, iż leżała w prezbiterium, wykazywało jasno, że Bóg chciał, aby tam

pozostała. Tu między obydwojgiem zaczęła się wymiana listów, z których stopniowo znikła grzeczność i szacunek korespondentów dla ich wzajemnych cnót oraz pobożności. Przeorysza coraz mocniej nastawała, prałat coraz więcej się upierał. Znaleźli się stronnicy obydwojga, skorzy powtarzać jednemu, co rzekło drugie. Przeorysza opisywała prałata jako bezczelnego, bezecnego, rozpustnego osła, on nazywał ją wścibską starą wiedźmą, która wtyka nos w cudze sprawy i której sposób zarządzania klasztorem jest zgorszeniem dla całego świata chrześcijańskiego.

Doiła Beatriz uznała w końcu, że okazywała cierpliwość tak długo, jak nakazywało chrześcijańskie miłosierdzie, i że teraz ma prawo dać upust słusznemu oburzeniu na impertynenckie zachowanie prałata. Raz jeszcze posławszy po swego majordomusa, kazała mu, by szedł do prałata i z całym szacunkiem należnym sukience rzekł wyraźnie, że jeśli nie odda kuli, niech nie oczekuje protekcji jej brata w procesie sądowym, który właśnie toczy, ani się spodziewa zajść wyżej w Kościele za jej wstawiennictwem u dworu, jak też i to, że nie myśli dłużej przymykać oczu na gorszące pogłoski o jego związku z pewną niewiastą i wyłoży wszystko przed biskupem ich diecezji. Wytaczając ostateczne argumenty, zagrała na jego chciwości, ambicji oraz aluzjach do rozwiązłości. Prałat, dzięki wpływom obecnego księcia Castel Rodriguez osadzony na kanonii przy katedrze sewilskiej, procesował się z kapitułą, która chciała go usunąć, gdyż nie rezydował na swoim urzędzie. Nie miał

chęci tracić okazałych apanaży, ale że ani sprawiedliwość, ani prawo nie stały po jego stronie, mógł

liczyć na wygraną tylko dzięki wstawiennictwu możnego protektora. Nie był też i od tego, by lepiej służyć Kościołowi zasiadłszy na stolcu biskupim. Dość miał powodów, by nie robić sobie z przeoryszy wroga, a że na dodatek tutejszy biskup był człowiekiem surowych obyczajów, bał się

groźby

ujawnienia grzeszków popełnianych z ludzkiej słabości. Wnet pojął, że został pokonany i skoro musiał ulec, dość miał rozsądku, by zrobić to z niejaką gracją. Wręczył kulę posłańcowi przeoryszy, a z nią list, w którym zapewniał o głębokim szacunku, jaki żywi dla jej cnót. Pisał, że po dojrzałym namyśle przyszedł do przekonania, że podziela jej zdanie, iż najwłaściwszym miejscem dla cennego przedmiotu będzie kościół Najświętszej Marii Panny od Karmelu.

Przorysza oprawiła kulę w srebro i kazała zawiesić w kaplicy Mariackiej.

Rozdział dwudziesty drugi

w zamieszaniu, które powstało, gdy tłum wyległ z kościoła podążając za biskupem, Domingo pchnął siostrę i siostrzenicę ku bocznym drzwiom i poprowadził bezpiecznie do domu pustymi zaułkami.

Maria Perez nastawała, by położyć córkę do łóżka, dać jej na przeczyszczenie i posłać po cyrulika, by ten upuścił krew, ale Katalina, nie mogąc nacieszyć się dopiero co odzyskaną władzą w nogach, gorąco zaprotestowała. Dla czystej przyjemności biegała w górę i w dół po schodach i gdyby przyzwoitość dozwalała, wywijałaby i koziołki w izbie na dole. Pojawili się sąsiedzi pogratulować i podziwiać cud. Musiała ciągle na nowo opowiadać, jak wyglądała Przenajświętsza Panienka, gdy się jej ukazała, co miała na sobie i co dokładnie powiedziała. Oni w zamian opowiadali o wspaniałym kazaniu, jakie wygłosił biskup i jak siłą swej wymowy sprawił, że zalali się łzami, popadając w zachwyty zmieszany z zawstydzeniem. Po południu wielkie damy posłały po Katalinę, a poleciwszy jej chodzić w tę i z powrotem, wydawały stłumione okrzyki zdumienia na ów widok, jakby nigdy przedtem nie spotkały nikogo, kto posiadał tę umiejętność. Obdarowały ją prezentami, chustkami do nosa, pończochami, dostała nawet suknie, trochę tylko

znoszone, złotą szpilkę, kolczyki z półszlachetnymi kamieniami i bransoletkę. Katalina jeszcze nigdy w życiu nie miała tylu kosztownych i pięknych rzeczy. Na koniec przestrzegły ją, by tak wielkie łaski nie uderzyły jej do głowy, nakazały pamiętać, że jest dziewczyną żyjącą z pracy rąk, która powinna wiedzieć, że przypada jej skromne miejsce w świecie, po czym odesłały ją do domu.

Zapadł wieczór. Maria Perez, Katalina i Domingo siedli do wieczerzy. Byli zmęczeni po przygodach dnia, ale i podnieceni. Matka i córka rozprawiły bez końca, póki nie powiedziały sobie wszystkiego.

Domingo wysyłał je do łóżek, ale Katalina odparła, że nie zdoła zasnąć. Chcąc uspokoić obydwie i za sprawą magii wielkiej sztuki nakierować ich myśli na kontemplację idealnego piękna, zaczął czytać im nowo napisaną sztukę. Katalina słuchała nieuważnie, jednym uchem, ale Domingo tego nie widział, zatopiony w powikłaniach akcji, oczarowany słodczą swych wytwornych i kunsztownych wersów. Raptem poderwała się na równe nogi.

- Przyszedł.

Domingo przerwał z wyrazem irytacji na poczciwej twarzy. Usłyszeli pobrzękiwanie gitary

dochodzące z ulicy.

- Kto to? - zapytał zesrożony wuj, ponieważ żaden autor nie lubi, by mu przerywano, kiedy odczytuje któryś ze swoich utworów.

- Diego. Matko, mogę podejść do „reja”?

- Myślałam, że masz więcej charakteru.

„Rej” to żelazne pręty osłaniające okna nie tyle przed złodziejami, ile przed zmyślnymi zalotnikami.

Jako obyczajnej pannie, która wie, że mężczyźni są lubieżnikami, niewinność zaś największą cnotą niewiasty, Katalinie nigdy nie powstałoby w głowie wpuścić zalotnika do domu, było jednak w zwyczaju, że dziewczę siadało wieczorem w oknie i przez „reja”

rozmawiało z wybrankiem serca o tajemniczych sprawach, o których zwykli rozprawiać kochankowie.

- Porzucił cię, kiedyś chromała - ciągnęła Maria Perez.

- A teraz, kiedy jesteś sławna i całe miasto mówi o tobie, biegnie tu z podkulonym ogonem.

- Och, matko, nie znasz mężczyzn tak dobrze jak ja

- odrzekła Katalina. - Są słabi i łatwo dają się zwieść. Jak toczyłby się świat, gdybyśmy nie spoglądały łagodnym okiem na ich nierozumność? Cóż dziwnego, że nie chciał mnie za żonę, kiedy kulałam.

Jego matka i ojciec dobrze go wyswatali. Setki razy mówił mi, że mnie kocha nad życie.

- Jesteś bardzo głupiutka. To bezwstydnik, a ty bardziej się powinnaś szanować.

- Niech idzie - rzekł Domingo. - Kocha go i basta. Powiem, że nie jest większym nicponiem niż każdy inny młodzieniec w tych zepsutych czasach.

Ze wzruszeniem ramion Maria Perez wstała i biorąc łożówkę, przy której czytał Domingo, rzekła:

- Chodź do kuchni, tam będziesz mi czytał.

- Tego nie uczynię - odparł. - Wątek się urwał i wena odeszła. Dobra z ciebie kobieta, Mario, ale nie odróżniasz pantametu od krowiego ogona, a mnie trzeba słuchaczy, którzy potrafią docenić mój kunszt.

Katalina została sama. Podeszła do okna, w ciemnościach nocy dostrzegła postać, która przyprawiała ją o żywsze bicie serca.

- Diego.

- Katalina.

Tak oto, z dużym opóźnieniem, pojawia się bohater naszej opowieści.

Jego ojciec był krawcem, któremu dobrze wiodło się w rzemiośle. Szył szaty dla najszlachetniejszych osób w mieście. Diego od najmłodszych lat śmigał igłą, kroił nogawice, sposobił kaftany. Wyrósł na wysokiego, silnego dryblasa

0 zgrabnych łydkach, wąskiej talii i szerokich ramionach. Miał piękne włosy błyszczące od oleju, którym szcudrze je zlewał, oliwkową cerę, śmiałe, ciemne oczy, zmysłowe usta i prosty nos. Krótko mówiąc, był urodziwym młodzieńcem i Katalina patrzyła w niego jak w słońce.

Gorący temperament sprawiał, że mierziło go siedzenie ze skrzyżowanymi nogami pod baczynym okiem ojca nad jedwabiami, aksamitami i adamaszkami, które mieli nosić szczęśliwsi niż on. Czuł, że

jest zrodzony do większych rzeczy i w marzeniach odgrywał rozmaite role na scenie życia.

Zakochał się. Wstrząśnięci rodzice usłyszeli, że jeśli nie pozwolą mu poślubić Kataliny Perez, pójdzie na wojaczkę do Niderlandów albo zaciągnie się na statek i popłynie szukać przygód w Amerykach.

Jedynym bogactwem, jakie posiadała Katalina, stanowił dom, który miała odziedziczyć po śmierci matki, a jedynymi widokami wątpliwa nadzieja, iż jej ojciec powróci pewnego dnia obładowany złotem z nieznanymi zachodnimi krainami. Rodzice Diega byli jednak przebiegli. Miał zaledwie osiemnaście lat, liczyli więc, że z czasem kaprysy młodości miną, a jego uczucia zwrócą się ku bardziej odpowiedniemu obiektowi. Grając na zwłokę, rzekli roztropnie, że byłoby niemądre żenić się przed ukończeniem terminu czeladniczego. Wtedy, jeśli nie zmieni zdania, powrócą do sprawy. Nie sprzeciwiali się jego conocnym wyprawom pod okno Kataliny, gdzie zabawiał ją grą na gitarze i miłosnymi słówkami. Kiedy byk stratował dziewczynę, dojrzeli w tym palec Opatrzności.

Zrozpaczony Diego musiał przyznać rację kochającym rodzicom; nie mogło być mowy o ożenku z kaleką. Gdy tylko matka powiedziała mu, że doszły ją potwierdzone wieści, iż wpadł w oko jedynej córce zamożnego pasamonika, która nie miałaby nic przeciw jego awansom, uczył się dość po-

chlebiony, by uderzyć w konkury. Ojcowie młodych zeszli się we właściwym czasie i uradzili, że owszem, związek będzie korzystny dla obydwu stron. Pozostało tylko ustalić warunki, a że obydwaj mieli zmysł do interesów, wywiązały się znużone negocjacje.

Tak się sprawy miały, gdy Diego pojawił się ponownie pod oknem Kataliny. Oprócz znajomości miary, kroju i szycia nauczył się już w swoim krótkim życiu, że mężczyzna nigdy nie przeprosza, a ona, choć taka młoda, wiedziała, że próżno go ganić. Jakkolwiek straszne byłyby przewiny, nikt nie lubi, gdy rzucać mu w twarz oskarżenia. Roztropna kobieta pozwala, by obciążały sumienie mężczyzny, jeśli je posiada, jeśli nie, wszystkie napomnienia i tak na nic się zdadzą. Nie tracąc więc czasu na próżne dąsy i przeprosiny, przeszli od razu do rzeczy.

- Światło duszy mojej - rzekł on. - Wielbię cię.

- Miłości moja, najdroższa miłości - odparła ona. Zbędne byłoby powtarzać słodkie głupstwa, które sobie

prawili. Mówili to, co mówią wszyscy kochankowie. Diego miał giętki język, z jego warg spływały krągłe zdania, które tak oczarowały Katalinę, iż chętnie godziła się z myślą, że warto było żyć tygodniami i miesiącami w nieszczęściu, by teraz zaznać chwil nieporównanych uniesień. Mrok panujący w izbie nie pozwalał mu cieszyć się widokiem ukochanej, ale dźwięk jej głosu, niski i aksamitny, jej śmiech, sprawiały, że krew krążyła żywiej w żyłach.

- Przeklęte kraty, które nas rozdzielają. O, czemu nie mogę wziąć cię w ramiona, obsypać twej twarzy pocałunkami i przycisnąć cię z całych sił do serca?

Rozumiała bardzo dobrze, do czego mogłoby to prowadzić, i myśl ta nie była jej wcale niemiła.

Wiedziała, że mężczyzna jest istotą pełną lubieżnych skłonności, ale fakt, że Diego pożąda jej tak namiętnie, przepełniał ją dreszczem dumy i przyprawiał o ból serdeczny, zapierający dech w piersiach.

- Och, mój drogi, czemu chcesz tego, czego ci dać nie mogę? Jeśli tylko mnie kochasz, nie prosź o to, co byłoby grzechem śmiertelnym i co te kraty czynią niemożliwym.

- Daj mi zatem dłoń swoją.

Okno było umieszczone dość wysoko od ulicy. By spełnić jego prośbę musiała uklęknąć na podłodze.

Wysunęła dłoń przez kratę, a on przycisnął ją do spragnionych ust. Miała dłonie drobne, o delikatnych palcach, dłonie wielkiej damy. Dumna, że są tak białe i delikatne, pielęgnowała je starannie i co wieczór myła we własnej urynie. Pogłaskała go łagodnie po twarzy, zarumieniła się i zaśmiała, gdy włożył jej drobny kciuk do ust.

- Bezwstydnik - powiedziała. - Co jeszcze ci w głowie? - Cofnęła dłoń. - Zachowuj się przyzwoicie, porozmawiajmy poważnie.

- Jakże mi mówić poważnie, kiedy na twój widok myśli mi się płaczą? Kobieto, z jednakim powodzeniem mogłabyś zawracać kijem rzekę.

- Zatem zabieraj się lepiej precz. Późno już i jestem zmęczona. Córka pasamonika pewnie cię wygląda i nie powinieneś czynić jej despektu.

Wyrzekła to z perfidną słodyczą i otrzymała odpowiedź, jakiej czekała.

- Clara? Czym ona jest dla mnie? Ma garb na plecach, zezowate oko i włosy niczym parszywy pies.

- Kłamca - odpowiedziała wdzięcznie. - Prawda, że trochę dziobata, zęby ma żółtawe, jednego wcale, ale poza tym całkiem nadobna z niej dziewczka i dobra z natury. Nie winię twego ojca, że chciał cię z nią wyswatać.

- Mój ojciec może sobie...

Co ojciec może, wyraził w tak nieprzystojnych słowach, że obyczajny pisarz musi rzecz pozostawić wyobraźni czytelnika.

Katalina, której nie była obca żywość języka epoki, ani mrugnęła okiem. Zwroty, jakich użył kochanek, sprawiły jej nawet radość.

- Byłem rano w kościele - mówił dalej - i kiedy ujrzałem, jak tam stoisz, taka piękna, to jakby sztylet przebił mi serce. Pojąłem, że wszyscy ojcowie świata nie zdołają nas rozdzielić.

- Byłam jak we mgle. Nie wiedziałam, gdzie jestem, ani co się ze mną dzieje. Jakby tysiące szpilek i igieł przeszywało nogę, nie mogłam wytrzymać tego bólu ani chwili dłużej. Nie wiedziałam, co się

stało, aż znalazłam się w ramionach matki, a ona się śmiała i płakała i ja też zaczęłam płakać.

- Pobiegåł, a my wszyscy krzyczeliśmy z radości i zachwytu. Biegåł jak łania umykająca przed myśliwym, biegåł niczym leśna nimfa, spłoszona ludzkimi głósy, biegåł jak... - tu zawiodła go inwencja i dodał dość niezdarnie - jak anioł w niebiosach. Byłaś piękniejsza od jutrzeńki.

Katalina słuchała tego wszystkiego z wielkim upodobaniem i chętnie słuchałaby jeszcze podobnych zachwyków, ale przerwał jej głos matki.

- Do łóžka, moje dziecko - rzekła. - Nie chcesz, żeby sąsiedzi wzięli cię na języki, zasłużyłaś też na odpoczynek.

- Dobranoc, mój ukochany.

- Światło oczu moich, dobranoc.

Traf chciał, że od kilku dni ojciec Diega i pasamonik spierali się o kawałek gruntu, którego krawiec żądał jako części wiana, a z którym kupiec nie chciał się rozstać. Rzecz ułożyłaby się w ciągu kilku dni i zwaśnione strony doszłyby do porozumienia, gdyby krawiec nagle nie zaczął się niepotrzebnie i wedle pasamonika po grubiańsku upierać. Wymieniono gniewne słowa i koniec końców zerwano zaręczyny. Nie bez powodu krawiec trwał przy swoim; cud sprawił, że Katalina stała się kimś znacznym, to zaś powinno odbić się pomyślnie na jego interesach. Była nie tylko dobrą i uczciwą dziewczyną, ale i zmyślną szwaczką. Chodziły słuchy, że szlachetne damy z miasta, ujęte jej skromnością i układnym obejściem, gotowe były złożyć się na uczciwy posag. Przystał na małżeństwo, któremu był wcześniej przeciwny, uznał bowiem, że uszczęśliwiając syna, uczyni korzystne dla interesów posunięcie. Ostatnia przeszkoda do szczęścia kochanków została usunięta.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ani wiedzieli, kiedy tak rozmawiali po nocy przez żelazne kraty, prawiać, jak to opisaliśmy, głupstwa ku obopólnej radości, że w oratorium, ledwie o rzut kamieniem od nich, wielka pani snuje tyczące ich plany.

Doña Beatriz była pobożną kobietą, skrupulatnie wypełniającą swoje powinności. Jej klasztor świecił

przykładem całej wspólnoty zakonnej, a wizytująca go zwierzchność nigdy nie znajdowała tu najmniejszych uchybień. W jej domu zakonnym panowała wręcz doskonała dyscyplina, msze zaś celebrowano zawsze z należytym decorum. Życie i pobożność przeoryszy były bez skazy, nosiła jednak w sercu śmiertelną nienawiść do pewnej mniszki z Avila, zwanej Teresą de Cepeda, której ani nakazy religii, ani wielokrotne napomnienia spowiednika nie mogły uśmierzyć. Owa mniszka, nosząca imię zakonne Matki Teresy od Dzieciątka Jezus, a o której przeorysza nigdy nie mówiła inaczej jak La Cepeda, wstąpiła do klasztoru Wcielenia w Avila, gdzie Doña Beatriz najpierw pobierała nauki, a potem była w nowicjacie. Niemalęgo przyczyniała zgorszenia utrzymując, jakoby doświadczała specjalnych łask, stygmatów i widzeń Naszego Pana. Pojawiał się jej oczom w niebiańskiej glorii, żeby już nie wspomnieć o diable, który zwykł siadać na jej modlitewniku i

którego przepędzała wodą święconą. Przebrała wszelką miarę, gdy poruszona rozprężeniem obyczajów w klasztorze Karmelitanek, opuściła go, by założyć fundację o surowszej regule. Karmelitanki, poczytując krok ów za zniewagę dla nich samych i obrazę reguły, robiły wszystko, by umniejszyć znaczenie nowego zakonu. Teresa de Cepeda była niewiastą energiczną, zdecydowaną dążącą do celu, odważną. Nie zważając na przeszkody i otaczającą ją niechęć, fundowała jeden po drugim klasztory Karmelitanek Bosych, nazywanych tak dlatego, że miast solidnych trzewików, noszonych w innych zakonach, wdziewały plecione ze sznurka sandały, i przed śmiercią, która nastąpiła na kilka lat przed wydarzeniami naszej opowieści, doczekała triumfu wprowadzonej przez siebie reformy.

Nikt nie toczył z nią bardziej zaciętej walki niż Dona Beatriz; nigdy nie potrafiła pojąć nadmiernych umartwień, widzeń i objawień, rzekomo zdarzających się mniszkom La Cepedy. Między obydwoma kobietami obdarzonymi jednakowo silną wolą panowała otwarta wrogość. Kimże była ta dumna, swarliwa, pewna siebie i przewrotna istota, by wynosić się nad innych? Razu pewnego posunęła się tak daleko, że poprosiła biskupa o pozwolenie założenia klasztoru w Castel Rodriguez. Miała już wtedy za sobą wielu możliwych popleczników, tak na dworze, jak pośród duchowieństwa. Dona Beatriz, zdecydowana uczynić wszystko, by nie dopuścić do osadzenia się niegodziwej niewiasty w mieście, które traktowała jak własne włości, użyła wszelkich wpływów. Zaczęła się zacięta walka zakończona dopiero wraz ze śmiercią Teresy od Dzieciątka Jezus.

Choć modliła się za jej zbłąkaną duszę, Dona Beatriz odetchnęła z ulgą, przekonana, że teraz reforma, pozbawiona przewodnictwa silnej i nie znającej spokoju La Cepedy, popadnie w zapomnienie, a jej mniszki powrócą do dawnej

reguły. Nie domyślała się nawet, jak wielkie piętno zmarła odcisnęła w duszach swoich córek i duchownych związanych z jej klasztorami. Wkrótce z ust do ust zaczęto powtarzać sobie opowieści o rozlicznych cudach, jakich dokonywała za życia i o nadprzyrodzonych zjawiskach towarzyszących jej śmierci. Kiedy umierała, jej ciało pachniało tak słodko, że trzeba było otwierać okna, by obecni nie pomdleli. Gdy ekshumowano ciało po dziewięciu miesiącach, znaleziono je w nienaruszonym stanie, a cały klasztor wypełnił się raz jeszcze najśłodszy zapachem. Chorzy wracali do zdrowia, dotykając jej szczątków, a wpływowe osobistości zaczęły zabiegać o jej beatyfikację. Do świadomości Doni Beatriz dotarło, że prędzej czy później La Cepeda zostanie świętą.

Myśl ta przez dłuższy czas nie dawała jej spokoju. Mówiąc językiem ludzi świeckich, byłoby to pióro do kapelusza karmelitanek bosych. Prawdą jest, że wśród karmelitanek starej obserwacji umiarkowanej reguły trafiały się święte, obydwaj założyciele zakonu zostali kanonizowani, ale działo się to dawno temu, a taka jest już ludzka płochosć, że przedkłada nowych świętych nad tych, którzy zostali nimi przed wiekami. Skoro przeorysza nie mogła nic uczynić przeciw zaszczytowi niesłusznie w jej mniemaniu mającemu przypaść nowej regule, pozostawało jej znaleźć we własnym zakonie kandydatkę do kanonizacji. Sama Opatrzność wskazywała drogę i byłoby grzechem nie skorzystać z okazji. Łazarz został świętym jedynie dlatego, że Chrystus wskrzesił go w cudowny sposób. Katalina była pobożną i cnotliwą dziewczyną, a cud, który wrócił jej zdrowie, dokonał się nie w obecności dwóch czy trzech historycznych mniszek i dbających o własne interesy księży, lecz na oczach całej rzeszy ludzkiej. Taki znak przychylności niebios powinien skłonić ją do spędzenia reszty życia w służbie bożej. Dona Beatriz słyszała wprawdzie, że dziewczyna jest zadurzona w

pewnym młodzieńcu, ale to nie powinno stanowić przeszkody. Nie sposób przecież uwierzyć, by rozumna kobieta myślała poważnie o poślubieniu krawca, kiedy otwierały się przed nią znacznie lepsze widoki tak w aspekcie doczesnym, jako też duchowym, płynące ze wstąpienia do klasztoru Wcielenia, gdzie Doña Beatriz była przeoryszą. Jeśli dziewczyna była taka, jak powiadały mniszki, które ją znały, nie powinna zawieść pokładanej w niej wiary, a otrzymana łaska winna przysporzyć chwały zakonowi.

Dość była młoda, by ją jeszcze ułożyć i Doña Beatriz ufała głęboko, że potrafi uczynić z niej dobrą zakonnicę. Nic nie wskazywało, by Przenajświętsza Dziewica miała stracić zainteresowanie dziewczyną, zanosilo się raczej, że będzie nadal obdarzać ją swoimi łaskami. Sława Kataliny rozejdzie się po świecie, a kiedy wreszcie dziewczyna uwolni się od mąk żywota, będzie odpowiedniejszą kandydatką do beatyfikacji niż gwałtownica z Avila.

Doña Beatriz kilka dni przemyśliwała nad swoim projektem, a im więcej myślała, tym więcej ją pociągał. Jako kobieta powściągliwa doszła do przekonania, że roztropnie będzie nic nie przedsiębrać bez porozumienia ze swoim duchowym przewodnikiem. Posłała po niego. Był to człowiek prosty i godny zaufania. Szanowała bardzo jego pobożność, choć nie miała wysokiego mniemania o jego inteligencji. Pochwalił zamiar przysporzenia Naszemu Panu nowej oblubienicy, którą Przenajświętsza Matka wyróżniła swoim objawieniem i która stanie się chlubą zakonu. Przeorysza podkreślała, że dziewczyna już z samej wdzięczności za otrzymane łaski powinna resztę życia spędzić w służbie bożej, nie uważała jednak za stosowne wspomnieć poczciwcowi, jakie ukryte intencje kierują jej zamiarami. Ten wyraził pewne zastrzeżenia.

- Na mocy statutów w akcie fundacyjnym klasztoru dopuszczone do niego mogą być jedynie damy szlacheckiego urodzenia. Katalina Perez, choć czystej krwi, jest niskiego stanu.

Przeorysza była i na to przygotowana.

- Czyż łaska Przenajświętszej Pani nie bardziej wynosi niż szlacheckie patenta? Czyni ją ona w moich oczach równą najdumniejszym rodom tego kraju.

Podobna odpowiedź w ustach wielkiej damy wprawiła w zachwyt braciszka i jeśli to możliwe, powiększyła jeszcze cześć, jaką dla niej żywił. Rzec została postanowiona, należało tylko rozważyć metody i sposoby. Plan był taki: sprowadzić dziewczynę i przekonać, że odosobnienie klasztorne dla dziękczynienia Stwórcy za otrzymane łaski będzie z korzyścią dla jej życia duchowego. W obawie, że niefortunnie zadurzona Katalina może się opierać, uprosiła mnicha, by odkrył powzięte zamiary przed spowiednikiem dziewczyny, który mógłby ją nakłonić, a jeśli będzie konieczne bodaj i nakazać przyjąć zaproszenie. Duchowy opiekun wielebnej matki przystał bez oporów.

Następnego dnia przeorysza sprowadziła Katalinę do siebie. Widziała ją wcześniej zaledwie raz jeden, a i wtedy niewiele się jej przyglądała. Uderzyła ją niepospolita uroda dziewczyny. Przemówiła do niej z uśmiechem, w którym nie znalazłbyś cienia zwykłej surowości. Na mniszki potraktowane po macoszemu przez naturę na ogół patrzyła niechętnym okiem. Zawsze wydawało się jej, że niestosowne jest dawać Oblubieńcowi Niebieskiemu oblubienice, które nie łączyły duchowych zalet z nadobnością. Oczarowana skromnością, słodczą głosu i pełnym dystynkcji obejściem Kataliny nie znajdowała w jej zachowaniu żadnej pospolitości, a jej mowa, dzięki naukom

Dominga, zdawała się nie tylko poprawna, ale i wytworna. Nie mogła się nadziwić, że tak wdzięczny kwiat rozkwitł na tak skromnej glebie. Jeśli miała jakieś wątpliwości czy słuszny jest jej plan, teraz rozwiały się one bez śladu. Dziewczyna była najwyraźniej przeznaczona do zaszczytów, a jakież może być zaszczyt znaczniejszy niżli służba Bogu?

Katalinę trwożyła wielka pani, o której cnotach i surowości tak wiele słyszała. Dona Beatriz robiła wszystko, aby ją ośmielić. Na jej twarzy malował się wyraz łagodności prawie nie znany mniszkom i Katalina już zaczęła się dziwić, dlaczego przeorysza wzbudza w nich taki lęk. Była osobką o pełnej swady wymowie; kiedy więc łaskawie przyzwolono jej mówić, poczęła opowiadać wdzięcznej słuchaczce historię swojego krótkiego życia, z jego bolesnym ubóstwem, troskami i radościami, i ani podejrzewała, jak zręcznie przeorysza kieruje jej monologiem, w którym odkrywało się jej usposobienie, szczerą naturą i ujmujący charakter. Bez zmrużenia powiek przeorysza słuchała o zaletach i urodzie Diega, o tym, jak jest słodki i dobry, o tym, jak jego rodzice, tak dla niej wcześniej niedobrzy, wreszcie złagodnieli, tak że teraz szczęściu młodych nic już nie stoi na przeszkodzie.

Przeorysza pragnęła dowiedzieć się z jej własnych ust, jak zjawiała się przed nią Przenajświętsza Pani, jakimi słowami do niej przemówiła i jak w jednym mgnieniu zniknęła jej sprzed oczu.

Dopiero wtedy napomknęła z powagą, acz łagodnie, że Katalina powinna na czas jakiś zamknąć się w klasztorze, gdzie odnalazłaby spokój i oddała się rozważaniu spraw boskich. Dziewczyna wzdrygnęła się, ale że miała zwyczaj mówić wprost, co myśli i przestała się lękać przeoryszy, wyznała bez wahania:

- Och, Wielebna Matko, nie mogę tego uczynić. Byliśmy tak długo rozdzieleni, ponowna rozłąka złamałaby serce mojego Diega. Powiada, że żyje tylko dla tych godzin, kiedy rozmawiamy przez okno. Uschłabym z tęsknoty, gdybym nie mogła go widzieć.

- Nie będę cię zmuszać, moje dziecko, byś czyniła cokolwiek wbrew swej woli. Skorzystasz z odosobnienia w klasztorze tylko wtedy, jeśli wejdiesz tu dla miłości Boga, ze

szczerym postanowieniem poprawy. Przyznaję, że byłabym zawiedziona, gdybyś okazała tak mało wdzięczności Przenajświętszej Pani, za okazaną ci dobroć. Jeśli ten młodzieniec kocha cię naprawdę i taki jest pocziwy, zniesie dwa, trzy tygodnie rozłąki w zamian za błogosławieństwo, które was na nowo złączyło, ty tymczasem będziesz się modliła za swoje i jego zbawienie. Ale nie mówmy już o tym. Proszę cię o jedno, zasięgnij rady swego spowiednika. Może być, że znajdzie moje rady bez wartości, będziesz miała wtedy spokojne sumienie.

To rzekłszy, odprawiła Katalinę, dając jej w prezencie bursztynowy różaniec.

Rozdział dwudziesty czwarty

Przeorysza nie okazała zdziwienia, kiedy dwa czy trzy później powiedziano jej, że Katalina czeka w rozmównicy i prosi o schronienie w klasztorze. Posłała po nią, ucałowała na powitanie w oba policzki i oddała pod opiekę mistrzyni nowicjuszek. Katalina dostała celę z oknem wychodzącym na ogród klasztorny, skąpo umeblowaną, obszerną, czystą i chłodną.

Doña Beatriz nie musiała prosić - a jej prośby były rozkazami - żeby siostry traktowały Katalinę łagodnie i pobłaźliwie. Jej uroda, skromność, wdzięk natychmiast podbiły wszystkie serca. Mniszki, nowicjuszki, siostrzyczki i damy rezydentki prześcigały się, chcąc sprawić jej przyjemność. Lubiano ją za jej wesołość i rozpieszczano niczym ukochane dziecko. Choć łóżko, w którym spała, było takie jak nakazywała reguła, zdawało się luksusem w porównaniu z jej własnym, jedzenie, które jadła, było proste, pozbawione przypraw, ale nigdy jeszcze takiego nie próbowała. Z dóbr przeoryszy przysyłano kurczaki, ryby, dziczyznę, a damy rezydentki zapraszały ją do siebie na słodkie poczęstunki i różne smakołyki.

Doña Beatriz realizowała swój zamysł. Pozwoliła dziewczynie zaznać rozkoszy klasztornej życia z jego spokojem,

przyjemnościami i bezpiecznym schronieniem przed kłopotami świata. Monotonie urozmaicały odwiedziny wysoko urodzonych dam z miasta i szlacheckich panów, po większej części krewnych przeoryszy i jej mniszek. Rozmowy nie ograniczały się tylko do spraw religii. Katalinie nie mało pochlebiało zainteresowanie, jakie budziła. Przyszła do klasztoru niechętnie, ulegając nakazom spowiednika, popartym perswazjami matki, ale teraz odkrywała jego uroki. Byłoby dziwne, gdyby nie porównywała szczęśliwego, spokojnego życia mniszek z tym, które znała, z jego znojem i utrapieniami. Zdarzały się całe miesiące, kiedy nie było pracy dla matki ani dla niej i ratowały ich od przymierania głodem niepewne zarobki Dominga. Lubiła msze w małym przyklasztornym kościele.

Przeorysza знаła się na muzyce i dbała o to, by msze były pięknie śpiewane i odprawiane nie tylko nabożnie, ale i z pewną ceremonią. Wrażliwa Katalina znajdowała w nich zmysłową rozkosz i duchowe bogactwo. Ku swojemu zdumieniu odkrywała, że życie w klasztorze nie przypomina więzienia, czego się bała, ale jest uwolnieniem od trosk. Lubiła sprawiać przyjemność i sama ją czerpać. Choć tęskniła za Diegiem i ciągle o nim myślała, musiała przyznać, kiedy później wspominała te czasy, że pobyt w klasztorze był jednym z najmiłszych okresów w jej życiu.

Codziennie pod wieczór Dona Beatriz posyłała po nią i spędzały razem szarą godzinę. Nigdy nie wspomniała słowem, iż życzyłaby sobie, żeby Katalina złożyła śluby zakonne, choć teraz pragnęła tego nie tylko ze wspomnianych już powodów. Jako przenikliwa obserwatorka szybko dostrzegła, że Katalina jest nie tylko dzielna, inteligentna, pojętna, ale że ma charakter i że stanowiłaby prawdziwą ozdobę klasztoru. Przeorysza rozmawiała z nią nie jak wielka dama i matka przełożona, ale jak kochająca przyjaciółka. Usiłowała zdobyć wpływ na dziewczynę, pamiętając jednak, że musi postępować ostrożnie.

Opowiadała jej żywoty świętych i historie z życia dworu, pokazując w ten sposób, że nawet ludzie oddani religii mogą decydować o sprawach państwa. Mówiła o klasztorze i zarządzaniu jego włościami z ukrytą intencją uświadomienia Katalinie, jak ważną osobą jest przeorysza karmelitanek w Castel Rodriguez. Możliwość dojścia kiedyś do takich zaszczytów powinna olśnić córkę szwaczki Marii Perez.

Niedługo da się zachować sekrety w klasztorze. Choć Dona Beatriz nie zwierzała się nikomu ze swoich planów, wkrótce wszystkie mniszki i damy rezydentki wiedziały, ku czemu mają prowadzić przywileje, jakich zażywała Katalina, i czemu budząca lęk matka przełożona poświęca jej tyle uwagi.

Jakaś wylewna mniszka powiedziała jej pewnego dnia, jak bardzo wszyscy ją tu kochają i jak pragną, by pozostała z nimi na dobre. Dama rezydentka, która schroniła się w klasztorze, kiedy jej mąż poszedł wojować, wyznała, że chciałaby być wolna i wstąpić do zakonu.

- Gdybym była tobą, moje dziecko - mówiła - choćby jutro prosiłabym wielebnią matkę, żeby przyjęła mnie do nowicjatu.

- Ale ja chcę wyjść za mąż.

- Będziesz tego żałować. Mężczyźni są z natury lekkomyślnymi, niewiernymi prostakami.

Dama była pulchna, ospała, miała nalaną, ciastowatą twarz. Katalina nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jeśli jej mąż jest naprawdę tak straszny, trudno go za to winić.

- Jak możesz się wahać, gdy Oblubieniec Niebieski otwiera ramiona na twoje przyjęcie? - mówiła dalej dama, zajadając słodycze.

Innego razu w czasie rekreacji jakaś dama z miasta uszczypnęła Katalinę w policzek i rzekła żartobliwie:

- Cóż, słyszę, że wkrótce w klasztorze będziemy mieli uroczą małą świętą. Musisz mi przyrzec, że będziesz się za

mnie modlić, bo jestem wielką grzesznicą i liczę na twoje wstawiennictwo w raju.

Katalina była przerażona. Nie miała zamiaru zostać mniszką, tym bardziej świętą. Przypomniła sobie różne rzucane mimochodem zdania, do których dotąd nie przywiązywała wagi. Nagle pojęła, że wszyscy oczekują od niej, iż wstąpi do zakonu. Tego wieczoru, kiedy jak zwykle odwiedziła przeoryszę, czuła się nieswojo. Dona Beatriz spostrzegła, że coś się stało.

- Co z tobą, moje dziecko? - spytała wprost, nie zważając, że Katalina zaczęła coś mówić.

Dziewczyna spłoszyła się i poczerwieniała.

- Nic, wielebna matko.

- Boisz się powiedzieć? Czyż nie wiesz, że kocham cię jak własną córkę? Myślałam, że choć trochę jesteś do mnie przywiązana.

Katalina wybuchnęła płaczem. Przeorysza wyciągnęła ramiona w czułym geście.

- Chodź tu, usiądź, moje dziecko, i opowiedz o swoich kłopotach.

Katalina usiadła u stóp przeoryszy.

- Chcę wrócić do domu - łkała.

Doña Beatriz zeszytywniała, ale w jednej chwili powściągnęła wzburzenie.

- Nie czujesz się szczęśliwa, gołąbeczko? Przecież staramy się, żeby było ci tu jak najlepiej. Wszyscy cię kochają.

- Więzi mnie ta miłość, jestem jak zajac we wnykach. Mniszki, damy, wszyscy myślą, że wstąpię do klasztoru, a ja nie chcę.

Przeoryszę zdjął gniew na nierozumne kobiety, które zdradziły jej zamysły, nie dała przecież nic po sobie poznać.

- Nikt nie chce cię do niczego zmuszać- rzekła łagodnie. - Co zrobisz, zrobisz z wolnej i nieprzymuszonej woli

i bożego dopustu. Nie wiń dam, przywiązały się do ciebie i nie chcą cię stracić. Ja sama skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie pragnęłam, by Przenajświętsza Panienka obudziła w twym sercu chęć zostania jedną z nas w podzięce za okazaną ci łaskę. Byłabyś chlubą klasztoru. Wiem, że jesteś nie tylko korna i pobożna, ale masz też głowę na karku, a nie powiem, by zbyt wiele naszych mniszek łączyło pobożność z rozumem. Jestem starą kobietą i ciężą mi już moje obowiązki. Może grzeszę, oddając się próżnym marzeniom, ale byłoby wielkim szczęściem, gdybym mogła mieć cię u swojego boku, z twoim ułożeniem, wrodzoną łagodnością i rozsądkiem. Dzielibyś ze mną trudy, a kiedy czas się dopełni i Ojciec Niebieski wezwie mnie do siebie, zajęłabyś moje miejsce.

Delikatnie pogłaskała dziewczynę po policzku, oczekując w milczeniu jej odpowiedzi.

- Bardzo jesteście dla mnie dobrzy, Wielebna Matko. Nie wiem, jak wam dziękować za okazaną dobroć. Serce mi się kraje na myśl, że weźmiecie to za niewdzięczność. Nie jestem warta zaszczytów, o jakich dla mnie myślicie.

Chociaż to, co rzekła Katalina, nie oznaczało wprost zuchwałego odrzucenia zawrotnych widoków na przyszłość, przeorysza dość miała przenikliwości, by je odczytać. Wyczuwała bezbłędnie kryjący się pod strachem upór. Dalsze namowy wzmogłyby go tylko. Nie przegrała jeszcze, ale mądrość podpowiadała jej, że trzeba na czas jakiś poniechać perswazji.

- Sama to musisz przesądzić we własnym sumieniu. Daleka jestem od tego, by nastawać.

- Mogę zatem wrócić do domu, Wielebna Matko?

- Możesz czynić, co zechcesz. Przez wzgląd na twój spowiednik proszę cię tylko, byś została tak długo, jak nazaczył. Nie będziesz tak okrutna, by pozbawić nas swojego towarzystwa przez te kilka dni.

Katalinie nie pozostało nic innego, jak powiedzieć, że z radością doczeka w klasztorze końca oznaczonego terminu. Przeorysza pożegnała ją czułym pocałunkiem. Gdy została sama, pograżyła się w myślach. Nie leżało w jej naturze godzić się z porażkami. Katalina zniecierpliwiła ją, ale że było to próżne uczucie, szybko zdusiła je w sobie i obróciła cały swój rozum i pomysłowość na rozważanie rozmaitych planów, z ich plusami i minusami. Każdy sposób, jeśli tylko nie grzeszny,

zdawał się dobry, by zapewnić dziewczynie powodzenie na tym świecie i zbawienie na tamtym, a przy tym osiągnąć cel i umocnić chwałę zakonu. Pierwszą rzeczą było spróbować, czy Katalina nie ulegnie namowom skuteczniejszym niż jej własne. Osobą, podług jej rozumienia, nadającą się do tego najlepiej, był Don Blasco de Valero, biskup Segowii. To on dokonał cudu, który ją uleczył. Piastował

wielkie godności, jego świętość budziła trwogę. Siadła i napisała list, w którym prosiła, by zechciał służyć jej radą w sprawie wielkiej wagi.

Rozdział dwudziesty piąty

Odpisał, że przyjdzie następnego dnia i z niezwykłą w Hiszpanii punktualnością pojawił się dokładnie o oznaczonej godzinie. Przeorysza od razu przystąpiła do rzeczy.

- Chciałam widzieć Waszą Ekszelencję w sprawie dziewczyny Kataliny Perez.

Biskup usiadł na samym brzeżku wskazanego mu przez przeoryszę krzesła, jakby chciał dać tym wyraz niechęci dla najskromniejszych nawet wygód, i czekał w milczeniu, ze spuszczonej oczami, dalszych wyjaśnień.

- Za radą swojego spowiednika dziewczyna poszukała schronienia w naszym domu. Miałam sposobność rozmawiać z nią, poznać jej usposobienie i charakter. Lepiej jest wykształcona niż niejedna dama wysokiego rodu. Ma wytworne maniery, jej zachowanie jest ze wszech miar przykładne, szczerze wierzy. Zdaje się przeznaczona do życia zakonnego, a wnosząc z oznak łaski, jaka przez wasze dłonie spłynęła na nią od Boga, powinna się poświęcić jego służbie. Byłaby prawdziwą ozdobą zakonu i gotowam przyjąć ją do naszego domu mimo niskiego pochodzenia.

Biskup nic nie odrzekł. Lekko przechylił głowę, nie wiadomo czy w geście aprobaty, czy też na znak, że słyszy. Przeorysza uniosła brwi.

- Dziewczyna jest młoda, nie zna siebie dobrze, może to rzecz naturalna, że pociągają ją próżne uciechy świata. Jestem tylko błądzącą, grzeszną kobietą, nie wierzę, żeby wiele skorzystała na rozmowie ze mną. Pomyślałam tedy, że byłoby szlachetnie, gdyby Wasza Ekszelencja zobaczył się z nią i przełożył jej, jakie są jej powinności i gdzie znajdzie szczęście.

- Stronię od kobiet. Zasada, której nigdy nie łamię, jest ich nie spowiadać - przemówił wreszcie.

- Znam niechęć, jaką Wasza Ekszelencja żywi do naszej płci, ale to nadzwyczajny przypadek.

Przywróciliście ją do życia, nie możecie jej teraz opuścić i wystawiać jej duszy na niebezpieczeństwo przez brak słowa napomnienia. To tak, jakbyście uratowali topielca i zostawili go na brzegu, by szczeł tam z zimna i głodu.

- Jeśli nie ma powołania do życia zakonnego, nie mogę nastawać, żeby je wybrała.

- Wasza Ekszelencja musi wiedzieć, że wiele kobiet czyni tak z desperacji, kiedy nie znajdują partii

do zamęścia bądź kiedy spotka je zawód w miłości, co nie przeszkadza, że zostają potem dobrymi mniszkami.

- Nie wątpię i wierzę, że Bóg niekiedy odejmuje człowiekowi pochłoniętemu życiem doczesnym czarę od ust, by powołać go na swoją służbę, ale jeśli idzie o tę dziewczynę, nie ma żadnych przyczyn, o których mówicie. Niech Wasza Wielebność pamięta, że zbawienia można szukać tak w świecie, jak w klasztorze.

- Trudniejsze to i mniej pewne. Czemu Maryja miałaby dać wam moc dokonania cudu na jej chwałę, gdyby nie było jej zamysłem, by dziewczyna świeciła innym przykładem, przywodząc ich do żalu za grzechy i skruchy?

- Nie nam, grzesznym istotom, dociekać dróg Wszechmogącego.

- Możemy bodaj domniemywać, że są dobre.

- Możemy.

Doña Beatriz nie była zachwycona lakoniczną zwięzłością odpowiedzi. Nawykła do większej wymowności u tych, których już dopuściła do konfidencji. Kiedy na nowo podjęła wątek, w jej głosie pobrzmiwały ostre tony.

- Proszę o niewiele w zamian za łaski i opiekę, jaką moja rodzina otaczała zawsze wasz zakon. Czy odmawiacie mojej prośbie by zobaczyć dziewczynę, zbadać jej charakter i powiedzieć jej, w czym leży jej szczęście?

Biskup podniósł wreszcie oczy, ale zamiast spojrzeć na przeoryszkę, zapatrzył się w okno wychodzące na ogród. Zamyślony, nie widział ani smukłych cyprysów, ani kwitnących właśnie oleandrów.

Nie mógł zrozumieć, czemu tak nastaje. Nie potrafił uwierzyć, by tej nieustępliwej, dumnej kobiecie leżało na sercu szczęście małej szwaczki. Co to mówił mu o niej przeor klasztoru, w którym się zatrzymał? Że zaciekle walczyła, by nie dopuścić do założenia fundacji Matki Teresy od Dzieciątka Jezus w Castel Rodriguez. Nienawiść karmelitanek trzewiczkowych do bosych była dobrze znana. W

jego głowie powoli rodziło się podejrzenie, że nakłanianie Kataliny, by przywdziała habit, miało z tym jakiś związek. Dona Beatriz szukała jego pomocy, bo dziewczyna się opierała. Po raz pierwszy spojrział na przeoryszkę, jakby usiłował wzrokiem przeniknąć jej najskrytsze myśli. Zniosła to spojrzenie z wyniosłym spokojem.

- Przypuśćmy, że zobaczę się z tą młodą niewiastą, dojdę do przekonania, że jej powołaniem jest życie klasztorne, ale uznam, że bardziej dla niej stosowna będzie reguła karmelitanek bosych niż dom, w którym żyją mniszki szlacheckich rodów?

Nagły, równie nagle zgaszony błysk gniewu w oczach Doni Beatriz powiedział mu, że jest bliski prawdy.

- Jej matce ciężko byłoby znieść rozłąkę z jedynaczką - odparła spokojnie. - Karmelitanki boscie nie

mają domu w naszym mieście.

- Jeśli wiem dobrze, to Wasza Wielbność przekonała biskupa, by odmówił Matce Teresie zgody na założenie fundacji w waszym mieście.
- Dość jest u nas klasztorów. La Cepeda nie przyjęłaby żadnej donacji, jej dom przysporzyłby municipium ciężarów trudnych do udźwignięcia.
- Wasza Wielbność z niewielkim szacunkiem wyraża się o kobiecie wielkiej świętości.
- Kobiecie nader niskiego stanu.
- Mylicie się, señora. To szlachetnie urodzona niewiasta.
- Nonsens - odparła ostro. - Jej ojciec otrzymał patent szlachecki na początku wieku. Musicie mi wybaczyć, że nie mam więcej cierpliwości niż nasz świętej pamięci król do ludzi, którzy bez dania racji wynoszą się ponad stan. Kraj roi się od takiej szlachty.

Biskup lekko się uśmiechnął na wspomnienie tych, z których sam się wywodził.

- Bez względu na to, z jakiego pochodziła rodu, trudno zaprzeczać, że Matka Teresa była pobożną kobietą, która otrzymała wiele łask z nieba i której dzieło jest godne najwyższej pochwały.

Doña Beatriz uniesiona gniewem ani widziała, że biskup obserwuje uważnie jej twarz, każdy niecierpliwy gest jej delikatnych dłoni.

- Wasza Ekszelencja pozwoli, że się z nim nie zgodzę. Znałam ją, miałam sposobność z nią rozmawiać. Była niespokojnym duchem, który krył dzikie harce pod płaszczykiem religii. Po co opuściła swój klasztor i pośród zgorszenia uparła się zakładać nowy? W Inkarnacji były dobre, świątobliwe mniszki, a reguła zakonna surowa.

Ustanowiona przez św. Alberta reguła, złagodzona przez papieża Eugeniusza IV, nakazywała post ścisły przez cztery dni w tygodniu, od dnia Wyniesienia Krzyża Świętego, przypadającego we wrześniu, aż do Świąt Bożego Narodzenia, w Adwencie i Wielkim Poście zakazywała jedzenia mięsa.

Mniszki biczowały się w każdy poniedziałek, środę i piątek, przestrzegały ciszy od mszy o północy do prymy, nosiły czarne habity i spały w pościeli bez powłóczenia.

- Muszę być bardzo głupią kobietą - mówiła dalej przeorysza - ale nie pojmuję, jak plecione sandały przyczyniają większego uduchowienia niż skórzane trzewiki i czemu lepiej chwalić Pana w habicie z juty niż w sukiennym. La Cepeda niby to odrzuciła naszą regułę, by stworzyć lepszą sposobność do cichej modlitwy i kontemplacji, tymczasem przez całe życie nigdzie nie zagrzała miejsca. Nakazywała swoim mniszkom milczenie, a nie zdarzyło mi się nigdy spotkać bardziej jazgotliwej kobiety.

- Gdyby Wasza Wielbność przeczytała jej żywot, na pewno pobłażliwiej spojrzalaby na tę świętą

niewiastę - odparł biskup lodowato.

- Czytałam. Przysłała mi go księżna Eboli. Pisanie ksiąg nie jest kobiecym zajęciem, niechby zostawiły to mężczyznom, którzy mają więcej wykształcenia i rozumu.

- Matka Teresa od Dzieciątka Jezus pisała go posłuszna swojemu spowiednikowi.

Przeorysza uśmiechnęła się groźnie.

- Czy to nie szczególne, że jej spowiednik nigdy nie nakazał jej niczego, czego wcześniej sama sobie w głowie nie ułożyła?

- Żałuję, że Wasza Wielbność tak źle myśli o kobiecie, która zaskarbiła sobie miłość i poważanie nie tylko swoich mniszek, ale każdego, kto miał szczęście ją spotkać.

- Podzieliła i zachwiała naszą regułą przez swoje niewczesne nowinki. Trudno mi uwierzyć, że nie ożywiały jej wyłącznie ambicja i uraza.

- Wasza Wielbność wie zapewne, że poświadczone cuda, których dokonywała za życia, i te, które działały się po jej śmierci, a za jej wstawiennictwem, sprawiły, że godne i wpływowe osoby zaczęły zabiegać u papieża o jej beatyfikację.

- Wiem o tym.

- Mam rację sądząc, że dlatego chcecie widzieć Katalinę Perez w swoim klasztorze, iż powzięliście nierozumny zamysł, że otaczający ją rozgłos przeciwstawicie sławie karmelitanek bosych, gdyby ich fundatorka została beatyfikowana?

Jeśli przeoryszę poraziła przenikliwość biskupa, nie dała tego po sobie poznać.

- Jeśliby Jego Świątobliwość, zwiedziony naleganiami ludzi widzących w tym swój interes i przesądnych mniszek, nadał podobny zaszczyt przewrotnej buntownicze, dość mamy świętych w naszej regule, by zachować spokój ducha.

- Nie odpowiedzieliście na moje pytanie, pani. Dona Beatriz była zbyt dumna, by kłamać.

- Nie powiem, żebym zmarnowała życie, jeśli uda mi się pomóc poszukującej duszy osiągnąć taką doskonałość, że stanie się godna wstąpić między świętych. Jeśli potrafi zaś odwrócić szkody wyrządzone przez Teresę de Cepeda, obróci się to tylko na dobre. Jeśli nie pomożecie mi w tym, co jest szlachetną przysługą wyświadczaną duszy targanej niepewnością, sama będę musiała to zrobić.

Biskup spojrział na nią przeciągle, surowo.

- Muszę przypomnieć Waszej Wielbności, że nakłaniać kogokolwiek wbrew jego woli, by wstąpił do zakonu, jest zbrodnią, która podlega ekskomunice *latae sententiae*.

Przeorysza śmiertelnie pobladła, nie ze strachu przed groźbą, jeno z gniewu, że ważył się ją

wypowiedzieć. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Pierwszy raz w życiu odczuła, co oznacza przewaga mężczyzny. Milczała obrażona. Biskup wstał i złożył pożegnalny ukłon. Skinęła mu wyniośle głową, nie ruszając się z krzesła.

Rozdział dwudziesty szósty

Wypełniała codzienne obowiązki z należnym decorum, ale - jak można podejrzewać - w pewnym roztargnieniu. Nie myśląc poniechać swoich projektów, zastanawiała się, co czynić po odmowie biskupa. Choć nie wątpiła, że pozyskanie Kataliny byłoby chlubne i korzystne dla klasztoru ufundowanego przez jej ojca, była szczerze przekonana, iż powinno się tak stać przez sam wzgląd na dobro dziewczyny i ku zbudowaniu wiernych. Wiedziała, że jedyną poważną przeszkodę stanowił młody krawiec o imieniu Diego. Drażniła ją myśl, że dla tak błahego powodu Katalina gotowa jest odrzucić wszystkie awantaże, doczesne i niebieskie, jakie mogłaby czerpać z życia zakonnego. Mądry człowiek bierze rzeczy takimi, jakimi są, godzi się z warunkami i tak działa, żeby dopiąć celu.

Po pierwsze więc przeorysza posłała po mistrzynię nowic-juszek. Doña Anna od Świętego Jana była mniszką umiejącą dochować sekretu, rozumną, godną zaufania, biorącą sobie głęboko do serca dobro klasztoru. Oddana bez granic przeoryszy, wypełniała jej rozkazy ze ślepym posłuszeństwem; gdyby ta kazała rzucić się jej z mostu, i to uczyniłaby bez chwili wahania. Przeorysza zaczęła od zasięgnięcia jej opinii na temat Kataliny. Doña Anna pod niebiosa wychwalała dziew-

czynę, jej pobożność, posłuszeństwo, dobroć i usłużność. Zdawała się stworzona do życia w klasztorze.

- Wielka szkoda, że niskie pochodzenie wzbrania jej przystąpić do naszej wspólnoty.

- Bóg nie mierzy ludzi podług zaszczytów - odparła Dona Beatriz surowo. - Nie czyni różnicy między możliwymi tego świata i prostaczkami. Jeśli dziewczyna nadaje się, usuniemy przeszkody. Jeśli będzie trzeba, czemu mój brat nie miałby uczynić odstępstwa od reguła, jakie ustanowił ojciec.

- Wasze córki przyjmą ją z radością do naszego domu.

- I ja rada będę widzieć ją pomiędzy tylu godnymi niewiastami, które Bóg powierzył mej pieczy.

Przeorysza przez chwilę w milczeniu ważyła słowa, po czym podsunęła Doni Annie myśl, by rozgłosiła pomiędzy mniszkami, damami rezydentkami, *damas de piso*, jak je nazywano, oraz wśród codziennych gości klasztoru, że gotowa jest przyjąć Katalinę do nowicjatu. Po cudownych zdarzeniach, które wkrótce rozślawią jej imię w całej Hiszpanii, naturalną koleją rzeczy powinna przywdziać habit, żyć na chlubę miasta i modlić o to, by Bóg otaczał ją opieką. Trudno jednak oczekiwać po prostej dziewczynie siły woli tak wielkiej, by oparła się zachwytom, uwielbieniu nawet, jakie bez wątpienia wywoła postanowienie opuszczenia świata z jego przemijającymi uciechami.

Będąc kobietą praktyczną, Dona Beatriz wiedziała, że praktyczne korzyści też nie są bez znaczenia.

Poleciała gorliwej mniszce, by udała się do Marii Perez i opowiedziała jej, jak przychylnie wrażenie

wywarły na przeoryszy cnota i pojętność jej córki i jakie wiązała z nią zamiary. Wiedziała, że może zawierzyć Doñi Annie delikatną misję. Niechże da Marii Perez do zrozumienia, jak wielki zaszczyt spada na córkę, i o ile lepiej będzie się jej wiodło w sprawach materii i ducha, niż jeśli poślubi ubogiego krawca, który może okazać się leniwym ladaco, hulaką

i utracjuszem. Wreszcie Dona Beatriz kazała przekazać, że sama kupi wyprawę zakonną, a że Maria Perez starzeje się i bez pomocy córki czeka ją nędza, przeorysza rada będzie zadbać o potrzeby szwaczki, doglądając, by do końca życia na niczym jej nie zbywało.

Podobna szczodrość napełniła Donę Annę uwielbieniem dla miłosierdzia i wielkoduszności przeoryszy. Wspaniała niewiasta o wszystkim pomyślała. Odprawiając mniszkę napomniała ją jeszcze, by przekazała rzecz całą w stosownym momencie, oraz by wymogła na Marii Perez obietnicę dotrzymania sekretu, lękała się bowiem, że gdy rzecz dojdzie do uszu rozwiązłego Dominga, ten może odwieść siostrę od przyjęcia oferty.

Mistrzynie nowicjuszek sprawiła się migiem, a tak zręcznie spełniła polecenie, że doba nie minęła, gdy mogła już przekazać Doñi Beatriz, że Maria Perez wysłuchiwała jej słów z pokorą i wdzięcznością. Była wszak Hiszpanką, kobietą bogobojnej epoki i miała głęboko wpojone przekonanie, że nic nie jest godniejsze nad życie w klasztorze. Mieć córkę mniszkę, syna mnicha, stanowiło powód do rodzinnej dumy i było oznaką bożej przychylności. Mieć córkę w domu, w którym służyły Bogu damy wysokiego rodu, o czymś podobnym śnić nawet nie śmiała. Wielce jej pochlebiło, kiedy mniszka rzekła, że Katalina już uchodzi za małą świętą i dodała na wpół żartem, bo pocziwa z niej była i pogodna dusza, że jeśli rzeczy dalej potoczą się taką koleją, Maria Perez może pewnego dnia zostać matką dziewicy kanonizowanej przez ojca świętego. Malarze będą malować wizerunki Kataliny, które potem zawisną w kościołach, a szukający uzdrowienia nieszczęśnicy będą do nich pielgrzymować z bliska i z daleka. Olśniewające widoki oszołomiłyby każdą kobietę, a i perspektywa stałego wsparcia, dla kogoś, kto, jak ona, całe życie zarabiał na chleb ciężką i mozolną pracą, nie była Marii Perez obojętną. Wspaniale jest móc nic nie robić od rana do wieczora, chodzić do kościoła i przesiadywać w oknie, oglądając przechodniów.

- Wspomniała może o młodzieńcu, który, jak słyszę, zaleca się do Kataliny? - zapytała przeorysza, gdy już wysłuchiwała opowieści mniszki.

- Nie lubi go. Powiada, że niegodziwie się zachował, gdy jej biedne dziecko spotkał nieszczęsny wypadek. Myśli, że z niego chełpliwy samolub.

- Rzadkością jest mężczyzna, który nie miałby obydwu tych defektów - odparła oschle przeorysza. -

Taka ich natura, próżnych egoistów.

- Nie lubi też jego matki. Widzi mi się, że kiedy mąż Marii uciekł do Ameryki, matka chłopca zaczęła rozpowiadać, że dobrze jej tak, bo miał z nią pieski żywot.

- Możliwe. Jest to rodzaj życia, jaki większość kobiet gotuje swoim mężom. Czyś napomknęła, żeby sama od siebie dała do zrozumienia dziewczynie, jak bardzo cieszyłoby ją klasztorne życie córki?

- Uchybiłam w czymś?

- Całkiem przeciwnie. Świetnie się spisałaś, Doño Anno, jestem z ciebie rada.

Mniszka zarumieniała się z zadowolenia. Dona Beatriz bardziej skłonna była wszak do nagan niż pochwał.

Rozdział dwudziesty siódmy

Przeorysza pozwoliła, by upłynęło kilka dni, nim rozniesie się wieść, że jeśli Katalina będzie gotowa włożyć habit, na pewno znajdzie miejsce u karmelitanek. Rzeczą przyjęto z powszechnym zadowoleniem. Wszyscy byli zgodni, że krok ten przyczyni miastu chwały i że dziewczyna nie powinna zwlekać z decyzją. Nie godziło się przecież, by osoba, na którą spłynęły podobne łaski, wydawała się za krawca. Mistrzynie nowicjuszek nie mogła lepiej wypełnić zleconej jej misji.

Odwiedziła Marię Perez ponownie i przestrzegła, by obchodziła się z córką delikatnie, do niczego nie przymuszała, a kiedy nadarzy się sposobność, niech nie przestaje porównywać spokoju klasztorного życia z trudami i ryzykiem małżeńskiego stanu.

Doña Beatriz miała dar zjednywania sobie podległych jej ludzi. Nikt z nich zaś nie był bardziej jej oddany i wierny niż rządcą klasztorных i prywatnych włości przeoryszy, zacny hidalgo imieniem Don Miguel de Becedas, daleki jej krewny. Podziwiał jej zdolności i znał dobrze jej hojność, gdyż zarządzał jałmużnami. Umiała dbać o swoje interesy i potrafiła dobić targu równie udatnie jak mężczyzna. Wiedziała, kiedy słuchać głosu rozsądku, ale gdy raz już coś postanowiła, nie zmieniała zdania, wtedy należało ślepo spełniać polecenia

i Don Miguel zwykł spełniać je ślepo. Posłała po niego, a kiedy stawił się przed nią, poleciła, by przepytął w ich mieście, a potem w Madrycie o Don Manuela de Valero, żołnierza, nie zapominając za jedną okazją zebrać wiadomości

o Diegu Martinezie i jego ojcu.

Kiedy Don Miguel wrócił, przeorysza odesłała Katalinę do domu z prezentami i słowem zapewnienia o swoim niezmiennym do niej przywiązaniu. Dziewczyna zęgnęła się ze łzami w oczach.

- Pamiętaj, dziecko, jeśli znajdziesz się kiedy w potrzebie, przychodź prosto do mnie.

Dona Beatriz wysłuchiwała uważnie, z czym wraca major-domus, po czym, zadowolona z pomyślnych przespiegów, wspomniła o sposobności spotkania człowieka, o którym tak wiele słyszała.

Po fiasku w kolegiacie Don Manuel zamknął się w swoich pokojach i przez trzy dni nie chciał widzieć nikogo. Próżny był i stąd czuły na kpiny. Dobrze znał prześmiewczą naturę swoich krajan i wiedział, że natrzęsają się teraz jego kosztem. Nie przypuszczał, by ktoś ośmielił się czynić aluzje do nieszczęsnych wypadków w jego obecności, bo dobrze władał szablą i trzeba by prawdziwego chwata, by wystawił się na klucia ostrzem z racji błahego żartu. Na to, że śmieją się za jego plecami, nic nie mógł poradzić. Kiedy wreszcie zdecydował się wytknąć nos na świat, ku przestrodze prześmiewców przybrał wojowniczą postawę. Był rozeźlony nie tylko dlatego, że zrobił z siebie

głupca, ale 1 dlatego, że zrujnował swoje widoki na przyszłość. Przybył do Castel Rodriguez, co może czytelnik pamiętać, z zamiarem znalezienia żony wywodzącej się z któregoś z tutejszych szlacheckich a podupadłych rodów i miał wszelkie podstawy sądzić, że ze swoim majątkiem zostanie przyjęty.

Upokorzenie, na jakie się wystawił, poważnie nadważyło

jego pozycję. Tutejsi szlachcice byli ludźmi dumnymi i w tych ciężkich czasach duma była jedynym, co im pozostało. Odrzuciliby na pewno starania franta, który zrobił z siebie pośmiewisko. Wyglądało na to, że jedynym, co pozostało Don Manuelowi, było jechać do Madrytu, żywić nadzieję, że nie doszły tam pogłoski o oplakany zdarzeniu, i tam szukać żony.

Nie mało był zdziwiony, kiedy Don Miguel przyniósł mu grzeczne posłanie od wielebnej matki, niemniej pochlebiony, bo nigdy nie powstało mu w głowie, że ona może chcieć go widzieć. Należała do innego świata, na tyle wyższego, że mogłaby mieszkać na innej planecie. Don Manuel odpowiedział, iż czuje się zaszczycony możliwością złożenia jej wyrazów szacunku i że stawia się, gdy wola, u wielebnej matki. Majordomus na to, że przeorysza niewielu obcych do siebie dopuszcza; tu napomknął, kiedy obowiązki zostawiają jej wolną godzinę.

- Przyjdę po was jutro, señor, jeśli pozwolicie, i sam was zaprowadzę do karmelitanek.

Don Manuel pozwalał, a jakże.

Wprowadzono go do oratorium i tam zostawiono sam na sam z wielką panią. Siedziała za stołem zajęta pisaniem. Nie wstała na jego powitanie. Począł się rozglądać za krzesłem, ale że go nie prosiła siadać, stał, czując się cokolwiek niezręcznie. Choć był z niego człek śmiały i pyszałkowaty, trwożyło go jej dostojenstwo.

- Wiele słysząc, señor, o twojej odwadze, oddaniu i zdolnościach, jakimiś się wykazał w służbie Króla Jegomości, pragnęłam widzieć krajana, który własnymi zabiegami wyniósł się do podobnych wyróżnień. Czekałam, że znajdziesz wolną chwilę, aby mnie odwiedzić i przyjąć łaskawie powinszowania.

- Nigdy nie marzyłem, że mógłbym bez obrazy zakłócić wasz spokój, przewielebna pani - wyjąkał.

Poczuł się jednak swobodniej. Skoro córka wielkiego księcia Castel Rodríguez prawi mu tu komplementy, jego położenie nie jest widać takie oplakane. Ledwie to pomyślał, następna uwaga, choć wypowiedziana z uśmiechem, już zbiła go z tropu.

- Długą drogę przebyłeś, mój Don Manuelu, od pacholęcia, które biegało boso po wsi za ojcowskimi świniami.

Gniew go porwał, ale że nie wiedział, co ma odpowiedzieć, zmilczał jej uwagę. Doña Beatriz mierzyła go od stóp do głów, jakby był pacholkiem, którego chce nająć. Jeśli nawet spostrzegła jego pomieszenie, niewiele ją obeszło. Oglądała postawnego, trzymającego się prosto, dziarskiego mężczyznę, nie wyglądającego na swoje czterdzieści pięć lat, trochę wyższego od brata biskupa,

tęgiego, choć nie nalanego. W jego twarzy było coś brutalnego, ale to rzecz zwykła dla człowieka, który długie lata przepędził na wojaczce, a poza tym Doña Beatriz nie mogła ścierpieć tych, o których się powiada, że są niczym ciepłe kluski. Nie miała wątpliwości, że jest chełpliwy i dumy, ale były to przywary nieobce i jej krewniakom. Jako mniszka musiała je potępiać, lecz jako kobieta przyjmowała je z podobną rezygnacją, z jaką znosiła chłody kastylijskiej zimy. Biorąc wszystko razem, Don Manuel wywarł na niej dość korzystne wrażenie.

Jakby dopiero teraz spostrzegła, że jej gość nadal stoi.

- Wyświadcz mi tę grzeczność i zechciej siadać, señor - poprosiła wreszcie.

- Wielceście łaskawi, pani. Usiadł.

- Żyję w odosobnieniu. Choć religijne powinności splecione z obowiązkami mojego urzędu pochłaniają mnie całkowicie, czasem przecież dochodzi mnie jakaś wieść ze świata. Słyszałam, że prócz synowskiej tęsknoty sprowadza cię tutaj prag-

nienie znalezienia żony pośród szlachejnych rodzin Castel Rodriguez.

- Po latach służby królowi jegomości chcę się usatkwować i zaznać słodczy domowego ogniska, których dotąd byłem pozbawiony.

- Twoje pragnienie, señor, godne jest pochwały i wzbudza jeszcze większy szacunek niż ten, jaki dotąd dla ciebie żywiłam.

- Jestem silny, zdrowy, mam pewien majątek, a moje talenty, które przydawały się w walce, mogą łącno, jak wierzę, znaleźć uznanie na dworze.

- I wiesz zapewne, że rozumna, ustosunkowana żona będzie ci tam wielce pomocna.

- Bez wątpienia, pani.

- Mam kuzynkę, wdowę, markizę de Caranera, którą mąż zostawił bez środków do życia. Mieszka tu z nami. Miałam nadzieję, że przywdzieje habit i z latami przejmie moje obowiązki, do czego ma pełne prawo, będąc wnuczką fundatora tego domu. Cóż, kiedy brak jej powołania. Przyszłam więc do wniosku, że lepiej będzie pomyśleć dla niej o małżeństwie.

Don Manuel nastawił uszu. Dość był jednak przebiegły, by nie podejrzewać, że za propozycją wejścia w świetne koligacje z księciem Castel Rodriguez kryje się jakiś podstęp.

- Nie myślałem brać za żonę wdowy, tylko młodą pannę, którą mógłbym ułożyć podług swego smaku

- odparł ostrożnie.

- Markiza ma lat dwadzieścia i cztery, wiek stosowny dla ciebie - powiedziała ostro przeorysza. - Nie brak jej urody, a że miała syna, którego zabrała ta sama gorączka co męża, wiemy, że jest płodna. To, że chciałam uczynić ją w przyszłości przeoryszą naszego klasztoru, jest dowodem, jak ją cenię.

Czy mam ci tłumaczyć, że Don Manuel de Valero nigdy śnić by nie mógł o poślubieniu bratanicy księcia Castel Rodriguez

i będzie mi trzeba użyć wszystkich moich talentów, by uzyskać jego zgodę?

Don Manuel myślał szybko. Korzystając z wpływów tak świetnego rodu, Bóg wie, jak wysoko mógłby mierzyć. Tak świetna parantela zamknęłaby też usta uprzykrzonym prześmiewcom.

- Markiz nie zostawił dziedzica do tytułu. Może być, że król skłonny będzie tobie go przyznać.

Znacznie to lepsze niż ten śmieszny włoski tytuł, który nosisz teraz.

To przesądziło sprawę. Choć markiza była stara, dziesięć lat starsza, niż by sobie życzył, i może nie tak urodziwa, jakby pragnął, partia zdawała się zbyt nęcąca, żeby się wahać.

- Nie wiem, jak się wywdzięczę Waszej Wielebności.

- Powiem ci - odparła chłodno. - Po prawdzie dopiero gdy okażesz wdzięczność, będziemy myśleć dalej.

Don Manuel odetchnął z ulgą. Dość był bystry, by wiedzieć, że czyni mu się podobnie nieoczekiwane awanse nie dla jego wojskowych zaszczytów i jego majątku. W swoim prostactwie pomyślał nagle, że być może markiza oczekuje dziecka i że został wybrany na ojca bękarta. Z pewnym niepokojem oczekiwał dalszych wyjaśnień przeoryszy.

- Chciałabym, byś użył swych wpływów u arcyksięcia Alberta. Mój brat jest z nim zwaśniony i nie może mi pomóc, ty zaś, jak rozumiem, jesteś u niego w łaskach. Chodzi o pewnego młodzieńca z naszego miasta.

Powinniśmy powiedzieć, że arcyksiążę Albert dowodził w tym czasie wojskami hiszpańskimi w Północnych Prowincjach.

- Młodzieniec, o którym myślę, wiele by skorzystał, służąc pod arcyksięciem. Jest silny, odważny, powinien być dobrym żołnierzem.

Don Manuel poczuł prawdziwą ulgę. Arcyksiążę wiele mu zawdzięczał. Na pewno z ochotą przyjmie do siebie chłopca.

- Nic nie stoi na zawadzie, by uczynić zadość pragnieniom Waszej Wielebności. Młodzieniec pochodzi zapewne z szanowanej rodziny.

- Ze starych chrześcijan czystej krwi.

Znaczyło to zaledwie, że w rodzinie nie było Żydów ani Morysków i nie odpowiadało na pytanie postawione przez Don Manuela.

- Jak nazywa się ten młodzieniec, pani?

- Diego Martinez.

- Syn krawca? Jeśli tak, to, o co prosicie, pani, jest niemożliwe. Pod arcyksięciem Albertem służą tylko żołnierze wywodzący się ze szlacheckich rodów. Nie mogę czynić podobnego afrontu Jego Wysokości.

- Przewidziałam tę trudność. Mam małą posiadłość w naszej okolicy, którą chętnie oddam młodzieńcowi, a potem wystaram się przez brata o patent szlachecki. Będziesz rekomendował

arcyksięciu nie syna krawieckiego, ale hidalga Don Diega de Quntamilla.

- Nie mogę tego uczynić, Wasza Wielbność.

- Zatem rzecz skończona, dalsza rozmowa byłaby próżna. Don Manuel zasępił się. Świetne małżeństwo dałoby mu

wreszcie wymarzoną pozycję. Czuł też przez skórę, że odmawiając zrobi sobie wroga z Doni Beatriz.

Z drugiej strony uczynienie niefortunnej propozycji, którą arcyksiężę gotów poczytać za zniewagę, też może obrócić się przeciw niemu. Doña Beatriz widziała jego rozterkę.

- Głupiec z ciebie, mój Don Manuelu. Don Diego będzie majątym człowiekiem i zechciej wierzyć, że nędzna pięćdziesiątka ziemi, na której siedzi twój ojciec, jest niczym wobec włości, jakie mu przypadną.

Złapany w potrzask Don Manuel wił się pod biczem argumentów przeoryszy. Mogła przywieść go do ruiny i nie będzie się wahała, by to uczynić.

- Wolno zapytać, czemu Wasza Wielbność interesuje się tym młodzieńcem? - zapytał z wahaniem.

- Moja rodzina zawsze poczytywała sobie za zaszczyt i obowiązek dbałość o szczęście mieszkańców naszego miasta.

Ta ostrożna odpowiedź na tyle przywróciła Don Manuelowi kontenans, że uśmiechnął się domyślnie.

- To ukochany Kataliny Perez?

Dona Beatriz poczytała tę odpowiedź oraz przebiegły uśmiech i błysk w oku Don Manuela za afront. Z

trudem pohamowała jawne oburzenie.

- Prześladowuje nieszczęsną dziewczynę swoimi umizgami.

- I dlatego chcecie wysłać go do Niderlandów? Przeorysza zastanawiała się przez chwilę. Może czegoś się

domyślał, a że nie odznaczał się subtelnością, lepiej było zostawić pewne rzeczy nie

dopowiedzianymi.

- Dziewczyna jest młoda i nie wie, co czyni, choć jak nikt nadaje się do życia w klasztorze. Wiele przemawia za tym, by złożyła śluby. Gdyby nie on, zrobiłaby na pewno, czego po niej oczekujemy, ku zadowoleniu mojemu, matki i wielu szacownych mieszkańców miasta.

- Ale pani, czy nie lepiej, szczczędząc sobie kosztów i zbędnych wysiłków, pozbyć się młodzieńca od razu i na miejscu? Toż może dać gardło jakiejś ciemnej nocy.

- To grzech śmiertelny i dziwne mi, że ważysz się na takie słowa. Dałoby to tylko asumpt do wielkiego zgorzenia i niepotrzebnych domysłów, zamiast prowadzić do pożądanego celu.

- Co mam zatem czynić?

Spojrzała na niego w zadumie. Przynajmniej na razie nie chciała, by łączono jej imię z całą sprawą.

Ktoś musiał ją wyręczyć, bała się jednak, czy Don Manuel ma dość rozumu i potrzebnego sprytu.

Musiała ryzykować.

- Zamów nowe szaty - powiedziała z wahaniem.

Zbity z tropu Don Manuel, myśląc, że żartuje z niego, na próżno szukał na jej twarzy uśmiechu.

Musiała mu wyjaśnić swoje intencje.

- Poślesz po krawca, każesz mu zdjąć miarę i przynieść próbki materii. Będzie pochlebiony i zachwycony. Naprowadzisz rozmowę na jego syna, powiesz, że ktoś znaczny słyszał o nim dobrze i pragnie mu pomóc. Potem, zobowiązawszy go do zachowania tajemnicy, odkryjesz zamiary mające na celu dobro jego dziecka. Niech pośle chłopca do ciebie pod jakim pozorem, żebyś i jemu mógł

wszystko opowiedzieć. Pewna jestem, że uważa się za zrodzonego do lepszego losu i że cię wysłucha z uwagą.

- Byłby głupcem, gdyby było inaczej.

- Wróc, kiedy będziesz miał mi coś do powiedzenia. Wierzę, że potrafisz zręcznie wywiązać się z zadania.

- Bez obawy, pani. Nie miną dwa dni, jak przyjdę do was powiedzieć, że rzecz została pomyślnie załatwiona.

Rozdział dwudziesty ósmy

Don Manuel posłał po krawca. Potrafił być miły, kiedy się postarał. Gdy już miara została zdjęta, próbki materii obejrzane, przybrał ton uprzejmy i zaczął gawędzić z krawcem o zmianach, jakie zaszły w mieście pod jego nieobecność. Krawiec, mały, zasuszony człowieczek o haczykowatym

nosie i zręcznym wyglądem, odznaczał się gadatliwością. Znajdując w Don Manuelu wdzięcznego słuchacza, zaczął się rozwodzić nad ciężkimi czasami. Wojny i podatki wszystkim dały się we znaki i nawet szlachetni panowie nie szyli sobie nowych szat, póki nie znosili starych. Niełatwo było zarobić godziwie, jak trzydzieści lat wcześniej, kiedy karawele wracały z Ameryki z ładowniami wypełnionymi po brzegi złotem. Kilka sprytnych pytań wyjawiało, że martwi się o los syna. Powinien iść w ślady ojca, ale ma nierozumne pomysły i siłą trzeba mu perswadować, by został w rzemiośle.

- Liczy sobie ledwie osiemnaście wiosen, a już myśli o ożenku.

- Ustatkuje się.

- Dlatego też w końcu ustąpiłem.

- Przydadzą się pieniądze, które wam dziewczyna wniesie w posagu - rzekł Don Manuel pokpiwając.

- Nie ma pieniędzy. Powiadają, że możne damy chcą ją wyposażyć, ale ja wiem, czy to nie puste gadanie?

Krawiec począł opowiadać, kim jest dziewczyna i jak przyszło do tego, że w końcu się zgodził.

- Myślałem dla niego o innej, ale nie szło ugodzić się z jej ojcem, to wreszcie przystałem, żeby brał

Katalinę. Po tym, co zaszło i przy całym skweresie, jaki podniósł się mieście, może mi przysporzyć klienteli. Żona spokoju nie daje, jeno zrzędzi, że szyję dla panów, którzy nie mają czym płacić.

- I słusznie. Jeśli tak źle wam się wiedzie, czemu nie pošlecie chłopaka na żołnierkę?

- To ciężkie zajęcie i niewiele zeń grosza. W warsztacie jeszcze jakoś zarobi na chleb.

- Posłuchaj, przyjacielu - rzekł Don Manuel ze szczerością, która wprawiła w zachwyt poczciwego krawca. - Wiesz, że opuszczałem nasze miasto biedny niczym mysz kościelna, teraz zaś jestem kawalerem orderu Calatravy i majętnym człowiekiem.

- Ale Wasza Dostojność był panem i miał możnych przyjaciół.

- Prawda, panem, ale jedynymi przyjaciółmi, na których mogłem liczyć, były mi młodość, siła, odwaga i rozum.

Strapiony krawiec wzruszył ramionami. Don Manuel spoglądał na niego łaskawie ze swych wyżyn.

- Same dobre rzeczy słyszałem o twoim synu i jeśli to wszystko prawda, zasługuje na coś lepszego, niż sądzisz. I ja byłem biedny. Jesteśmy z jednego miasta, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł okazać twojemu chłopcu pomocną dłoń, ale pierw muszę być pewien twego przyzwolenia.

- Nie rozumiem, señor.

- Arcyksiążę Albert jest moim przyjacielem i uczyni wszystko, o co poproszę. Jeśli mu polecę

młodzieńca, przydzielili go do swego regimentu i będzie dbał o awanse.

Krawiec spoglądał na niego z otwartymi ustami.

- Trzeba go tylko wyposażyć jak należy. W pobliżu miasta jest mała posiadłość, którą mu oddam, a z moimi wpływami w Madrycie mogę zadbać i o to, by dostał szlacheckie patenty. Twój syn wstąpi na służbę arcyksięcia Alberta jako Don Diego de Quantamilla.

Skoro przeorysza rzekła, iż nie chce, aby w sprawę wmieszane było jej imię, Don Manuel nie widział

powodów, dla których nie miałby sobie przypisać wszystkich zasług płynących z tak wielkiej hojności. Krawiec tak się wzruszył, że twarz mu się wykrzywiła do płaczu. Don Manuel poklepał go po ramieniu.

- No, no, toż to bagatela. Idź teraz do domu i przyślij tu syna. Powiedz mu, żeś zapomniiał pokazać w czasie miary wzoru, który mógłby mi się spodobać.

Wkrótce pojawił się chłopiec. Don Manuel z ulgą odnotował w myśli, że młodzieniec ma miłą prezencję. Stosownie ubrany mógłby z powodzeniem uchodzić za szlachcica. Nie był ani bezczelny, ani zbyt nieśmiały; pewne siebie obejście obiecywało, że potrafi znaleźć się w każdej kompanii. Od pierwszego wejrzenia usposobiony do niego przychylnie Don Manuel po kilku bagatelnych słowach przeszedł do sprawy, dla której sprowadził Diega. Rozmawiali przez godzinę, a kiedy się rozstali, kapitan Jego Królewskiej Mości czym prędzej udał się do przeoryszy.

- Nie traciłem czasu, pani. Rozmawiałem, jakżeście rozkazali, z krawcem i jego synem.

- Prawdziwie spieszyłeś się, señor.

- Jestem żołnierzem. Ojciec przystaje na nasz plan. Wzrusza go łaska, jaką obcy dobroczyńca chce okazać chłopcu.

- Byłby głupcem, gdyby czuł inaczej.

Don Manuel przestępował niecierpliwie z nogi na nogę.

- Lepiej powiem Waszej Wielbności słowo w słowo, co zaszło między mną a chłopcem.

Przeorysza rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Mówże.

- Dobrze się prezentuje i zrobił na mnie korzystne wrażenie.

- Swoje wrażenia zachowaj dla siebie.

- Szybko pojąłem, że nie lubi rzemiosła, do którego przymusza go ojciec. Godzi się na nie z musu.

- To wiedziałam wcześniej.

- Powiedziałem mu, że rozumiem, co młody człowiek, który ma serce, rozum i wszystkie zalety zapewniające sukces w świecie może czuć, marnując życie na tak nędznym zajęciu. Odparł mi na to, że często myślał, by uciec precz i szukać przygód, ale powstrzymywał go brak grosza w sakiewce.

Powiedziałem, że król potrzebuje żołnierzy i że jest to rzemiosło, które może zawieść odważnego młodzieńca do zaszczytów i majątku. Potem powolutku zacząłem odkrywać przed nim plan, który zaspokoi jego godne pochwały ambicje.

- Bardzo dobrze.

- Przyjął rzecz spokojniej, niż mogłem oczekiwać, ale widać było, jak bardzo go zanęciłem.

- To oczywiste. Przysłał zatem?

Don Manuel wahał się przez chwilę, wiedząc, że to, co ma do powiedzenia, nie ucieszy przeoryszy.

- Pod pewnym warunkiem - odparł.

- Co przez to rozumiesz?

- Powiedział, że chce poślubić swoją ukochaną i za rok, gdy urodzi dziecko, gotów jest ruszyć do Północnych Prowincji.

Przeoryszę ogarnęła furia. Co za użytek z zamężnej kobiety z kwilącym dzieckiem przy piersi?

Dziewictwo Kataliny, nienaruszone dziewictwo, stanowiło podstawę jej planu.

- Spartaczyłeś całą sprawę, głupcze - wykrzyknęła. Don Manuel zaczerwienił się ze złości.

- Czy to moja wina, że dureń jest po uszy zadurzony w dziewczynie?

- Nie miałeś dość rozumu, żeby mu powiedzieć, iż jest szaleństwem odrzucać podobną ofertę?

- Owszem, pani, miałem. Powiedziałem mu, że w tym świecie, gdy trafia się sposobność polepszenia losu, trzeba z niej korzystać nie zważając na nic, bo druga może się nigdy nie trafić. Mówiłem, że w jego wieku głupotą jest obarczać się żoną, i że kiedy zostanie szlachcicem i oficerem, trafi we właściwym czasie na lepszą parantelę niż córka szwaczki bez grosza przy duszy, a jeśli już chce niewiasty, będzie miał wiele okazji w Północnych Prowincjach, gdzie dość znajdzie nadobnych pań, które skore spełnić pragnienia gładkiego młodzieńca, nie będą od tego, by okazać swą wdzięczność.

- Co ci na to odparł?

- Rzekł, że miłuje swoją ukochaną.

- Nic dziwnego, że w świecie panuje zamęt, a kraj schodzi na psy, skoro rządzą nim mężczyźni

pozbawieni krzty zdrowego rozsądku.

Nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, Don Manuel nic nie rzekł.

- Zawiodłeś, Don Manuelu, i nie widzę, by zdały się na coś nasze dalsze spotkania. - Przeorysza posłała mu spojrzenie pełne lodowatej wzdargy.

Choć pojął, że tym sposobem daje mu do zrozumienia, iż może pożegnać się z widokami poślubienia wdowy po markizie, nie myślał dawać pola bez walki.

- Wasza Wielbność łatwo odstępuje. Ojciec chłopca trzyma naszą stronę. Nie pochwała pomysłu małżeństwa, a ja potrafię sprawić, by cofnął przyzwolenie. Zaufajcie, pani, uczyni wszystko, żeby młodzieniec wziął, co mu ofiarują.

Tu Doña Beatriz dała wyraz swemu zniecierpliwieniu.

- Niewiele wiesz o naturze ludzkiej, señor. Sprzeciwy rodziców nigdy jeszcze nie zgasiły młodzieńczych amorów. Nie chcę tak usposobionej dziewczyny w klasztorze. Co innego, gdyby przystał na mój plan. Niechby zobaczyła, jak

niewiele warte są uczucia mężczyzny wobec miłości bożej. Zrozpaczona zwróciłaby się ku prawdziwemu szczęściu.

- Są inne sposoby, by pozbyć się kłopotu. Mam ludzi, którym mogę ufać. Pojmają młodzieńca którejś nocy, zawiozą do portu i wsadzą na okręt. Młodość jest płocha. Kiedy już będzie w Niderlandach, gdzie wszystko wyda mu się nowe i nieznane i gdzie czekają tysięczne przygody, z tytułem szlacheckim i wspaniałymi widokami, jakie przed nim otworzy łaska arcyksięcia, zapomni o miłości i wkrótce będzie dziękował gwiazdom, że nie związał się nieszczęsnymi ślubami wierności.

Przeorysza milczała przez chwilę. Nie miała aż tak wrażliwego sumienia, żeby plan Don Manuela przejął ją zgorszeniem. Krnąbrnych synów często tym sposobem wyprawiano za morze, podobnie jak nieposłuszne córki zamykano w klasztorach, kiedy młodzi opierali się małżeńskim planom snutym przez rodziców. Była przekonana, że rozdzielenie Kataliny i Diega okaże się z korzyścią dla obojga.

- Chłopiec z pewnością opowie Katalinie o nadziejach, jakie mu czyniono.

- Dlaczego tak myślisz, señor?

- By podnieść w jej oczach swe zalety, ukaże, jakie zaszczyty gotów jest odrzucić w imię miłości.

- Bardziej jesteś przebiegły, señor, niż sądziłam.

- Kiedy zabraknie go któregoś ranka, dziewczyna pomyśli, że nie mógł oprzeć się pokusie.

- To możliwe, ale nie zapominaj o ojcu. Wszystko na próżno, jeśli narobi rwetusu.

- Zdajcie się w tym na mnie. Marzy mu się wielka przyszłość dla syna. Przystanie na plan bez

wahania i strzyma język za zębami. Nim kto zauważy, że chłopca nie ma, będzie już na okręcie.

Przeorysza westchnęła.

- Nie pochwalam zamysłu, ale młodzi są tacy nierozumni,

że czasem lepiej dla nich, by o ich losie przesądzali starsi i mądrzejsi od nich. Musisz mi tylko zaręczyć, że obędzie się bez zbytecznego gwałtu.

- Przyrzekam Waszej Wielbności, że włos mu z głowy nie spadnie. Powierzę go zaufanemu człowiekowi i nakażę, by dobrze się z nim obszedł.

- Leży to w twoim interesie - odparła surowo.

- Wiem to, pani. Możecie mi we wszystkim zaufać.

- Kiedy chcesz działać?

- Jak tylko poczynię stosowne przygotowania.

Dona Beatriz zamilkła na chwilę. Zniknięcie Diega da powód do plotek, które mogą dojść uszu biskupa. Poznała już jego przenikliwość. Łacno złoży dwa i dwa i pojmie, że ona ma w tym udział.

Gorzko żałowała, że poniesiona gniewem nie zapanowała nad słowami w czasie ich rozmowy. Nie potrafiła przewidzieć, co biskup uczyni, wiedziała jedynie, że to człowiek stanowczy i potężny. Nie budził w niej wprawdzie lęku, dość jednak była rozumna, by unikać otwartego sporu, który i wywołałby zgorszenie, i zrujnował jej plany.

- Kiedy twój brat opuszcza miasto? Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Nie wiem, Wasza Wielbność, ale zapytam, jeśli trzeba.

- Nie czyn nic przed jego wyjazdem.

- Dlaczego?

- Niech ci wystarczy, że tego sobie życzę...

- Będzie, jak chcecie, pani. Chłopca porwą tej samej nocy, kiedy mój brat opuści miasto.

- Niech tak właśnie się stanie, Don Manuelu - powiedziała łaskawie i na pożegnanie podała mu dłoń do ucałowania.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Choć rozum powiadał jej, że działa słusznie i w szlachetnej sprawie, Doña Beatriz nie mogła pozbyć się dziwnego niepokoju, a był on tak silny, że raz czy dwa chciała już powiedzieć Don Manuelowi,

by poniechał swych planów. Potem napominała się za ową słabość. Gra szła o wysoką stawkę, a ona nie potrafiła ukryć rozdrażnienia. Wreszcie pewnego ranka subprzeorysza przyszła z wiadomością, że biskup wyjechał. Nie chcąc wzbudzać zamieszania, wymknął się o świcie. W godzinę później Don Manuel powiadamiał, że przygotowania zostały ukończone i że jeszcze tej nocy plan się dopełni.

Rzecz była przesądzona. Choć pytała się sumienia, nie znajdowała w sobie winy.

Pod wieczór dano znać, że Katalina prosi o widzenie i po chwili wprowadzono ją do oratorium.

Przeorysza przeraziła się, gdy ujrzała wielkie poruszenie dziewczyny. Przeczuwała złe wieści.

- Co się stało, moje dziecko?

- Wasza Wielbność pozwoliła przyjść do siebie, kiedy będę w kłopotach.

Wybuchnęła płaczem. Doña Beatriz poczęła ją uspokajać, prosząc, by powiedziała, co zaszło.

Dziewczyna wyznała wśród łkań, że wielki miejski personat umyślił posłać Diega na wojaczkę; obiecał tytuł szlachecki i majątek. Diego odmówił przez miłość do niej i pokłócił się z ojcem, ten rzekł, że jeśli nie przyjmie po dobroci świetnej oferty, jak się godzi człękowi roztropnemu, będzie musiał przyjąć ją przez rozum, a na koniec dodał, że cofa swoje przyzwolenie na ślub z Kataliną. Dona Beatriz wzdrygnęła się na wieść o pogrózkach. Cóż za głupiec z ojca. Teraz, jeśli Diego zniknie, dziewczyna będzie przekonana, że nie uczynił tego z własnej woli. Ona zaś chciała widzieć Katalinę pewną, że ukochany porzucił ją dla rojeń o zaszczytach świata.

- Ani mógł nawet marzyć o tak świetnych zaszczytach. Żaden młody człowiek na jego miejscu nie wahałby się, co zrobić. Mężczyźni to próżne i tchórzliwe plemię, postępują wszetecznie, a chcą, by dobrze o nich sądzić. Skąd wiesz, że cię nie zwodzi, prawiać o przemocy, by wymówić się od winy?

- Skąd wiem? Wiem, bo mnie kocha. Ach, pani, jesteście świętą niewiastą i nie wiecie, co oznacza miłować. Umrę, jeśli nie będę miała mojego Diega.

- Nikt jeszcze nie umarł z miłości - powiedziała przeorysza z dziką zawziętością.

Katalina padła na kolana i złożyła dłonie w gorącym błaganu.

- Ach, Matko, Wielbna Matko, zlituj się nade mną. Ratuj go. Nie pozwól go zabrać. Nie mogę żyć bez niego. Och, pani, gdybyś wiedziała, jaki ból cierpię na myśl, że mogę stracić go na zawsze i jak co noc wypłakuję za nim oczy! Na co Przenajświętsza Panienska uwolniła mnie od kalectwa, jeśli nie mogę zostać żoną mojego ukochanego? Skoro ona się nade mną ulitowała, to i wy mi pomóżcie.

Przeorysza zacisnęła dłonie na poręczy krzesła i nic nie odrzekła.

- Tyle czasu za nim tęskniłam. Serce mi pęka. Jestem tylko

biedną, nieoświeconą dziewczyną i nie mam nic na tym świecie prócz mojej miłości. Kocham go całym sercem.

- On jest nikim, młodzieńcem, jakich wielu. - Schrypnięty głos przeoryszy zabrzmiał jak krakanie wrony.

- Ach, pani, mówisz tak, boś nigdy nie zaznała goryczy i cudu miłości. Chcę czuć, jak oplatają mnie jego ramiona, chcę czuć słodycz jego ust na moich wargach, pieszczotę jego dłoni na moim nagim ciele. Chcę, żeby wziął mnie jak kochanek bierze umiłowaną kobietę. Chcę poczuć, jak jego nasienie pada w moje łono. Chcę trzymać przy piersi dziecko dane od niego.

Złożyła dłonie na piersiach w geście tak gorącym, zmysłowym i namiętym, że przeorysza cofnęła się gwałtownie i uniosła ramiona, jakby chciała osłonić się od żaru. Spojrzawszy na Katalinę, zadrżała.

Twarz dziewczyny była odmieniona i blada, można by myśleć, iż to maska pożądania. Dyszała spazmatycznie, w jej opętaniu było coś tak nieludzkiego i groźnego, a tak potężnego zarazem, że widok ten przejmował trwogą. Mówiła przez nią płęć, płęć tylko, gwałtowna i przemożna, płęć w całej odrażającej prawdzie i nagości. Nagle twarz przeoryszy wykrzywił grymas śmiertelnej udręki, a po policzkach popłynęły łzy.

Katalina struchlała.

- Och, Matko, cóżem powiedziała? Wybacz mi, wybacz. Objęła przeoryszę pod kolana, zdjęta bojaźnią na widok

podobnych emocji u tej, którą zawsze widziała spokojną, surową i pełną dostojeństwa. Oszołomiona nie wiedziała, co czynić. Chwyliła jej szczupłe dłonie i poczęła całować.

- Pani, czemu płaczesz? Co takiego zrobiłam? Doiła Beatriz wyrwała ręce i zacisnęła z całych sił.

- Jestem niegodziwą i nieszczęśliwą kobietą - jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach i poddając się odległym wspomnieniom. Zagryzła wargi, by stłumić szloch wydzierający się z gardła. Ta głupiutka, naiwna dziewczyna powiedziała jej, że nigdy nie zaznała miłości. Jakie to okrutne, że po tylu latach

stara rana ciągle broczy. Myśl, że oddała serce chłopcu, który był teraz starym zniszczonym kapłanem, budziła gorzki śmiech. Otarła łzy z oczu, ujęła w dłonie twarz Kataliny i popatrzyła na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy. Zniknęła bez śladu odrażająca zmysłowość, która na krótki moment odmieniła wdzięczne rysy, została sama łagodność, czystość i czułość; urok, który przejął ją zachwytem. Taka młoda, piękna i tak namiętnie zakochana. Czy wolno jej złamać to biedne, małe serce, tak jak jej zostało złamane? Ona, która myślała, że obca jest jej wszelka ludzka słabość, uczuła się słaba, żałośnie słaba, a jednak było w tym uczuciu coś zadziwiającego, podniosłego, co rozgrzewało serce i paraliżowało wolę, jakby rozluźnił się jakiś węzeł krępujący pierś, która nigdy nie poczuła warg niemowlęcia. Odetchnęła uwolniona od wielkiego bólu, nachyliła się i złożyła pocałunek na ustach dziewczyny.

- Nie lękaj się, moja miła - rzekła. - Poślubisz swego ukochanego.

Katalina krzyknęła radośnie i wybuchnęła gorącymi podziękowaniami, ale przeorysza kazała jej zamilknąć. Sytuacja wymagała namysłu. Za kilka godzin mieli pozbyć się Diega. Prawda, że mogła

posłać po Don Manuela i powiedzieć mu, nie zważając na jego wyrzuty, że zmieniła zamiary, ale to nie położy kresu sprawie. Ziarno, które zasiała, padło na podatną glebę. Miasto oczekiwało, że Katalina wstąpi do klasztoru. Doiła Beatriz wiedziała, z jaką żarliwą pobożnością tutejsi ludzie odnosili się do spraw wiary. Nie tylko poczuliby się zawiedzeni, że Katalina nie zrobiła, czego po niej oczekiwano, ale też poczytaliby jej za gest nieprzystojny, niemalże obrazę religii, że po otrzymaniu tak wielkiej łaski wyszła za krawca. Moźni będą się natrzęsać i czynić sprośne żarty, wierzący w całej prostocie serca poczują się znieważeni. Katalinę wielbiono, patrzono na nią z nabożną trwogą; jeden nierozważny krok mógł obrócić wszystko we wzgardę i wzburzenie.

Przeorysza знаła gwałtowną naturę swoich ziomków. Gotowi byli podpalić dom, gdzie mieszkała, ukamienować ją niczym ladacznicę i wbić sztylet w plecy Diega. Można było uczynić tylko jedno i trzeba było uczynić to szybko.

- Musicie opuścić miasto, ty i ten młodzieniec. Wyjedźcie jeszcze tej nocy. Idź po wuja Domingo i wracaj tu z nim prędko.

Rozpalona ciekawością dziewczyna próbowała dowiedzieć się, co przeorysza zamyśla, ale Dona Beatriz za całą odpowiedź rzekła jej, by nie zadawała zbędnych pytań, tylko posłusznie wypełniała polecenia.

Gdy Katalina sprowadziła wuja, odprawiła ją i kazała czekać w celi, jemu zaś w cztery oczy powiedziała tyle, ile uznała za niezbędne, udzieliła instrukcji i dała list do majordomusa. Miał też znaleźć Diega, rzec mu, co uradzili i dopilnować, by ów spełnił dane polecenia. Kiedy odszedł, wezwała Katalinę.

- Wieczór spędzisz ze mną, moje dziecko. O północy wypuszczę cię sama przez bramę, za którą będzie czekał Diego. Jedźcie na południe, do Sewilli. Dam ci listy do moich przyjaciół, a oni zadbają, żebyście dostali tam jakieś przyzwoite zajęcie.

- Och, pani - wykrzyknęła podniecona Katalina. - Jak mam dziękować za to, co dla mnie czynisz?

- Powiem ci - rzekła surowo przeorysza. - Spieszcie się i pod żadnym pozorem nie ociągajcie po drodze. Macie przeciw sobie gotowych na wszystko ludzi, którzy mogą ruszyć za wami w pościg.

Koroną niewiasty jest niewinność i musisz ją zachować, dopóki Kościół was nie pobłogosławi.

Obcowanie cielesne przed zawarciem związku małżeńskiego jest grzechem śmiertelnym. W pierwszej wsi, jaką napotkacie rankiem, odnajdźcie księdza i proście go, by związał was świętym węzłem.

Widzisz, co mam tutaj?

Pokazała jej prostą obrączkę ze złota.

- To obrączka, którą miałaś dostać przy obłóczynach. Niech będzie twoją ślubną obrączką.

Położyła ją na otwartej dłoni Kataliny. Serce dziewczyny na chwilę zamarło. Przeorysza zaczęła ją

pouczać o obowiązkach i powinnościach stanu małżeńskiego. Słuchała, jak przystoi, z powagą, lecz niezbyt uważnie, myśląc raczej o jego rozkoszach. Modliły się razem, godziny mijały powoli. W

końcu zegar klasztorny wydzwonił północ.

- Czas już - rzekła Dona Beatriz. Wyjęła małą sakiewkę z szuflady. - Tu masz trochę złota. Włóż je tam, gdzie będzie bezpieczne, i nie oddawaj Diegowi. Mężczyźni nie znają wartości pieniędzy, umieją je tylko trwonić na zbytki.

Katalina odwróciła się skromnie; uniosła spódnicę, włożyła sakiewkę za pończochę i obwiązała troczki wokół uda.

Przeorysza zapaliła lampę i kazała jej iść za sobą. Przemknęły cicho opustoszałymi korytarzami do ogrodu, gdzie Dona Beatriz, nie chcąc, by jakaś czuwająca mniszka dojrzała światło, zgasiła kaganek, ujęła Katalinę za rękę i powiodła ciemnymi ścieżkami. Doszły do furty w murze miejskim, którą przeorysza kazała wybić, by tędy opuszczać miasto nie widziana przez nikogo i przyjmować tajne wizyty, a do której ona jedna miała klucz. Otworzyła sekretne przejście. Po drugiej stronie, w cieniu murów, skryty przed jasnym światłem księżyca czekał już Domingo na koniu.

- Ruszajcie - rzekła przeorysza. - Niech Bóg cię błogosławi, moje dziecko. Módl się za mnie w swoich pacierzach, bo jestem grzeszną kobietą i trzeba mi modlitw.

Wypuściła szybko przemykającą Katalinę, zamknęła za nią furkę. Słyszała jeszcze oddalający się stuk końskich kopyt niosący się donośnie w nocnej ciszy. Wracała do klasztoru ledwie odnajdując drogę przez łąki. Resztę nocy spędziła na modlitwach w swoim oratorium.

Rozdział trzydziesty

Domingo podał Katalinie rękę i pomógł dosiąść konia. Było cicho i ciepło, tylko górą szły wiatry pędzące po niebie srebrnoczarne chmury. Jechali samotnie przez bezludną okolicę, jakby przez nie zamieszkaną krainę.

- Wujku Domingo.

- Tak?

- Wychodzę za mąż.

- Uczyń tak. To sakrament, bez którego nie ma zbawienia, chociaż ludzie niewiele dbają o dobro własnej duszy.

Minęli uśpioną wioskę i ujrzeni niewielki zagajnik. Kiedy się zbliżyli, od drzew oderwała się jakaś postać. Katalina zsunęła się z konia prosto w ramiona Diega. I Domingo zsiadł z grzbietu wierzchowca.

- Dość już - powiedział. - Będziecie mieli czas na czułości później. Siadajcie na konia i zmykajcie stąd. W torbach przy siodle macie jedzenie i wino.

Ucałował obydwójce, odprowadził wzrokiem śledząc znikające w ciemnościach sylwetki, po czym, jako że bramy miasta były zamknięte i nie miał jak wrócić do domu przed świtem, umościł się wygodnie pod drzewem. Przezornie wziął ze sobą wino i teraz przyłożył butelkę do ust. Miejsce nadawało się wybornie do poetyckich zatrudnień i gotów był czekać świtu w towarzystwie Muzy. Nim jednak przesądził, czy ułożyć sonet do księżycy, czy odę do triumfującej miłości, smacznie zasnął i przespał do świtu.

Kochankowie jechali już godzinę, a Katalinie usta się nie zamykały. Miała ukochanemu do powiedzenia tysiące rzeczy, snuła plany, wszystko, co mówiła, brzmiało rozkosznie i zabawnie.

Uszczęśliwiony Diego gotów był śmiać się z każdego słowa. I ona była zachwycona, bo nie wyobrażała sobie większego szczęścia niż tak wędrować przez szeroki kraj obejmując ramionami ukochanego. Bo też nie było innego sposobu, skoro musiała się go trzymać, ale sprawiało jej to ogromną przyjemność.

- Mogłabym tak jechać na sam koniec świata - rzekła.

- Jestem głodny - odparł na to. - Stańmy i zobaczmy, co jest w trokach.

Zatrzymał konia w lesie. Odgadując, że nie jedzenia i picia jest spragniony, Katalina uczuła dreszcz pożądania, wspomniała jednak przestrogi przeoryszy i wuja, że nie godzi się z przykazaniami świętej wiary, by kobieta ulegała mężczyźnie, zanim Kościół nie pobłogosławi ich związku. Wiedziała, że każdy z nich z natury wzdraga się przed ożenkiem, znała wiele dziewcząt, które uległy swoim ukochanym, a kiedy ci później odwracali się od nich, nieszczęśnikom pozostawał tylko burdel.

- Jedźmy dalej, kochany - powiedziała. - Przeorysza mówiła, że mogą nas ścigać.

- Nie boję się - odparł.

Przerzucił nogę przez kark konia, zeskoczył i pomógł Katalinie zsiąść z grzbietu. Kiedy znalazła się w jego ramionach, zaczął całować jej oczy i usta. W jedną rękę ująwszy wodze, drugą obejmując Katalinę wpół już miał wieść ją w las, gdy tej samej chwili zaczął padać deszcz. Zdumieli się obydwójce, jako że noc była pogodna i na niebie nie było

widać nigdzie ciemnych chmur. Diego, dzielny niczym lew gotów stawić czoło armii prześladowców, przestraszył się deszczu. Co więcej, wdział na drogę najlepsze odzienie i nie mógł go przemoczyć.

- Tam nie pada - rzekł, wskazując na zagajnik po drugiej stronie drogi. - Biegnijmy tam.

Ledwie przebiegli, dogoniła ich rześista ulewa. Diego rozeźlił się.

- Dalej nie pada - powiedział. - Jeśli ruszymy szybko, uciekniemy przed deszczem.

Dosiadł konia, pomógł Katalinie, wbił ostrogi w boki wierzchowca i ruszył galopem. Ledwie wyjechali z lasu, deszcz ustał tak gwałtownie, jak nagle zaczął padać. Spojrzał w górę. Zostawili chmury z tyłu, nad ich głowami rozpościerało się pogodne nocne niebo. Jechali w milczeniu może pół

godziny, aż napotkali mały zagajnik.

- Tu będzie dobrze - powiedział Diego, zatrzymując konia.

Nim skończył mówić, wielka kropla spadła mu na nos.

- To nic - rzekł i chciał już zsiadać, ale nie zdążył jeszcze postawić stopy na ziemi, a już krople padały rześście. - Diabeł w tym siedzi.

Włożył na powrót nogę w strzemię i popędził wierzchowca. Katalina zamyśliła się.

- To nie diabeł - powiedziała.

- Co zatem?

- Przenajświętsza Panienska.

- Głupstwa mówisz, kobieto, i zaraz ci tego dowiodę. Rozejrzał się bystrze, patrząc za drzewem, do którego

mógłby przywiązać konia.

- Powinienem był wziąć powróż, żeby go spętać - powiedział.

- Człowiek nie może pamiętać o wszystkim - odparła.

- Koń powinien odpocząć, a i nam nie zaszkodzi przespać się przy drodze.

- Nie zmrużę oka.

- I nawet nie zechcesz - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Patrz - powiedziała - znowu będzie padać. - I rzeczywiście spadło kilka kropel. - Przemokniemy do nitki.

- Kilka kropli nie uczyni nam szkody.

Ledwie to powiedział, rozpadało się na dobre. Zaklął i spał konia.

- To najdziwniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu.

- Cud niemal - szepnęła.

Diego miał na ten temat inne zdanie. Chociaż deszcz przestał padać, obydwójce byli mocno przemoczeni i miłosne zapłaty Diega ostudziła nieco troska o ubranie. Na usprawiedliwienie młodzieńca powinniśmy dodać, że było to nie tylko najlepsze, ale też jedyne odzienie, jakie miał ze sobą, gdyż Domingo rzekł mu przed wyjazdem, że uczyni najroz-tropniej, jeśli opuści dom tak jak stoi. Jechali całą noc nie napotykając nikogo, czasem tylko w srebrzystej poświacie księżyca pojawił

się tu jakiś folwark, tam kilka ubogich chat. Wreszcie wzeszło słońce. Byli na szczycie wzgórza, skąd dojrzeliby wieś; powinni znaleźć tu zajazd, a w nim posiłek i napitek. Byli już porządnie głodni i spragnieni. Jechali dalej spotykając teraz wieśniaków wychodzących w pole. Kiedy wjechali do wsi, koń wrył się w ziemię kopytami.

- Co z tobą, bestio piekielna? Ruszajże! - krzyknął Diego bijąc ostrogami.

Koń ani drgnął. Diego smagnął go przez łeb wodzami, raz i drugi wraził mu ostrogi w boki, ale szkapa nie myślała ruszyć. Stała nieruchomo, niczym kamienny posąg.

- Ruszaj, bestio.

Rozeźlony Diego począł okładać z całych sił koński kark.

Kobyła stanęła dęba. Katalina krzyknęła. Diego bił, pokąd nie poskromił konia, ale nawet wtedy zwierzę nie ruszyło, tkwiło w miejscu jak zakłęte. Diegowi wypieki wystąpiły na policzki, pot oblewał

czoło.

- Nic nie pojmuję, jakby diabeł wstąpił w tego konia. Katalina zaczęła się śmiać.

- Z czego się tu śmiać? - rzucił z wściekłością.

- Nie złość się na mnie, kochany. Nie widzisz, gdzie jesteśmy? Przed kościołem!

Diego wzdrygnął się, rozejrzał wokół i wtedy dopiero spostrzegł, że koń stanął przed kościołem na skraju wioski.

- Cóż z tego?

- Przyrzekłam przeorzyzy, że pobierzemy się w pierwszym napotkanym kościele. Oto i on.

- Po co się spieszyć? Mamy dużo czasu - odparł.

Raz jeszcze spiął konia, ale szkapa zamiast ruszyć wierzgnęła potężnie, wyrzucając kochanków w powietrze. Wylądowali szczęśliwie, bez uszczerbku dla ciała, w stogu siana. Leżeli przez chwilę oszołomieni i wielce zdumieni. Koń po tej demonstracji temperamentu stał nieruchomo jak przedtem.

Kiedy się to wszystko działo, z kościoła wyszedł właśnie ksiądz. Widząc wypadek, pospieszył zapytać, czy może w czymś pomóc. Młodzi podnieśli się, niepewni, czy wyszli cało z przygody i zaczęli ogarniać się z siana.

- Mielicie szczęście - przemówił ksiądz, mały człowieczek o czerwonej twarzy. - Krzyknę dalej, a wpadlibyście na moją stodołę.

- Opatrzność chciała, żeby stało się to przed drzwiami kościoła - rzekła Katalina - gdyż szukamy

księdza, który dałby nam ślub.

Diego spojrział na nią zdumiony, ale nie rzekł słowa.

- Ślub? - zawołał ksiądz. - Nie należycie do mojej parafii.

Nigdy wcześniej was nie widziałem. Z pewnością nie dam wam ślubu. Nic nie jadłem od wczoraj od kolacji, idę teraz do domu posilić się.

- Poczekajcie, ojcze - poprosiła Katalina.

Odwróciła się, uniosła spódnicę i zwinnym ruchem dobyła sztukę złota z sakiewki podarowanej jej przez przeoryszkę. Z czarującym uśmiechem pokazała ją na wyciągniętej dłoni. Ksiądz pokraśniał na ten widok jeszcze bardziej.

- Kim jesteście? Dlaczego chcecie brać ślub w obcym kościele i w takim pośpiechu? - zapytał

podejrzliwie, ale nie odrywał oczu od błyszczącej monety.

- Ulitujcie się nad dwojgiem młodych kochanków, księżo. Uciekliśmy z Castel Rodriguez, bo mój ojciec chciał mnie wydać za bogatego starca dla jego pieniędzy, a ten tu młodzieniec, z którym jestem zaręczona, miał poślubić z woli niegodziwych rodziców bęzzębną wiedźmę z jednym okiem.

Chcąc uczynić swoją opowieść bardziej wiarygodną, Katalina wsunęła monetę w dłoń księdza i zamknęła ją na potwierdzenie ofiary.

- Opowiadasz tak przekonująco - odezwał się ksiądz - taka wzruszająca jest wasza historia, że łzy napływają mi do oczu.

- Nie tylko spełnicie dobry uczynek, ojcze, ale uratujecie dwie młode dusze przed grzechem śmiertelnym.

- Chodźcie ze mną - powiedział ksiądz ruszając na powrót do kościoła. - Pepe - wołał idąc w stronę ołtarza.

- Czego? - dało się słyszeć w odpowiedzi.

- Chodź no tu, obwiesiu.

Z kaplicy przy zakrystii wyszedł zakrystianin z miotłą w ręku.

- Pozamiatać nie można - sarknął pod nosem. - Mało, że płacicie tyle, co kot napłakał, to jeszcze nie dacie chwili spokoju. Jak mam się obrobić, kiedy ciągle przeszkadzacie w robocie?

- Powstrzymaj swój grzeszny język, diabelskie nasienie. Mam dać ślub tym młodym. Ale! Trzeba wam dwóch świadków. Będziecie musieli poczekać, aż ten pijany łobuz sprowadzi kogoś ze wsi, a ja tymczasem coś zjem - rzekł do Kataliny z głupkowatym uśmiechem na nalanej twarzy.

- Ja będę drugim świadkiem.

Na dźwięk tych słów wszyscy odwrócili głowy. Nawą szła ku nim pani w błękitnej pelerynie i białej chuście. Ksiądz patrzył na nią w zdumieniu. Kiedy odprawiał nabożeństwo, nie widział w kościele nikogo. Wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Niech będzie. Załatwmy rzecz czym prędzej, spieszno mi zjeść wreszcie śniadanie.

Katalina, spłoszona widokiem nieznajomej, chwyciła Diega za rękę. Obca pani położyła palec na ustach, nakazując jej milczenie. Ksiądz pośpiesznie dokonał obrządku i Katalina Perez została związana świętym węzłem małżeńskim z Diego Martinezem. Przeszli do zakrystii, by odnotować w księgach pobłogosławiony związek. Ksiądz zapisał imiona nowożeńców i ich rodziców, potem zakrystianin z mozołem postawił swój podpis.

- To wszystko, co potrafi napisać - rzekł ksiądz - a zabrało mi sześć miesięcy, żeby wbić tych kilka liter w ciemną głowę. Teraz, pani, wy piszcie.

Zanurzył pióro w inkauscie i podał tajemniczej pani.

- Nie umiem nawet tego - odparła.

- To kreślcie się krzyżykiem, a ja napiszę imię.

Ujęła pióro i uczyniła, jak kazał. Katalina przyglądała się jej z bijącym sercem.

- Nie napiszę waszego imienia, póki mi nie powiecie, jak was nazywają - rzekł ksiądz ostro.

- Maria, córka pasterza Joachima. Zapisał.

- To wszystko - powiedział. - Teraz wreszcie coś zjem. Wyszli za nim z kościoła. Zakrystianin został wewnątrz

i zabrał się na powrót do sprzątanania mruczając coś pod nosem. Hiszpanie zawsze odznaczyli się dwornością i ksiądz, czując w kieszeni miły ciężar złota, nie był tu wyjątkiem.

- Jeśli, panie i panowie, uczynicie mi ten honor i zechcecie wstąpić w skromne progi mojej plebanii, tu obok, z radością ugoszczę was, czym biedna chata bogata.

Katalina, która była dobrze wychowaną panną, wiedziała, że na takie zaproszenie grzecznie się odmawia, ale wygłodniały Diego nie dał jej czasu na odpowiedź.

- Senor - odparł natychmiast - ani ja, ani moja żona nie mieliśmy nic w ustach od wczoraj i nawet najuboższy poczęstunek wyda nam się ucztą.

Ksiądz trochę się zdziwił, ale układność nie pozwoliła mu rzec nic innego jak tylko, że czynią mu zaszczyt. Poszli zatem na plebanię tuż obok kościoła i zasiedli w skromnej izbie służącej za refektarz,

rozmównicę oraz bibliotekę. Gospodarz podał chleb i wino, kozi ser i miskę czarnych oliwek. Ukroił cztery kromki z bochna, napełnił cztery kubki winem i rzucił się łapczywie na jedzenie. Diego i Katalina poszli w jego ślady. Gdy ksiądz podniósł głowę, chcąc sięgnąć po oliwki, zobaczył, że tajemnicza pani niczego nie tknęła.

- Jedzcie, proszę, pani - rzekł. - Skromny to poczęstunek, ale pożywny, najlepszy, na jaki mnie stać.

Uśmiechnęła się do chleba i wina i był w jej uśmiechu jakiś szczególny smutek. Pokręciła głową.

- Zjem oliwkę - powiedziała.

Wzięła jedną. Katalina spojrzała na panią, a kiedy ich wzrok spotkał się na moment, ujrzała w oczach pani nieskończoną łagodność. W tej samej chwili do izby wpadł zakrystianin.

- Señor, señor! - wołał, nie posiadając się z oburzenia. - Ukradli Panienkę!

- Nie jestem głuchy, ośle - krzyknął ksiądz. - Co to ma znaczyć, na Boga?

- Mówię, że ukradli Panienkę. Poszedłem tam zamiatać i zobaczyłem, że postument jest pusty.

- Alboś pijany, alboś stracił zmysły, Pepe - wrzasnął ksiądz zrywając się z krzesła. - Kto miałby to zrobić?

Wybiegł z domu i ruszył pędem do kościoła, za nim zakrystianin, Diego i Katalina.

- Ja tego nie zrobiłem, ja tego nie zrobiłem - darł się zakrystianin, wymachując niezbornie rękami. -

Wszystko będzie na mnie i zamkną mnie w kozie.

Pobiegli do kaplicy Mariackiej. Zakrystianin wrzasnął. Figura Przenajświętszej Paniarki stała na swoim miejscu.

- Co ty wygadujesz? - krzyknął ksiądz, rozsierdzony ponad miarę.

- Toż przed chwilą nie było jej tutaj. Klnę się na wszystkich świętych, że postument był pusty.

- Ty pijane bydle, ty stary szawłoku!

Ksiądz ucapił go za kark i począł kopać w zadek, aż się zasapał. Resztką sił poprawił dwoma siarczystymi razami po gębie.

- Kija trza na ciebie, wszystkie kości bym ci poprzetrącał. Kiedy cała trójka wróciła na plebanię skończyć skromny

posiłek, ujrzeni ze zdumieniem, że tajemnicza pani zniknęła.

- Gdzież się ona podziała? - wykrzyknął ksiądz i klepnął się w czoło. - A to głupiec ze mnie. Teraz

wszystko rozumiem. Na pewno jest z Morysków i kiedy Pepe przybiegł powiedzieć, że ktoś ukradł

Panienkę, uznała, że bezpieczniej będzie umknąć. To sami złodzieje. Pewnie pomyślała, że któryś z tych niewiernych zabrał figurę. Widzieliście, że nie tknęła nawet wina? Choć wychrzczeni, trzymają się swoich pogańskich obyczajów. Coś podejrzewałem, kiedy rzekła, jak ją zwa, nie jest to imię, jakim zwałaby się dobra chrześcijanka.

- Dawno temu pozbyliśmy się Morysków z Castel Rodriguez - rzekł Diego.

- I dobrze uczyniliście. Każdego wieczoru modłę się, żeby nasz dobry król zrobił, co do niego należy i przegnał z kraju wszystkich niegodziwych odstępców od wiary.

- Wielki byłby to dzień dla Hiszpanii.

Warto tu nadmienić, że modły poczciwego księdza zostały wysłuchane, jako że w tysiąc sześćset dziewiątym roku Moryskowie zostali wygnani z kraju.

Czas był najwyższy, by Diego i jego młoda żona ruszali do Sewilli. Rozstali się z księdzem, dziękując za wszystko. Koń zdążył tego popaść na sianie, w które zrzucił jeźdźców. Diego jeszcze go napoił i kiedy już dosiedli grzbietu, szkapa ruszyła wdzięcznym kłusem bez zbędnych ponagleń. Dzień był

piękny, niebo bezchmurne. Ksiądz powiedział im, że piętnaście mil dalej napotkają gospodę, gdzie znajdą odpoczynek. Tam też postanowili przenocować. Przejechali w milczeniu trzy, może cztery mile.

- Jesteś szczęśliwy, kochany? - zagadnęła wreszcie Katalina.

- Jakże by nie.

- Będę dobrą żoną. Tak cię kocham, że mogę urobić sobie dla ciebie ręce do łokci.

- Nie będzie potrzeby. Pieniądze tylko czekają w Sewilli, byle człowiek miał głowę na karku, a ja nie jestem głupcem.

- Ani bym pomyślała.

Znowu zamilkli i znowu to Katalina zagadnęła pierwsza:

- Posłuchaj, mój kochany, kobieta, która przysłała na nasz ślub, nie była Moryską.

- O czym ty mówisz? Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że nie należy do starych chrześcijan.

- Ja już ją widziałam.

- A to gdzie?

- Na stopniach kościoła Karmelitanek. To ona mi powiedziała, że mogę być uleczona z niemocy.

Zatrzymał konia i rozejrzał się wokół.

- Nieszczęsna, postradałaś zmysły. Słońce uderzyło ci na mózg.

- Tak samo jestem przy zdrowych zmysłach jak i ty, mój kochany. Mówię ci, że to była Przenajświętsza Panienka. Dobrze wiedziałam, czemu odmówiła chleba i wina.

Diego patrzył na nią, nie wiedząc, co myśleć.

- Wielebna Matka powtarzała mi setki razy, że jestem pod specjalną opieką Przenajświętszej Dziewicy. Dlatego tak napierała, bym wstąpiła do klasztoru. Te niespodziewane deszcze ostatniej nocy i to, że koń stanął jak wryty przed samym kościołem, nie chciał się ruszyć i zrzucił nas z grzbietu.

To wszystko nie działo się przypadkiem.

Wpatrywał się w nią uważnie i Katalina ku swej rozpaczycy dojrzała niezadowolenie w jego oczach.

Wreszcie odwrócił się bez słowa, cmoknął na konia i ruszyli dalej. Chociaż próbowała od czasu do czasu zagadnąć go ostrożnie, albo wcale jej nie odpowiadał albo zbywał bąkając coś pod nosem.

- Co z tobą, ukochany? - zapytała w końcu, powstrzymując łzy.

- Nic.

- Spójrz na mnie, serce moje. Spragniona jestem wejrzenia twoich oczu.

- Jakże mam na ciebie patrzeć, kiedy droga wyboista i pełna wykrotów? Niech się koń potknie, połamiemy karki.

- Nie gniewasz się chyba o to, że Przenajświętsza Panienka zechciała chronić moją cnotę i była łaskawie świadkiem na naszym ślubie?

- To zaszczyt, o jakim nigdy nie śmiałem marzyć - odparł lodowato.

- To dlaczego boczysz się na mnie? Potrzebował czasu, żeby odpowiedzieć.

- Nie wróży to dobrze naszemu przyszłemu szczęściu, że kiedy przyjdzie do wymiany zdań, cuda mają przeważać rację na twoją stronę. Mężczyzna ma być panem we własnym domu, a powinnością żony jest słuchać we wszystkim męża.

Uczuł, jak trzęsą się obejmujące go wpół ramiona Kataliny.

- Płacz nic tu nie pomoże - rzekł jej.

- Ależ ja nie płaczę.
- Cóż zatem?
- Śmieję się.
- Śmiać się też nie masz z czego, niewiasto. Rzecz jest poważna i mam prawo być zagniewany.
- Słodki jesteś, kochanie, i miłuję cię z całego serca, ale czasami brak ci rozumu.
- Wy tłumacz się - zażądał ponuro.
- Przeorysza powiedziała mi, że łaski, jakie otrzymałam od Przenajświętszej Panienki, zawdzięczam dziewictwu. Widzi mi się, że w niebie mają dla niego wielkie uważanie. Bardzo być może, że kiedy je stracę, stracę też i łaski.

Słyszając to Diego aż wykręcił się w siodle całym ciałem do tyłu, a na jego urodziwym licu pojawił się chytry uśmiech.

- Niech będzie błogosławiona matka, która cię zrodziła - wykrzyknął. - Nie zwlekając musimy rzecz sprawdzić.
- Słońce zaczyna prażyć. Miło będzie odpocząć gdzieś w cieniu, póki spiekota nie minie.
- O tym samym myślałem.
- Jeśli oczy mnie nie mylą, o jakąś milę stąd widać lasek, który w sam raz nam się nada.
- Jeśli twoje oczy cię mylą, to i z moimi nie lepiej.

Spiął konia i pomknęli galopem w stronę cienistego zagajnika. Zeskoczył, pomógł zsiść Katalinie.

Kiedy on wiązał konia, ona dobyła, w co zaopatrzyła ich przezorność czy to Dominga, czy też przeoryszy: chleb, ser, kiełbasę, kurczaka na zimno i bukłaczek wina. Kto mógłby sobie życzyć lepszego weselnego popasu? W cieniu drzew było zacisznie i chłodno, nie opodal szemrał cicho strumyk. Miejsce było wyśmienite.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy wyszli z lasu, słońce już tak nie prażyło.

- Lepiej było się dwakroć upewnić - rzekł.
- Bodaj i w trójnasób - szepnęła z niejaką satysfakcją.
- To wszystko nic, duszko - rzekł z usprawiedliwionym samozadowoleniem. - Nie wiesz jeszcze, do czego jestem zdolny.

- Jesteś tak bezwstydy, jak słodki - powiedziała.

- Jestem, jakim mnie Bóg uczynił - odrzekł skromnie. Jechali powoli, wzgórzami i dolinami, niewiele mówiąc

i smakując swe szczęście. Ujechawszy mil sześć albo siedem, ujrzeni w miękkim świetle popołudnia wałacy się dom przy drodze. Była to zapewne gospoda, o której mówił ksiądz.

- Zaraz tam będziemy. Bardzoś utrudzona?

- Czy bardzo? Czemu miałabym być zmęczona? Jestem żywa jak skowronek.

Przejechali już dobre czterdzieści mil, a ona nie spała więcej niż godzinę, odkąd wyruszyli. Miała tylko szesnaście lat.

Byli teraz na równinie. Kraina, którą przemierzali, rozpościerała się szeroko po obu stronach drogi.

Zebrane plony, pola brązowe i nagie. Tu i ówdzie kilka poskręcanych dębów, gdzieś stare drzewko oliwne. Nie więcej niż milę od gospody ujrzeni pędzącego w ich stronę w tumanie kurzu

jeźdźca o tak osobliwym wyglądzie, że kiedy obcy stanął przed nimi na środku gościńca, zdumieni osadzili konia w miejscu. Dziwaczna postać mocniej ścisnęła w dłoni kopię, poprawiła się w siodle i wyniosłym tonem w te słowa przemówiła do Diega:

- Zatrzymaj się i kimkolwiek jesteś, mów, ktoś ty, skąd idziesz i kim jest ta nadobna księżniczka, którą wiesz za sobą. Wszystko wskazuje, że wiesz ją do swego zamku przeciw jej woli. Przystoi i jest konieczne, bym o tym wiedział. Muszę ukarać cię za wyrządzone zło i nakazać zwrócić ją zasmuconym rodzicom.

Zdumiony z wszech miar Diego nie wiedział, co odrzec. Jeździec miał ponure, trupie oblicze, krótką rzadką bródkę, wąs długi, zbroję przerdzewiałą i wielce starożytną, a przybranie głowy bardziej przypominało miskę cyrulika niż rycerski hełm z prawdziwego zdarzenia. Za wierzchowca służył mu nędzny szkielet, zdalny najwyżej do jatki, tak wychudzony, że mogłeś mu zliczyć żebra. Łeb zwiesił, jakby za chwilę miał paść z wycieńczenia.

- Panie - odrzekł Diego śmiało, gdyż chciał uczynić wrażenie na Katalinie - jedziemy do gospody, którą stąd widać i nie ma powodów, bym odpowiadał na wasze niegrzeczne pytania.

Co rzekłszy spał konia i ruszył przed siebie. Rycerz, wielce dotknięty taką odpowiedzią, chwycił wierzchowca za uzdę.

- Stój, dufny, pozbawiony dworności rycerzu i odpowiedz jak przystoi, z galanterią, na moje pytanie.

W przeciwnym razie wypowiem ci śmiertelną walkę.

W tej samej chwili pojawił się na drodze mały, okrągły człowieczek z wielkim brzuchem. Z grzbietu

człapiącego osła pukał się znacząco w czoło, jakby dawał do zrozumienia, że rycerz w dziwacznym rynsztunku jest niespełna rozumu.

Słyszac groźne słowa, Diego dobył już miecza, gotów się bronić, gdy mały grubas przecisnął się między zwaśnionych.

- Powstrzymajcie gniew, señor - rzekł do rycerza. - To niewinni podróżni, a ten młodzieniec wygląda na kogoś, kto umie parować, gdy przyjdzie do wymiany ciosów.

- Zmilcz, pachołku - krzyknął jeździec. - Im niebezpieczniejsza przygoda, tym lepsza dla mnie sposobność dokazać siły i dowieść odwagi.

Na te słowa Katalina zsunęła się z konia i podeszła do nieznanego.

- Señor, odpowiem na wasze pytania - rzekła. - Ten młodzieniec nie jest rycerzem, lecz zacnym obywatelem Castel Rodríguez i krawcem. Nie wiezie mnie siłą do swojego zamku, bo go nie posiada, ale z moją zgodą uwozi do Sewilli, gdzie chcemy znaleźć uczciwe zajęcie. Uciekliśmy z rodzinnego miasta, bo mieliśmy tam wrogów, ludzi przeciwnych naszemu małżeństwu. Pobraliśmy się dzisiejszego ranka we wsi kilka mil stąd. Spieszno nam, gdyż nie wiemy, czy nas kto nie ściga, by pochwycić i zawieść siłą na powrót do naszego miasta.

Rycerz spoglądał to na Katalinę, to na Diega, wreszcie oddał kopię małemu człowieczkowi na osła, który wziął ją z sarkaniem.

- Schowaj miecz, młodzieńcze - rzekła fantastyczna figura dumnym tonem. - Nie masz się czego lękać, choć wiem, patrząc na ciebie, że strach jest uczuciem, które nie ma przystępu do twego szlachetnego serca. Może było ci poręczniej przyjąć postać skromnego krawca, ale twoje obejście i ogłada zdradzają szlachetne urodzenie. Szczęśliwie dla ciebie przecięły się nasze drogi. Jestem błędnym rycerzem i moim zatrudnieniem jest wędrować po świecie w poszukiwaniu przygód, naprawiać zło, bronić ukrzywdzonej niewinności i karać wszelki gwałt. Biorę cię pod swoją ochronę, a jeśliby

twoi prześladowcy stawili się tu nawet w dziesięć tysięcy i chcieli cię pojmać, ja sam w pojedynkę dam im odpór i przegnam ich precz. Odprowadzę was na popas. Ten oto mój giermek z wami pojedzie. To człowiek gadatliwy i nieokrzesany, ale poczciwy. Będzie posłuszny waszym rozkazom niczym moim własnym. Ja pojedę z tyłu. W razie gdybym ujrzał nadciągające armie, będę w sposobnej pozycji do ataku, dając ci możliwość ucieczki z tą nadobną dziewczicą w bezpieczne miejsce.

Katalina wskoczyła na konia, usadowiła się za plecami męża i w towarzystwie giermka podjęli na nowo podróż. Człowieczek zwierzył im, że jego pan jest niczym szalony kapelusznik, co sami już spostrzegli słuchając, jak do nich przemawiał, dodał jednak, że pomimo wszystko to człowiek szlachetny i dobry.

- Kiedy mu się nie zwiduje, biedaczysku, więcej w jego gadce rozsądku przez godzinę, niżli u innych przez okrągły miesiąc.

Dojechali do zajazdu. Jacyś ludzie siedzieli na ławach na podwórzu; spojrzeli na podróżnych i

natychmiast przestali zwracać na nich uwagę pogrążeni jakby w żalobnym letargu. Grubasek, zsunąwszy się z osła, jął wołać gospodarza. Oberżysta wreszcie się pokazał, a usłyszawszy pytanie o nocleg, odrzekł kwaśno, że nie ma jednego wolnego posłania. Dzień wcześniej przybyła trupa komediantów, odgrywająca teatr w sąsiednim zaniku, którego pan, wielki grand Hiszpanii, świętował wesele swego syna i dziedzica. Ludzie na ławach, najpewniej aktorzy, o których mówił, spoglądali na młodych z wrogą obojętnością.

- Ale musicie nam coś znaleźć, mój gospodarzu - rzekł Diego. - Jedziemy z daleka i nie mamy już sił podróżować dalej.

- Powiedziałem wam, że nie mam stancji, senor. Nawet kuchnia, nawet stajnie zajęte.

Na te słowa nadjechał rycerz.

- Co słyszę? - zakrzyknął. - Odmawiasz nicponiu schronienia tej szlachetnej parze? Jeśli nie chcesz mnie zgniewać, zadbaj o godziwy nocleg.

- Zajazd pełen - odkrzyknął gospodarz.

- Niech biorą moje pokoje.

- Wedle waszego życzenia, panie rycerzu, a gdzie wy zamierzacie spać?

- Nie będę spał - odparł z majestatem. - Zaciągnę straż. To dzień ich ślubu, najbardziej uroczysta chwila w życiu dziewicy. Apostoł nauczał, że lepiej związać się w małżeństwie niż zgorzeć. Celem świętego sakramentu nie jest chuć cielesna, ale potomstwo, przeto spłoniona oblubienica ma zapomnieć o swojej przyrodzonej skromności i w ramionach prawowitego męża poświęcić mu bezcenną perłę dziewictwa. Jest obowiązkiem płynącym z mojego powołania nie tylko strzec małżeńskiego łoża od bezecnych wrogów, którzy ścigają te szlachetne istoty, ale i powstrzymać grubian przed sprośnymi żartami, do których pobudzają ich takie okazje.

Przemowa ta skonfundowała Katalinę, ale trudno orzec, czy płonila się ze wstydu, czy ze skromności.

W tamtych czasach w Hiszpanii oberżysty dawali tylko posłanie, zaś podróżni sami musieli dbać o strawę. Ale że przy takiej uroczystości pan zamku posłał przez ochmistrza aktorom resztki ze swego stołu, a giermek rycerza własnym przemyśleniem wszedł w posiadanie dwóch kuropatw, przeto kompania mogła oczekiwać wystawnej biesiady; ich wieczorny posiłek składał się bowiem zwykle z chleba z czosnkiem i kawałka sera, jeśli dobrze poszło. Gospodarz zaręczył, że uwinie się w pół

godziny, rycerz zaś z wielką dwomością prosił młodą parę, by uczynili mu lionor i czuli się jego gośćmi. Kazał giermkowi

usunąć własne statki, poczem poprowadził oblubienicę i oblubienca do swej izby, gdzie w stosownym czasie mieli dopełnić świętego obrzędu. Pokoje dla podróżnych znajdowały się na piętrze, pomieszczone wokół galerii obiegającej podwórzec. Diego i Katalina ogarnęli się nieco i

wrócili na dół, zaczerpnąć chłodnego wieczornego powietrza. Tu zastali aktorów, jak ich zostawili, pogrążonych w smutku, a kiedy już które odezwało się do drugiego, to słowami pełnymi goryczy. Właśnie przyłączył do nich rycerz. Był teraz bez zbroi, w spodniach i sajanie z gienzowej skóry, poplamionym rdzą z napierśnika, w pończochach i trzewikach. U boku zwisał wierny miecz przytroczony do pasa z wilczej skóry.

Gospodarz prosił do wnętrza; zasiedli do wieczerzy. Posadziwszy Katalinę po jednej swojej stronie, Diega po drugiej, rycerz zajął miejsce u szczytu stołu.

- A gdzie, jeśli wolno spytać, jest mistrz Alonso? - zapytał rozglądając się wokół. - Nikt mu nie dał znać, że wieczerza gotowa?

- Nie przyjdzie - rzekła leciwa niewiasta, która grała duenny, przewrotne macochy i owdowiałe królowe, a ponadto dbała o garderobę trupy. - Powiada, że nie ma serca jeść.

- Z pustym żołądkiem każde nieszczęście staje się dwakroć cięższe do zniesienia. Idźcie i sprowadźcie go tutaj. Rzeknijcie mu, że poczytam to za ciężką zniewagę uczynioną wobec moich szlchetnych gości, jeśli pozbawi nas swojej kompanii. Nie zaczniemy, dopóki nie przyjdzie.

- Idź i sprowadź go, Mateo - poprosiła garderobiana. Mały, chudy człowieczek z długim nosem i wydatnymi,

obwisłymi wargami wstał i wyszedł. Garderobiana westchnęła.

- To smutna historia - zaczęła - ale, jakeście mądrze rzekli, panie rycerzu, odmówić wieczerzy niewiele pomoże.

- Nie będę zbyt natrętna, gdy spytam, czym się tak frasujecie? - zagadnęła Katalina.

Jeden przez drugiego zaczęli opowiadać, co im zajmuje umysły. Teatr należał do Alonso Fuentesy, autora większości sztuk, które grali, zaś jego żona, Luiza, była pierwszą amantką trupy. Tego ranka uciekła z pierwszym amantem, unosząc ze sobą prawie wszystkie ich pieniądze. Oznaczało to katastrofę, gdyż Luisa Fuentes przyciągała publiczność i to ona napełniała kasę teatru. Alonso desperował. Stracił żonę, najlepszą aktorkę i źródło dochodów. Dość, żeby przywieść do rozpacz każdego człowieka. Języki się rozwiązały. Mężczyźni utyskiwali na przewrotność kobiet, nie mogąc się nadziwić, jak takie urocze stworzenie mogło się zadać z nędznym komediantem, za jakiego mieli pierwszego amanta. Kobiety pytały, jak można oczekiwać od niewiasty, by wytrzymała u boku łysego grubasa Alonso, kiedy miała na podorędziu gładkiego Juanito Azurię. Rozmowę przerwało wejście porzuconego małżonka. Był mały i okrągły, niemłody, z gumową twarzą aktora nawykłego wcielać się w różne postaci. Kiedy już siadł, ciągle ponury i zafrasowany, na stole pojawił się wielki półmisek ollapodrida.

- Przyszedłem, żeby wam nie uchybić, panie rycerzu - rzekł. - To mój ostatni popas na tej ziemi, jako że po wieczerzy mam zamiar się obwiesić.

- Muszę nalegać, byście poczekali do jutra - odparł rycerz z marsowym obliczem. - Ten szlchetny

pan i jego dama, których widzisz po moich bokach, dzisiaj rano zostali sobie poślubieni i nie mogą pozwolić, by ich noc poślubną zakłócił taki nieobyčajny incydent, o jakim wspominać.

- Figę mnie obchodzą szlachetny pan i jego dama. Mam zamiar się obwiesić.

Rycerz skoczył na równe nogi i dobył miecza.

- Albo poprzysięgniecie mi na wszystkich świętych, że nie powiesicie się dzisiejszej nocy, albo posiekam was tym mieczem na tysiąc kawałków.

Szczęśliwie za rycerzem stał jego giermek, który miał mu usługiwać.

- Nie lękajcie się, señor - powiedział. - Alonso nie powiesi się dzisiejszej nocy, bo musi dać jutro teatrum. Aktor zawsze zostanie aktorem, nie sprawi zawodu swojej publice. Jeśli chwilę pomyśli, wspomni, że na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą, rano jest lepszym doradcą od wieczoru, a po deszczu zawsze świeci słońce.

- Przestań międlić bez sensu porzekadła - rzekł rozeźlony rycerz, ale schował miecz i usiadł. - Nie godzi się tak desperować nad tym, co zdarzało się godniej szym ludziom niż ten tu Alonso. Trochę pomyślawszy mógłbym wspomnieć z Pisma Świętego i z historii powszechnej nazwiska wielkich mężów, których żony uczyniły rogaczami, ale teraz przychodzi mi akurat na myśl król Artur, którego żona Ginevra zdradziła z sir Lancelotem, i król Marek, którego Izolda rzuciła dla sir Tristana.

- To nie obraza honoru przywiodła mnie do takiej desperacji, panie rycerzu - rzekł aktor i autor sztuk scenicznych - jeno utrata pieniędzy i dwóch najważniejszych członków trupy. Mamy jutro przedstawiać i przyobiecana mi suma pokryłaby stratę, ale jakże dam teatrum bez aktorów?

- Mogę odgrywać partię Don Ferdynanda - rzekł chudy komediant, którego posyłano po Alonsa.

- Ty? - krzyknął dyrektor ze wzgardą. - Z twoją końską twarzą i piskliwym głosem miałbyś grać galanta - hardego, upartego i namiętnego księcia? Nie, to rola, którą ja mógłbym grać, ale kto weźmie partię uroczej Dorotei?

- Znam tekst - rzekła garderobiana. - Prawda, że już nie taka młoda jak kiedyś...

- Prawdziwie - przerwał jej Alonso. - I zważ łaskawie, że Dorotea jest niewinną dziewczyną niepospolitej urody, a twoja

dojrzała postać prędzej każe myśleć, że wydasz za chwilę na świat cały miot prosiąt.

- Czyżbyście mówili panie o *Prawdzie i zapalach, co mogą poruszyć niebiosa*? - zapytała Katalina, która z uwagą słuchała rozmowy.

- A jakże - odparł Alonso, nie kryjąc zdziwienia. - Ale skąd to zgadujecie?

- To jedna z ulubionych sztuk mojego wuja. Czytywaliśmy ją razem. Często powiadał, że scena, w której Dorotea odrzuca ze wzgardą nieczne zaloty Don Ferdynanda, równa się najpiękniejszym

strofom wielkiego Lopego de Vega.

- Znasz ją?

- Duszą i sercem.

Zaczęła deklamować, ale gdy spostrzegła, że kompania słucha jej z wielką ciekawością, zawstydziała się, zmyliła wiersze i przerwała.

- Mów, mów dalej - krzyknął aktor.

Sploniała się, uśmiechnęła i zebrawszy odwagę zaczęła od nowa. Wypowiedziała długą tyradę do końca z tak wielką dystynkcją, patosem i szczerością, że wszystkich porwała. Niektórzy mieli nawet łzy w oczach.

- Uratowani - wykrzyknął Alonso. - Zagrasz jutro Doroteę, a ja Don Ferdynanda.

- Jakże? - zapytała zdjeta przerażeniem. - Prędeż bym umarła. Nigdy nie grałam. To być nie może.

Słowa nie dobędę.

- Twoja młodość i uroda zaradzą niedostatkom. Pomogę ci. Posłuchaj, piękna białogłowo, ty jedyna możesz nas uratować. Jeśli odmówisz, nie będziemy mogli zagrać, a nie mamy pieniędzy, by zapłacić za nocleg w zajęździe ani za jedzenie. Pójdziemy z torbami.

Tu rycerz wtrącił słówko:

- Pojmuję łącno, szlachetna damo, że twa skromność każe ci wzbraniać pokazać się na scenie oczom obcych ludzi. Nieoby-

czajnie byłoby nie spytać o zgodę twego pana męża - rycerz wbił sobie do głowy, że młodzi oblubieńcy należą do ludzi wysoko urodzonych i nic nie mogło odwieść go od tego przekonania. -

Pomnij wszak, że odgrywałabyś szlachetną istotę, która niesie pociechę strapionym i pomoc tym, którzy jej potrzebują.

Reszta trupy dołączyła się do nalegań Alonsa Fuentesesa i w końcu Katalina przystała, za skwapliwym przyzwoleniem Diega, odbyć próbę, co wszyscy uznali za podjęcie wyzwania i przyjęcie roli. Po wieczery odsunięto stół na bok i zaczęło się przepowiadanie ról. Miała dobrą pamięć i na tyle często recytowała sceny, w których występuje Dorotea, że słowa przychodziły jej same. Z początku spłoszona, słysząc zachęty aktorów nabrała wiary w siebie i teraz zatraciła się w postaci zapomniawszy o świecie. Lekcje wuja nie poszły na marne. Wypowiadała wersy trafnie i z uczuciem.

Poszło jej wyśmienie. Alonso twierdził, że dość jeszcze jednej próby z rana, a będzie mogła pokazać się przed publiką. Sploniona i szczęśliwa, wyglądała tak ślicznie, że nabrał pewności, iż brak doświadczenia aktorskiego przejdzie nie zauważony.

- Idźcie do łóżek, dziatki - powiedział do trupy - i śpijcie spokojnie. Skończyły się nasze kłopoty.

Uwolnieni od strapienia, wreszcie radośni, ani myśleli usłuchać. Zawołali o wino i zaczęli świętować.

Rycerz, wygodnie usadowiony na krześle, obserwował próbę spod oka. Teraz, powstawszy nieco sztywno, odwołał duennę na stronę.

- Prowadź nadobną Katalinę do ślubnej alkowy - rzekł. - A że nie ma matki, powiedz jej, co w tak ważkiej chwili godzi się, by wiedziała. Twoją rolą jest wyłożyć jej w zwrotach nie przynoszących ujmę dziewiczej skromności znaczenie obowiązków małżeńskich, które przyjdzie jej od tej chwili wypełniać. Krótko mówiąc, powinnaś ją przygotować na tajemnice miłości nie znane niewinnej dziewczycy, jaką zaprawdę jest.

Duenna zamrugła powiekami, ale przyrzekła sprawić się jak najlepiej.

- Tymczasem - prawil dalej rycerz - ja wytłumaczę młodemu panu, jej mężowi, że musi hamować przyrodzone popędy, bo tylko cierpliwością przełamać można zwykłą u cnotliwej białogłowy niechęć do obcowania cielesnego. Zepsucie naszych czasów jest tak wielkie, że nie wierzę, by zachował

niewinność na dzisiejszą noc.

- Za przeproszeniem waszmości, nie jest całkiem źle, panie rycerzu, gdy mężczyzna ma jakie pojęcie o miłości, bo i w tym, jak w innych sztukach i rzemiosłach, praktyka czyni mistrza.

- W tej materii zmilczę, madame. Dość rzec, że w stosownym czasie sam odprowadzę oblubieńca na próg alkowy, poczem, przywdziawszy zbroję, zaciągnę straż na balkonie, by małżeństwo mogło zostać skonsumowane w sposób, jaki przystoi ludziom ich stanu.

Odprawił duennę i zawołał Diega.

- Wstępujesz na drogę, na której niewielu osiąga szczęście i daje je tym, z którymi dzielą życie.

Circumstancje, w jakich się związaliście, nakładają na mnie obowiązek udzielenia ci kilku rad, których w innym razie udzieliliby ci twój zacny ojciec - tu rycerz zaczął mówić sposobem, jaki polecił

duennie, po czym tak zakończył: - Nie potępiam danych od natury uciech ciała, które służą zdrowiu i chronią przed grzeszną żądzą, ale jadło i napój, a jeszcze więcej obcowanie z niewiastą nie są niczym, jak tylko ukojeniem ciała, które nie powinno stać na zawadzie wytężeniom ducha. Miłość uświęcona małżeństwem ma wszak coś z drogi ku doskonaleniu, jeśli tylko prowadzi dusze młodych ku dobru. W

czystym uczuciu, jakie związało cię z tą dziewczicą, nie może przecie zabraknąć pragnienia wiekuistości, danego śmiertelnym; kiedy

tulisz ją do serca, przez zespolenie się z tym, co piękne, z pięknem się zespalasz, a przez piękno smakujesz przeczuć wiecznego żywota, bo wieczność i piękno są jednym.

Diego słuchał tej oracji z wrodzoną sobie grzecznością, ale jego myśli błądziły gdzie indziej, bo bardzo chciał już zostać sam z Kataliną. Rycerz ujął go za rękę i poprowadził do ślubnej alkowy, jak uparł się nazywać izbę na pięterku, potem wezwał giermka, przywdział wojenny rynsztunek i przepędził noc chodząc w tę i z powrotem zatopiony w myślach o nieosiągalnym przedmiocie własnych westchnień.

Rozdział trzydziesty drugi

Wczesnym rankiem następnego dnia, po kolejnej próbie, zajechały wozy, które miały ich zabrać do pałacu księcia. Rycerz i Diego dosiedli koni, giermek osła. Ruszyli. W ostatniej chwili odwaga zawiodła Katalinę. Mówiła z płaczem, że nie podoła straszemu doświadczeniu i za nic nie stanie przed publicznością. Błagała Alonsa, by jechali bez niej, ten wpadłszy w pasję rzekł jej, że za późno się wycofać, wepchnął ją do powozu i sam usiadł obok. Zalaną łzami jakoś uspokoił z pomocą duenny. Kiedy dotarli na miejsce, była już spokojna. Komediantów przyjęto łaskawie i z rozkazu księcia suto ugoszczono. Rycerza, o którego dziwactwach pan zamku coś już wcześniej słyszał, poproszono, by zechciał wyświadczyć honor księciu i księżnej i zasiadł przy ich stole razem z innymi gośćmi, umilając im czas swoimi przemowami. Scenę ustawiono na dziedzińcu. Kiedy możni panowie skończyli ucztować, dano znać aktorom, by zaczynali występy. Alonso nie porwał

szlachetnej publiczności swoją rolą uwodziciela lekkoducha, bo też się do niej nie nadawał.

Wszystkich przecież oczarował wdzięk Kataliny, melodia jej głosu i wy-tworność gry. Gdy przedstawienie dobiegło końca, zebrała mnóstwo pochwał. Rycerz zdążył już opowiedzieć swoją wersję romantycznej ucieczki młodych, pobudzając jeszcze

bardziej ciekawość świętego towarzystwa. Kiedy na życzenie księżnej zjawili się w komnatach, wszystkich zdumiała ich uroda, skromność obejścia oraz wytworność manier. Księżna podarowała Katalinie złoty łańcuch, książę, nie chcąc być gorszy, zdjął pierścień z palca i obdarował nim Diega.

Alonso został sownie wynagrodzony i kompania, zmęczona lecz szczęśliwa, wróciła do zajazdu.

Wkrótce potem nadjechał rycerz ze swoim giermkiem. Zsiadłszy sztywno z konia, ujął dłoń Kataliny i dodał swe komplementy do tych, które już zebrała.

- Pojawiliście się w najbardziej stosownym czasie, panie rycerzu - rzekł Alonso - by być świadkiem propozycji, którą chcę uczynić tym młodym. - Tu zwrócił się do Kataliny - Proszę, byś przyłączyła się do mojej trupy.

- Ja? - zapytała zdumiona.

- Musisz się jeszcze wszystkiego nauczyć, ale masz talent i grzechem byłoby go zmarnować. Nie wiesz, jak grać. Mówisz swoje wiersze jak w życiu. Tak nie można. Na scenie nie mamy do czynienia z prawdą, tylko z pozorem, i aktor staje się naturalnym przez udanie. Gesty wymagają

mocnego rysunku, nie umiesz jeszcze panować nad publicznością. Dobry aktor nawet milcząc może zawładnąć widzami, ale jeśli oddasz się w moje ręce, uczynię cię największą aktorką Hiszpanii.

- Wasza propozycja zaskakuje mnie, ledwie wierzę własnym uszom. Jestem zameźną kobietą, mój mąż i ja jedziemy do Sewilli, gdzie mamy nadzieję znaleźć uczciwe zajęcie.

Alonso Fuentes pochwyciwszy spojrzenie, które posłała Diegowi, z uśmiechem zwrócił się do niego.

- Grzeczny z ciebie i gładki młodzieniec. Trochę eksperyencji, a zdasz się nam do odgrywania męskich partii.

Zebrane po przedstawieniu owacje i pochwały podnieciły

umysł Kataliny tak bardzo, że nieoczekiwana oferta Alonsa nie była jej pochlebstwem; spostrzegła wszak, że mąż jest niekontent, jakby czuł dobrze, że zwracają się do niego jedynie z musu. Dodała więc pospiesznie:

- Potrafi śpiewać niczym aniołowie.

- Tym lepiej. Mało jest sztuk, w których nie masz piosenki czy dwóch dla ożywienia akcji. Co powiecie? Czy nie są to widoki więcej ponętne niż uczciwe, nie wątpię, ale skromne zajęcia, jakie czekają na was w Sewilli?

Rycerz, który dotąd w milczeniu słuchał ich rozmowy, teraz się włączył:

- Tego, co wam przedkłada mistrz Alonso, nie powinniście odrzucać przedtem się nie namyśliwszy, zważcie bowiem:

ścigani jesteście gniewem rodziców, których nic nie powstrzyma w chęci rozłączenia was. Czas wszelako łagodzi wzburzenie i nadejdzie dzień, gdy wasi ojcowie zapłaczą nad rozłąką i pożałują swoich niewczesnych zamysłów, zrodzonych czy to z chciwości, czy wygórowanych dążeń, które miały przywieść do znenawidzonych związków. Niedługo czekać, a odzyskacie nie tylko ich miłość, ale i szacunek należny pochodzeniu. Nim się to jednak stanie, bądźcie dość przemyślni, by pozostawać w ukryciu, a jak mielibyście lepsze sobie zapewnić ukrycie niżli w trupie komediantów?

Nie powinniście też sądzić, że się ponizacie wstępując na deski teatru. Ci, którzy układają sztuki, i ci, którzy nam je przedstawiają, zasługują na miłość i poważanie, służą bowiem powszechnemu dobru.

Oni ukazują naszym oczom żywe wcielenia ludzkiego żywota, dając nam przykłady czym jesteśmy i czym być powinniśmy. Prześmiewają niecnotę i szaleństwo czasów, oddają cześć, jak się należy, cnocie i pięknu. Dramatopisarze zręcznie a z mądrością uszlachetniają nasze umysły, zaś sceniczne zdarzenia za sprawą wdzięcznego obejścia i godnej postawy aktorów wysubtelniają nasze obyczaje.

Prawił tak przez czas jakiś, a wszyscy słuchali zadziwieni, że człek równie szalony, za którego czyny nikt by nie zaręczył, przemawia z tak wielką roztropnością.

- Pomnijmy też na to - kończył - że takie komedye, jakieśmy widzieli odgrywane na scenie teatrum,

są sztukami wziętymi z wielkiego teatru świata. Wszyscyśmy aktorami w jakiejś sztuce. Niektórym przypadają role królów i godnych prałatów, innym przychodzi wejść w postaci kupców, żołnierzy, pachołków, a każdy winien wiedzieć, że odgrywa jemu daną rolę; w tym rzecz jeno cała, by wybrać i przystać.

- Co myślisz, ukochany? - spytała Katalina z najbardziej uroczym z uśmiechów. - Czy nie powiada prawdziwie ten rycerz, że powinniśmy dobrze przemyśleć propozycję?

Prawdę rzekłszy, sama w swoim rozumie już zdecydowała ją przyjąć, ale wiedziała, że mężczyzna chętnie daje wiarę złudzeniu, iż to on decyduje.

- Nie tylko pomożecie mi w kłopotach, ale sami skorzystacie, jako że odwiedzicie ze mną najszynniejsze miasta Hiszpanii.

Diegowi zabłyśły oczy. Pojął wreszcie, że czeka ich daleko ciekawsze życie niżli siedzenie dwanaście godzin co dzień na krawieckim stołku.

- Zawsze chciałem poznać świat. - Uśmiechnął się szeroko.

- I poznasz, mój kochany - rzekła Katalina. - Mistrzu Alonso, z radością przyłączymy się do twojej trupy.

- Zostaniesz wielką aktorką.

- Ole, ole! - zakrzyknęła cała kompania.

Alonso kazał podać wina. Pito zdrowie nowych towarzyszy.

Rozdział trzydziesty trzeci

Następnego dnia, pożegnawszy się dwornie z rycerzem, wędrowni aktorzy ruszyli do najbliższego miasteczka Manzanares, gdzie odbywał się jarmark i gdzie spodziewali się znaleźć wdzięczną publiczność. Alonso najał muły, część zwierząt miała nieść aktorów, resztę objuczono skrzyniami z ich odzieniem i kostiumami. Katalina i Diego dosiedli konia, którego dostali od Doni Beatriz. Razem z mistrzem Alonso i nimi dwojgiem trupa liczyła teraz siedmiu członków. Oprócz duenny i Kataliny był jeszcze chłopiec grający drugoplanowe role kobiece. Był też tym, kogo zwie się obwoływaczem; kiedy dotarli do miasteczka i Alonso poszedł prosić burmistrza o pozwolenie na występ, chłopiec obchodził ulice waląc w bęben, ogłaszając wszem wobec, że znamienity teatr Alonsa Fuentesesa da przedstawienie jedynej, niepowtarzalnej, uciesznej sztuki takiej to a takiej.

Jako że w owych czasach w Hiszpanii nie było jeszcze teatrów, przedstawienia dawano na placach i dziedzińcach; okna i balkony otaczających domów służyły wtedy za łoże dla możnych i szlachty, a sklepieniem był błękitny nieboskłon. Jeśli zdarzało się grać w samym środku lata, między dachami zawieszano osłonę od słońca. Dla zacnych mieszczan ustawiano przed sceną kilka rzędów ławek, inne stawiano pod

ścianami domów. Gawiedź podziwiała grę na stojąco, mężczyźni z przodu, kobiety za nimi. Po części

z obawy przed zaproszeniem ognia, po części przez wzgląd na obyczajność, przedstawienia dawano po południu. Za całą scenografię służyła materia zawieszona z tyłu sceny, a zmianę miejsca akcji obwieszczały słowa aktorów.

Alonso, po ucieczce żony z pierwszym amantem, musiał zmienić trasę. Kiedy zagrali w Manzaneres, ruszył do Sewilli, gdzie myślał znaleźć aktora do ról, których przez wzgląd na wiek i wygląd sam nie mógł odgrywać. Zatrzymali się po drodze w bogatym Ciudad Real i w Valdepeñas, przejechali góry Morena i wkroczyli do Andaluzji skalistą przełęczą zwaną Puerta de Despeñaperros. Przekroczyli Guadalquivir i w końcu dotarli do Kordoby. Grali tam przez tydzień, potem, jadąc czas jakiś z biegiem szlachetnej rzeki, dotarli do Carmony, dali ledwie jedno przedstawienie i już byli w Sewilli. Mistrz Alonso znalazł aktora, jakiego szukał, po czym teatr rozgościł się w mieście na miesiąc. Kiedy ich czas minął, ruszyli znowu w drogę. Ciężkie to było życie. Sypiali po nędznych zajazdach, w których posłania były często tak brudne i obmierzłe, że choć umęczeni i wyczerpani letnim skwarem, a przemarznięci na kość w zimie, woleli często spać na podłodze. Gryzło ich robactwo, dokuczały moskity, męczyły pluskwy, obłaziły wszy. Kiedy grali, wstawali o brzasku i uczyli się ról. Próbowali od dziewiątej do dwunastej, jedli obiad i zaczynali przedstawienie, kończyli o siódmej; jeśli potem zdarzało się, że posłał po nich ktoś znaczny, burmistrz, sędzia, szlachcic wydający wieczerzę, ruszali doń nie zważając na zmęczenie i dawali kolejne teatrum.

Alonso Fuentes miał duszę nadzorcy niewolników. Gdy spostrzegł, że Katalina ma smykałkę do igły, a Diego jest zręcznym krawcem, w każdej wolnej chwili zaganiał ich do szycia i przerabiania kostiumów, które noszone były w osiem-

nastu sztukach, bo tyle mieli w swoim repertuarze. W niedługim czasie doszedł do przekonania, że Diego, choć przystojny i ufny we własne możliwości, nigdy nie zostanie prawdziwym aktorem, ale dla miłego głosu dawał mu śpiewać piosenki w przerwach między aktami, a także niewielkie role.

Zupełnie inaczej traktował Katalinę, z której postanowił zrobić prawdziwą aktorkę. Znał swoje rzemiosło i miał wycucie efektu scenicznego, ona zaś była pojętną uczennicą. Pod jego nadzorem, bywało brutalnym, szybko przeistoczyła się ze zdolnej amatorki w biegłą profesjonalistkę. Jego trud nie poszedł na marne. Publiczność ją uwielbiała, zespół się bogacił. Alonso powiększył trupe, rozszerzył repertuar. Zaangażował młodą aktorkę nazwiskiem Rosalia Vasquez, po części dla pocieszenia się po niewiernej żonie, po części żeby obsadzać ją w epizodach, bowiem chłopiec, który grywał je dotychczas, przechodził mutację i zaczął mu się sypać wąż. Ponadto Katalina urodziła jedno dziecko, niedługo potem drugie i potrzebował aktorki na tyle dobrej, by mogła zastępować ją w czasie ciąży i pólógów.

Tak minęły trzy szczęśliwe, pracowite lata. Katalina zdążyła przez ten czas nauczyć się wszystkiego, czego mogła, od Alonsa Fuentesesa, a z dwojgiem dzieci uczepionych spódnicy znajdowała wędrownie życie nazbyt uciążliwym. Jej uroda i talent nie przechodziły nie zauważone wśród ludzi majątnych i utytułowanych. Nie raz słyszała, że powinni z Diegiem założyć własny zespół i osiąść w Madrycie.

Znaleźli się i tacy, którzy pod wrażeniem jej daru scenicznego ofiarowywali się nawet z pomocą finansową. Ale na razie grała w trupie, gdzie wszystkim zarządzał Alonso: był dyrektorem, aktorem, wreszcie autorem sztuk. Każdego roku, głównie w czasie Wielkiego Postu, kiedy nie dawano przedstawień, pldził dwie, trzy sztuki. Katalina nie mogła nie zauważyć, że choć pisał nadal tak, by

mogła pokazać cały swój talent i urodę, partie Rosalii i stawały się coraz

obszerniejsze. W ostatniej miały już role niemal równej wagi i tylko talent Kataliny sprawiał, że jej wydawała się ważniejsza. Kiedy głośno wyraziła niezadowolenie, co uczyniła bez śladu wahania, Alonso skwitował jej pretensje wzruszeniem ramion i śmiechem.

- Moja droga - rzekł do niej - kiedy dzieli się z kobietą łożo, trzeba dbać o jej dobre samopoczucie.

Odpowiedź, choć prawdziwa, nie dała jej satysfakcji. Nie była próżna, wychodziła jednak z założenia, że szanowana, zamężna niewiasta powinna dostawać godniej sze role niż pierwsza lepsza subretka.

- Tak dalej być nie może - rzekła do Diega.

Zgodził się, że nie może. Perspektywa założenia własnego zespołu była kusząca, choć Katalina zdawała sobie sprawę, jakie to oznacza kłopoty. Była ulubienicą trupy i mogła oczekiwać, że część aktorów chętnie pociągnie za nią do Madrytu. Tam, z odpowiednią ilością pieniędzy, mogłaby zaangażować resztę komediantów, kupić konieczne kostiumy i zdobyć sztuki do repertuaru.

Madrycka publiczność była wymagająca; żeby ją podbić, potrzebowałyby wpływów i sakiewek przyjaciół. Choć Diego z całego serca popierał jej pomysł, bała się, że nie usatysfakcjonowany graniem epizodów, w których obsadzał go Alonso, jako dyrektor trupy będzie brał dla siebie co główniejsze partie, wedle własnego pragnienia. Kochała go całym sercem, nie oznaczało to jednak, by wierzyła, że mąż sprosta własnym ambicjom. Czowała, ile trzeba będzie taktu i trudu, żeby uległ i zaangażował prawdziwego aktora z iskrą bożą. Wahala się. Rozważali rzecz całą po wielokroć, nie dochodząc do niczego, aż raptem pewnego dnia Katalinę olśniła wyborna myśl, by posłać po Domingo Pereza i zasięgnąć jego rady. Sam był przecież aktorem, układał sztuki i jeśli w końcu poważyliby się założyć własną trupę, mogli wystawić któreś z dzieł jego pióra. Mógł też pomóc im dotrzeć do innych autorów. Diego poparł pomysł, ułożyła więc list. Pisała do wuja wcześniej trzy czy cztery razy. Po raz pierwszy, żeby mu powiedzieć, że wyszła za mąż i że jest szczęśliwa. W

następnych zawiadamiała o narodzinach kolejnych dzieci. Wiedząc, jak gorzki ból sprawiłaby matce, wołała przemilczeć, że ona i Diego zostali wędrownymi aktorami. Teraz prosiła, nie podając dokładnych powodów, by odwiedził ich w Segowii, gdzie spędzali Wielki Post, po części dlatego, że było to rodzinne miasto Alonsa, ale głównie dlatego, że trupa miała odgrywać nabożne misterium wielkanocne w tutejszej katedrze. Była to najnowsza sztuka Alonsa, za temat której autor obrał żywot Marii Magdaleny.

Rozdział trzydziesty czwarty

Domingo, zawsze chętny podróžom, gdy tylko dostał list od Kataliny, natychmiast najął konia, spakował prowianty, kilka koszul i ruszył w drogę. Po przyjeździe do Segowii ucieszył się widząc, że Katalina, jej mąż i dzieci mieszkają przyzwoicie, z rozkoszą też patrzył na siostrzenicę jeszcze piękniejszą niż dawniej. Miała dziewiętnaście lat. Powodzenie, szczęście oraz macierzyństwo pospołu przydały jej pewności siebie i godności w obejściu, ale też pewnego pieprzyku o powabie nie do odparcia. Twarz straciła, co było w niej dziecięcego, i nabrała doskonałości rysunku. Figura

pozostała smukła jak niegdyś, ruchy nabrały jeszcze bardziej czarującego wdzięku. Była teraz kobietą, bardzo młodą kobietą, to prawda, ale kobietą: z charakterem, pewną swych zalet i świadomą urody.

- Wyglądasz kwitnąco, moja gołąbeczko - orzekł. - Z czego też żyjecie?

- O tym później - odparła Katalina. - Najpierw powiedz, jak się miewa matka, jak się wiedzie wszystkim w Castel Rodriguez, co działo się po naszej ucieczce i co u Doñi Beatriz.

- Po kolei, moje dziecko. - Uśmiechnął się. - Pamiętaj, że za mną długa droga i żem bardzo spragniony.

- Pójdź no do Rodriga i przynieś butelkę wina, kochanie

- rzekła Katalina.

Domingo uśmiechnął się widząc, jak dobywa z fałd swoich spódnic sakiewkę i daje mężowi kilka monet.

- Wracam za chwileczkę - powiedział Diego i zniknął.

- Widzę, że roztropnie sobie poczynasz, moja śliczna.

- Domingo wyszczerzył się w uśmiechu.

- Szybko odkryłam, że mężczyźni nie można powierzyć pieniędzy, a bez pieniędzy nie popęli głupstwa - zaśmiała się. - A teraz odpowiedz na moje pytania.

- Matka ma się dobrze, posyła uściski i ucałowania. Jej nabożność może służyć za przykład i zapewne dlatego przeorysza chętnie ją wspomaga, tak by nie musiała już pracować na chleb.

Mówił to z błyskiem w oku. Katalina znów się roześmiała. Jej śmiech był tak szczery, a przy tym tak dźwięczny, że Domingo w swojej poetyckiej głowie przyrównał go od razu do szmeru górskiego strumienia.

- Było sporo hałasu po waszym zniknięciu - mówił.

- Moje biedne dziecko, nikt nie miał dla ciebie jednego dobrego słowa, a twoja nieszczęsna matka wprost desperowała. Dopiero kiedy mniszka, Dona Anna, przyszła jej powiedzieć, że przeorysza chętna jest wspomóc ją brzęczącą monetą, trochę się pocieszyła. Przez dziesięć dni nikt o niczym innym nie mówił. Siostrzyczki ogarnęła zgroza, że uczyniłaś taki afront Doñi Beatriz i tak niegodziwie jej odpłaciłaś za całą jej dobroć i łaskawość. Najznacniejsze osoby w mieście zachodziły do klasztoru, by złożyć jej wyrazy sympatii i współczucia, ale tak była zgnębiona, że wszystkich odprawiała. Zgodziła się widzieć tylko Don Manuela, lecz co sobie powiedzieli, tego nie wiadomo.

Siostrzyczka, która jej służy, słyszała głosy uniesione w gniewie, ale choć nastawiała ucha,

nie pochwyciła ani słowa z ich rozmowy. Zaraz potem Don Manuel wyjechał z miasta. Napisałbym ci o wszystkim, gdybyś posłała mi swój adres.

- To było niemożliwe. Widzisz, przenosiliśmy się z miejsca na miejsce i nigdy nie wiedziałam, dokąd nas los rzuci, nim nie ruszyliśmy w drogę.

- Czemu to?

- Nie zgadujesz? Jak często opowiadałeś mi o dniach, kiedy przemierzałeś drogi Hiszpanii w palącym słońcu lata, w dojmujących chłódach zimy, w jednej koszuli na grzbiecie i bosy, nie dlatego, by oszczędzić buty, ale dlatego, że zdarłeś jedyną parę, jaką miałeś?

- Boże w niebiosach, nie jesteście chyba wędrownymi komediantami?

- Mój poczciwy wuju, jestem pierwszą amantką w sławnej trupie Alonsa Fuentesesa, a Diego śpiewa i tańczy i jest lepszym aktorem, niż myśli Alonso.

- Czemuś nie powiedziała nic wcześniej? - wykrzyknął Domingo. - Przywiózłbym ze sobą z pół tuzina sztuk.

W tej chwili wrócił Diego z winem. Kiedy Domingo zajął się kielichem, Katalina opowiedziała mu, jak to się stało, że ona i Diego zostali aktorami.

- Wszyscy powiadają, że jestem największą aktorką w Hiszpanii. Prawdę mówię, Diego, moja duszo?

- Obciąłbym głowę każdemu, kto by rzekł inaczej.

- Marnuję tylko talent na prowincji.

- Mówię mojej dziewczynie, że nasze miejsce w Madrycie - dodał Diego. - Alonso jest zazdrosny o mnie i nie daje mi ról, w których mógłbym pokazać, com wart.

Żadne z nich nie odznaczało się fałszywą skromnością, która może być zmorą aktora. Zaczęli opowiadać wujowi, co wcześniej umyślili. Kiedy skończyli, powiedział z właściwą

"sobie roztropnością, że nic im nie może doradzić, póki nie I zobaczy obojga na scenie.

- Przyjdź jutro na próbę - rzekła Katalina. - Gram Marię Magdaleny w nowej sztuce Alonsa.

- Przyjdę bez ochyby. Zadowolona jesteś z roli? Wzruszyła ramionami.

- Nie całkiem. Dobrze się zaczyna, ale coś kuleje w ostatnim akcie. W trzech końcowych scenach nie ma mnie już wcale. Mówiłam Alonsowi, że skoro sztuka jest o mnie, powinnam być na scenie do końca, ale on powiada, że musi się stosować do Pisma Świętego. Po prawdzie biedak nie ma za grosz wyobraźni.

Diego zaprowadził Dominga do gospody, w której zwykł siadywać Alonso i reszta zespołu.

Przedstawił go jako wuja Kataliny, niegdyś aktora, a teraz dramatopisarza. Alonso przyjął go grzecznie i wkrótce stary skryba rozumem, wesołością i opowieściami o dawnych czasach zaskarbił sobie sympatię całej trupy. Alonso zgodził się, by obejrzał próbę następnego dnia.

Domingo był zachwycony naturalnością gry Kataliny, wymownością gestów, wdziękiem ruchów.

Alonso okazał się dobrym nauczycielem. Miała poetyckie ucho i ładny głos. Umiała być radosna i patetyczna. Szczera. Pełna mocy. Nie mógł się nadziwić, że przez trzy lata tak opanowała sztukę dramatyczną. Nie sposób sobie wyobrazić, że zdolna byłaby zagrać jedną fałszywą nutę. Wrodzony dar, nabyte umiejętności, samokontrola, jaką daje doświadczenie, wszystko to lśniło jeszcze bardziej w blasku jej urody.

Kiedy próba dobiegła końca, Domingo ucałował ją w oba policzki.

- Moja gołąbeczko kochana, jesteś prawie tak dobrą aktorką, za jaką się uważasz.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, wuju, wuju, kto by pomyślał, kiedy byłam dzieckiem i kiedy razem recytowaliśmy sceny z Lopego de Vega, że któregoś dnia ludzie będą się bić, żeby zobaczyć mnie na scenie? A ty widziałeś mnie tylko na próbie. Poczekaj, aż zobaczysz mnie przed publicznością.

Diego grał Jana, ukochanego ucznia; rola była niepokazna. Grał poprawnie, ale bez wyrazu. Przy pierwszej sposobności Domingo zapytał Alonsa, co o nim myśli.

- Jest gładkim mężczyzną, ale nigdy nie będzie aktorem. Pozwalam mu grać, żeby nie czynić przykrości Linie. Gdybyż aktorzy nie pobierali się między sobą! Oto co czyni życie dyrektora nieznośnym.

Uwaga ta nie powstrzymała Dominga, który powiedział, by Katalina i Diego śmiało spoglądali w przyszłość, opuścili Alonsa i osiedli w Madrycie. Przez dwadzieścia cztery godziny, które z nimi spędził, odkrył, że Katalina ma głowę na karku i że nie wystawi na szwank własnego powodzenia, pozwalając, by Diego grał role, którym nie mógł sprostać. Ufał, że takim czy innym sposobem ułoży jakąś sprawę, ku obopólnemu zadowoleniu.

Coś więcej niż tylko pragnienie ujrzenia siostrzenicy kazało Domingo odbyć uciążliwą drogę z dalekiego Castel Rodriguez do Segowii. Wiedziony ciekawością, jakże też mu się wiedzie na szacownym stanowisku, miał nadzieję ujrzeć starego przyjaciela, Blasco de Valero. Przez kilka następnych dni, kiedy Katalina i Diego zajęci byli próbami, łązikował po mieście. Ze swoim darem do zawierania znajomości zdążył z niejednym wejść w zażyłość. Dowiedział się, że biskup z racji wielkiej pobożności i surowego życia darzony jest w mieście powszechnym uwielbieniem. I tu dotarły wieści o zachwycających i przejmujących trwogą bożą cudach w Castel Rodriguez. Domingo zwiedził się i tego, że osoba

biskupa budzi wrogość kapituły i miejscowego duchowieństwa. Blasco burzył się widząc, jak rozwiązały się ich obyczaje i jak lekce sobie wazą swoje powinności. Z zapamiętaniem, a bez pomiarkowania, zaczął dzieło naprawy. Nie miał litości dla tych, którzy ani myśleli zawrócić z drogi występku i, tak jak w Walencji, nie patrzył na to, jakie kto piastuje godności. Kler sarkał wielce na ten brak pobłażania i próbował każdym sposobem pohamować działanie biskupa. Co śmielsi otwarcie mu się sprzeciwiali, reszta poprzestawała na biernym oporze. Lud wspierał go w jego nieprzejednaniu, usprawiedliwionym życiem bez zmazy. Dochodziło do gorszących zajść, raz i dwa nie obyło się nawet bez interwencji świeckiej zwierzchności. Miast pokoju, przyniósł do miasta obnażony miecz.

Domingo zawitał do Segowii na początku Wielkiego Tygodnia. Wiedząc, że w tym czasie święte obowiązki nie pozwolą biskupowi go przyjąć, pojawił się w pałacu, wyniosłej acz surowej budowli o granitowej fasadzie, dopiero w poświęteczny wtorek. Podał odźwiernemu swe imię i po chwili oczekiwania został poprowadzony w górę kamiennymi schodami przez zimne, wysokie, skąpo umeblowane sale, zawieszane ponurymi obrazami o religijnej treści, do komnatki nie większej od klasztornej celi, w której stał tylko stół do pisania i dwa krzesła o wysokich zapieckach, a na ścianie wisiał czarny krzyż dominikanów. Biskup wstał, objął Dominga i serdecznie uściskał.

- Myślałem, że już nigdy nie będzie nam dane spotkać się, drogi bracie - rzekł z afektem, który zaskoczył Dominga. - Co cię sprowadza do miasta?

- Niespokojny ze mnie człowiek. Lubię wędrować. Biskup, odziany jak zwykle w habit swojej reguły, postarzał

się bardzo. Był wyniszczony, wymizerowana twarz pokryła się zmarszczkami, oczy straciły dawny blask. Pomimo tych

znak zgrzybienia, w jego postaci było coś świetlistego, jakaś zmiana, którą Domingo dostrzegał, ale której nie umiał sobie wytłumaczyć. Nie potrafił też powiedzieć, dlaczego skojarzyła się ona w jego umyśle z poświęcą, jaka zostaje, gdy po długim letnim dniu słońce znika za widnokretem. Biskup poprosił, by usiadł.

- Jak długo tu jesteś, Domingo?

- Tydzień minął.

- I przez cały ten czas nie próbowałeś się ze mną zobaczyć? Obrażasz mnie.

- Nie chciałem ci przeszkadzać, ale widziałem cię kilka razy. W procesji wielkotygodniowej i katedrze w Wielki Piątek, a potem w Niedzielę Wielkanocną i jeszcze na przedstawieniu.

- Zgrozą mnie przejmują te sztuki odgrywane w domu bożym. W innych miastach hiszpańskich dają je na placach i nic przeciwko temu nie mam, bo służą zbudowaniu maluczki, ale Aragonia trwa przy swoich starych obyczajach i choć się sprzeciwiałem, kapituła nastawała, żeby grać w katedrze, jak czyni się tu od niepamiętnych czasów. Byłem tam, bo tego wymaga mój święty urząd.

- Sztuka jest przystojna, drogi Blasco, nie ma w niej nic, co mogłoby obrazić twoje uczucia.

Biskup zachmurzył się.

- Kiedy tu przybyłem, zastałem wielkie rozluźnienie obyczajów u tych, którzy powinni godnie wypełniać swoje obowiązki i być przykładem dla ludu. Są kanonicy katedralni, co od lat nie pojawili się w mieście, świeccy księża żyją w jawnym grzechu, w klasztorach nie przestrzega się reguły z należytą surowością, Inkwizycja traci czujność. Chciałem położyć kres tym wszystkim nieprawościom, ale odpowiedzią mi była nienawiść, przewrotność i upór. Udało mi się wypełnić nieobyczajność, ja jednak pragnąłem, by

odmienili się przez miłość Boga, a nie przez lęk, jaki w nich budzę.

- Coś z tego doszło moich uszu - rzekł Domingo. - Słyszałem nawet, że chciano usunąć cię z miasta.

- Ani się domyślają, jak bardzo byłbym szczęśliwy, gdyby się im udało!

- Ale masz pociechę w tym, drogi przyjacielu, że lud cię tu kocha i darzy szacunkiem.

- Biedni, nie wiedzą, jak mało zasługuję na ich poważanie.

- Poważają cię za surowy żywot i miłosierdzie, które okazujesz ubogim. Słyszeli o cudzie w Castel Rodriguez. Jesteś dla nich świętym, bracie. A kimże ja jestem, by ich za to winić?

- Nie naśmiewaj się ze mnie, Domingo.

- Drogi przyjacielu, mam dla ciebie zbyt wiele miłości, by to czynić.

- Nie byłby to pierwszy raz - rzekł biskup ze smutnym uśmiechem. - Przez te trzy lata często rozmyślałem o naszym ostatnim spotkaniu i o tym, coś mi rzekł. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi.

Wydawało mi się, że to tylko mnożenie paradoksów, cyniczna mowa, w której zawsze się lubował.

Ale kiedy tu przybyłem, twoje słowa wracały do mnie w samotności pałacu i przyprawiały o wątpliwości. Pytałem sam siebie, czy to możliwe, by mój brat piekarz, w pokorze spełniający swoje obowiązki, oddany pospolitemu rzemiosłu, lepiej służy Bogu niż ja, który modląc się i umartwiając ciało, Jemu poświęciłem życie. Jeśli tak, cokolwiek myślą inni, cokolwiek ja myślałem przez jedną krótką chwilę, nie ja dokonałem cudu, lecz Marcin.

Biskup zamilkł. Patrzył na Dominga pytającym wzrokiem.

- Mów - nalegał. - Mów przez miłość, jaką dla mnie kiedyś miałeś, i powiedz mi prawdę.

- Co mam ci powiedzieć?

- Byłeś pewien, że to mój brat został naznaczony, by uzdrowić biedną kalekę. Czyś teraz równie tego pewien?

- Tak pewien jak wtedy.

- Dlaczego zatem otrzymałem znak, który rozwiał wszystkie wątpliwości? Dlaczego Przenajświętsza Dziewica użyła słów, które tak łatwo przyszło opacznie zrozumieć?

Jego smutek był tak wielki, że Dominga, jak niegdyś, zdjęła litość. Chciał go jakoś pocieszyć, ale wahał się wyrzec słowa, które miał w głowie. Znał niezłomność zasad Don Blasco i było wielce podobne, że ten czułby się w obowiązku donieść Świętemu Oficjum, co usłyszał, nawet jeśli rzekłby to przyjaciel. Dawny seminarzysta nie chciał zostać męczennikiem.

- Trudno z tobą rozmawiać swobodnie, mój drogi - rzekł. - Nie chcę powiedzieć nic, co obraziłoby twoje uszy.

- Mówże, mów - wykrzyknął biskup niecierpliwie.

- Pamiętasz, jak przy okazji, którą właśnie wspomniałeś, powiedziałem ci, że pośród atrybutów, jakie ludzie przypisują Bogu, nie wspomina się nigdy zdrowego rozsądku? Ale jest jeszcze inny, który przechodzi powszechnie nie zauważony, a bodaj jeszcze istotniejszy. Wszechmoc bez niego byłaby niepełna, a współczucie obmierzłe. To poczucie humoru.

Biskup obruszył się; chciał coś rzec, ale zmienił zamiar.

- Czy gorszą cię, bracie? - zapytał Domingo poważnie, choć w jego oku błysnął chochlik. - Śmiech nie jest ostatnim z darów, jakie dał nam Bóg. Czyni on lżejszym ciężar życia na tym świecie i pozwala dzielnie znosić wszelkie nieszczęścia. Czemu nie oddać Bogu poczucia humoru? Czy to brak szacunku sądzić, że śmieje się w duchu, kiedy przemawia zagadkami, których fałszywe rozwiązania są dla nas zbawienną nauką?

- Dziwnie to ujmujesz, Domingo, choć w tym, co mówisz, nie ma nic, czego dobry chrześcijanin nie miałby uznać.

- Zmieniłeś się, bracie. Czyżbyś na starość nauczył się pobłażliwości?

Biskup rzucił Domingo szybkie, pytające spojrzenie, jakby, zaskoczony jego uwagą, zastanawiał się, co ma ona znaczyć, po czym utkwiał wzrok w kamiennej posadzce i zatonął w myślach. Po chwili podniósł oczy. Chciał coś wyrzec, lecz nie mógł się przemóc.

- Przydarzyła mi się bardzo dziwna rzecz - przemówił w końcu - o której nikomu dotąd nie śmiałem powiedzieć. Może Opatrzność zesłała cię dzisiaj, bym tobie mógł to rzec, bo jesteś, mój dobry Domingo, jedynym człowiekiem na świecie, którego mogę nazwać przyjacielem.

Znowu się zawahał. Domingo czekał, baczenie się w niego wpatrując.

- Jako biskup tutejszej diecezji musiałem pójść na przedstawienie dawane w katedrze. Ktoś mi powiedział, że rzecz opowiada o życiu Marii Magdaleny, ale nie należało do moich obowiązków śledzić akcję. Myślami byłem gdzie indziej. Modliłem się, lecz moja dusza nie mogła zaznać spokoju, jak zawsze od chwili, kiedy przybyłem do tego miasta. Czułem się pusty, niezdolny kochać ani

nienawidzić. Mój umysł pogrążony był w mroku, wola sparaliżowana, nie znajdowałem pociechy u Boga. Modliłem się tak, jak jeszcze nie modliłem się nigdy, by zechciał mnie wspomóc w głębokiej rozterce, niepomyślny tego, co się dzieje wokół, sam ze swym smutkiem. Nagle ocknąłem się na jakiś krzyk i wspominałem, gdzie jestem. Krzyk tak dojmujący, brzemienisty w znaczeniu, że wbrew własnej woli zacząłem słuchać. Przypominałem sobie, że przede mną odgrywają przedstawienie. Nie wiedziałem, co zdarzyło się dotąd, ale szybko pojąłem, że doszli do miejsca, w którym Maria Magdalena i Maria, matka Jakuba, przychodzą z wonnościami do Grobu, gdzie Józef z Arymatei złożył ciało

Jezusa, i widzą odwalony kamień. Wchodzą do środka i nie znajdują ciała. Kiedy stoją zdumione, przychodzi wędrowiec, wyznawca Chrystusa. Maria Magdalena opowiada mu, co ona i druga Maria właśnie ujrzały. Ponieważ wędrowiec o niczym nie wie, mówi mu dalej o pojmaniu w Ogrojcu, sądzie i okrutnej śmierci Syna Bożego. Opis był tak żywy, słowa tak trafnie dobrane, wiersz tak melodyjny, że nawet gdybym nie chciał słuchać, nie mógłbym przestać.

Domingo, wstrzymując oddech, nachylił się do przodu.

- Ach, ile miał racji nasz wielki cesarz Karol, kiedy powiedział, że hiszpański jest jedynym językiem, w którym przystoi zwracać się do Boga. Wers płynął za wersem. W wymowie kobiety, która przedstawiała Marię Magdalenę, tyle było ognistego wzburzenia, kiedy opowiadała o zdradzie Judasza, że gniew zapalczywy zdjął wszystkich w katedrze, tak iż gromkimi słowami klęli zdrajcę. Jej głos załamał się z bólu, gdy opowiadała o biczowaniu Naszego Pana, a ludzie wstrzymali dech, ogarnięci grozą. Kiedy zaś mówiła o męce konania na krzyżu, bili się w piersi i łkali donośnie. Bolesć w złotym głosie, wzniosłość rozrywająca serce były takie, że łzy popłynęły mi z oczu, a duszę, drżącą jak drżą liście na drzewie pod powiewem wiatru, ogarnął zamęt. Czułem, że musi wydarzyć się ze mną coś niezwykłego i lękałem się. Podniosłem oczy i spojrzałem na kobietę, która tak cudnie wypowiadała okrutne słowa. Była piękna, niczym jakaś nieziemska istota. To nie kobieta tam stała, z załamanymi rękoma i błyszczącymi oczami, lecz anioł z nieba. Kiedy tak patrzyłem w oniemieniu, nagle promień światła przedarł się przez mroki jakże długo spowijające mą duszę i dotarł do serca, przyprawiając mnie o nagłą ekstazę. Uczułem ból tak wielki, iż myślałem, że umrę, a przy tym rozkosz tak słodką, tak słodką... Zdało mi się, że dusza moja uwalnia się od ciała.

W tym szczęsnym momencie zaznałem cudownego spokoju, który był ponad wszelkie pojęcie, piłem u źródła Mądrości Bożej i poznawałem Jego tajemnicę, przepelniało mnie samo dobro, byłem wolny ode złego. Nie umiem opisać tego doznania. Nie ma słów, którymi miałbym oddać, com widział, czuł i pojmował. Posiadałem Boga, a z nim posiadałem wszystko.

Biskup osunął się w krzesło, jego twarz opromieniało jeszcze wspomnienie doniosłego przeżycia.

- Pragnienie nadziei już nie męczy mej duszy, połączyła się z Bogiem w tym stopniu, na ile jest nam dane w tym życiu. Wolny od pragnień, nie szukam już nadziei. Napisałem list, w którym proszę Jego Wysokość, by zwolnił mnie z duchownych obowiązków i zaszczytów, a kiedy to nastąpi, schronię się w klasztorze, gdzie spędzę resztę życia na modlitwie i cichej kontemplacji.

Domingo nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Blasco, Blasco, dziewczyna, która odgrywała Marię Magdalene, to moja siostrzenica, Katalina Perez. Kiedy uciekla z Castel Rodriguez, przylaczyła sie do trupy Alonsa Fuentesesa.

Biskup spojrzal na niego w niemym zdumieniu, po czym usmiechnal sie ze slodycza, jakiej Domingo nigdy jeszcze u niego nie widzial.

- Prawdziwie nieodgadnione sa sciezki Pańskie. Jakze dziwne byly te, ktorymi prowadzil mnie do celu. Za jej sprawa mnie zranil i za jej sprawa uleczył. Niech błogosławiona będzie matka, która ją zrodzila. Chwała Panu, on to ją bowiem natchnal, gdy wymawiala te niebiańskie słowa. Będe ją wspominal po kres moich dni we wdzięcznych modlitwach.

W tej chwili wszedł do komnatki brat Antonio, który nadal był sekretarzem biskupa. Rzucił spojrzenie na Dominga, ale nie dal po sobie znac, ze go rozpoznaje. Podeszedł do biskupa i szepnal mu kilka słow na ucho. Biskup westchnal.

- Dobrze, zobaczę się z nim. - Po czym zwrócił się do Dominga: - Musimy się teraz rozstać, drogi przyjacielu, ale jeszcze się spotkamy.

- Chyba nie. Jutro wracam do Castel Rodriguez.

- Szkoda.

Domingo klęknal ucalowac pierścien biskupi, lecz Blasco podniósł go z kolan i pocałowal w oba policzki.

Rozdział trzydziesty piaty

Domingo wracal do domu Kataliny. Chudy, starzejacy się czlowiek z workami pod oczami, czerwonym nosem, resztkami zębów w dziastach, stary grzesznik w polatanym kaftanie, pozielenialym od starosci, poplamionym winem i resztkami jedzenia, szedł, jakby unosil się nad ziemią. Nie zamienilby się miejscami, jak to kiedyś rzekł był biskupowi, ani z cesarzem, ani z papieżem. Mówil do siebie w głos, wymachiwal rękami, przechodnie spoglądali na niego jak na pijanego; bo też był pijany, tyle że nie winem.

- Magia sztuki - krztusil się radosnym śmiechem. -1 sztuka może czynić cuda. *Et ego in Arcadia natus.*

To on bowiem, zapomniany pisarz, rozpustne nic dobrego, napisal wersy, które tak głęboko poruszyły biskupa. A oto jak do tego przyszło.

Katalina dość była zadowolona z dwóch pierwszych aktów sztuki napisanej dla niej przez Alonsa.

Uczynil ją kochanką Poncjusza Piłata. W pierwszym akcie pojawiala się w pysznych szatach, dumna ze swojego grzesznego życia, przebiegła, kosztowna i wyrachowana. W drugim akcie przeżywa nawrócenie. Znalazła się tam dobra scena, kiedy dowiedziawszy się, że Jezus jest w domu faryzeusza, bierze alabastrową

szkatułkę z wonnościami, idzie umyć mu nogi i namaścić olejkami. Ostatni akt przedstawiał zdarzenia trzeciego dnia po Ukrzyżowaniu. W jednej ze scen żona Piłata czyni mu wyrzuty, że pozwolił na śmierć człowieka bez winy, w innej Judasz Iskariota przychodzi do kapłanów Świątyni i rzuca im trzydzieści srebrników, którymi opłacili jego zdradę. Maria z Magdali pojawia się dopiero w chwili, gdy razem z Marią, matką Jakuba, udają się do Grobu i znajdują go pustym. Rzecz kończy się w Emaus, gdzie uczniowie poznają, że napotkany przez nich wędrowiec jest zmartwychwstałym Chrystusem.

Katalina nie darmo była pierwszą amantką przez trzy lata. Kiedy odkryła, że w trzecim akcie prawie jej nie ma, rozzłościła się okropnie. Napadła na Alonsa.

- Co ja mogę? - krzyczał. - Jesteś na scenie prawie przez cały czas w dwóch pierwszych aktach. W trzecim nie masz po temu okazji, poza jednym razem.

- Nie dyskutuj. O mnie jest ta sztuka czy nie? Publiczność będzie chciała mnie widzieć i jeśli nie dasz im tego, czego oczekują, na nic całe przedstawienie.

- Ależ, moje dziecko, nie jest to sztuka, w której mogę puścić wodze wyobraźni. Muszę trzymać się faktów.

- Temu nie przeczę, ale jesteś autorem. Jeśli znasz swoje rzemiosło, powinieneś wymyślić coś, co pozwoli mi się pokazać. Czemu na przykład nie miałabym zagrać w scenie między Poncjuszem Piłatem a jego żoną? Dość trochę pomyśleć.

Alonso zaczynał tracić cierpliwość.

- Moja dobra Lino, byłaś kochanką Piłata. Czy podobna, żebyś zjawiała się w jego pałacu, kiedy on rozmawia sam na sam z żoną?

- Czemu by nie? Mogę mieć scenę z żoną Piłata, ona będzie czynić mu wyrzuty po tym, co ja jej powiem.

- Nigdy nie słyszałem nic równie niemądrego. Gdybyś próbowała zobaczyć się z żoną Piłata, kazałaby cię oćwiczyć różgami.

- Nie, jeżeli rzucę się na kolana błagając, by przebaczyła mi moje wszeteczeństwo. Będę tak wzruszająca, że ulegnie moim błagalnym prośbom.

- Nie, nie, nie - krzyczał.

- Więc czemu nie miałabym iść z uczniami do Emaus? Jako kobieta poznam, kim jest obcy, a on widząc, że go rozpoznałam, położy palec na ustach, nakazując mi milczenie.

- Powiem ci, czemu nie możesz iść do Emaus z uczniami - sierznił się Alonso. - Boś tam z nimi nie szła, tak przynajmniej powiada Pismo Święte. Dam ci znać, kiedy zechcę, byś pisała za mnie moje sztuki.

Rozstali się tego dnia w gniewie. Katalina przemyśliwała już, czyby nie odrzucić roli, ale wiedziała, że wtedy Alonso obsadzi w niej Rosalię, poza tym w dwóch pierwszych aktach miała tyle do grania, że sztuka łatwo mogła stać się jej sukcesem.

- Gdyby pisał rolę dla Rosalii, nigdy nie odważyłby się dać jej tak mało miejsca w ostatnim akcie - narzekła do Diega.

- To pewne - odparł. - Źle się z tobą obchodzi. Za mało cię ceni.

Katalina zagniewana opowiedziała o swoich kłopotach wujowi, nim ten jeszcze zdążył obejrzyć sztukę. Wyraził stosowne współczucie i życzenie przeczytania manuskryptu. Aktorzy mieli tylko własne teksty, całość trzymał Alonso i strzegł jej zazdrośnie, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy zrobić kopię i sprzedać ją innej trupie.

- Alonso jest próżny jak paw - rzekła Katalina. - Idź do niego jutro po próbie i powiedz, że sztuka jest tak wspaniała,

że nie zaznasz spokoju, póki jej całej nie przeczytasz. Nie oprze się takiej prośbie.

Jak rzekła, tak uczynił. Alonso pochlebiony, ale pomny ryzyka, dał manuskrypt zastrzegając, by wrócił do niego nie dalej niż za dwie godziny. Kiedy Domingo skończył czytać, poszedł na przechadzkę, a po powrocie uczynił Katalinie propozycję. Rzuciła mu się na szyję i wycałowała go.

- Wujku, serce moje, jesteś geniuszem.

- Zapoznanym, jak wielu - wyszczerzył się w uśmiechu.

- Teraz posłuchaj, moje dziecko, nie zdradź żywej duszy, nawet mężowi, co umyśliłem. Na próbach graj najlepiej jak potrafisz. Bądź dla Alonsa słodka i miła, jakbyście się nigdy nie poróżnili i jakbyś chciała dać do zrozumienia, że co było, minęło. Niech będzie kontent z twojej gry na próbach.

Mieli mieć jeszcze dwie próby w sobotę i jedną wczesnym rankiem w Niedzielę Wielkanocną. W

sobotę, po pierwszej próbie, kiedy zespół rozchodził się na obiad, Katalina zatrzymała Alonsa, przemawiając do niego w najbardziej czarujący sposób.

- Napisałeś piękną sztuką, mój Alonso. Im lepiej ją poznaję, tym bardziej nie mogę nadziwić się twojemu geniuszowi. Nawet niebiański Lope de Vega ciebie nie przerasta. Jesteś wielkim, bardzo wielkim poetą.

Alonso promieniał.

- Owszem, nie powiem, żebym był z niej niezadowolony

- odrzekł.

- Jednego w niej tylko mi brakuje.

Alonso obruszył się gwałtownie, gdyż tacy już są pisarze, że grosz przygany rzucony na szale opinii przeważa tyńfa pochwał. Ale Katalina w swojej przymilności na nic nie zważała.

- Im dłużej próbujemy, tym więcej przychodzę do przeko-

nanania, że uczyniłeś błąd, nie dając mi się pokazać jeszcze korzystniej w trzecim akcie.

Alonso zaczął okazywać oznaki poirytowania.

- Jużeśmy o tym mówili. Powtarzałem ci tuzin razy, że nie ma w nim miejsca dla ciebie.

- I miałaś słusność, po tysiackroć słusność, ale zechciej posłuchać. Jestem aktorką i czuję w głębi serca, że kiedy stoję przed grobem Naszego Pana, powinnam rzec więcej, niż dajesz mi powiedzieć.

- Cóż takiego? - zapytał naburmuszony.

- Przyszło mi do głowy, że byłoby cudownie, gdybym opowiedziała historię zdrady Judasza, osądzenia Pana Naszego, męki na krzyżu i śmierci. Ledwie sto linijek.

- A któż by słuchał stu linijek pod sam koniec sztuki?

- Wszyscy, jeśli ja je powiem - odparła Katalina. - Publiczność będzie biła się w piersi, szlochała i łkała. Dramatopisarz twojej miary musi wiedzieć, jaki efekt wywrze podobna scena w tym miejscu sztuki.

- Nie ma mowy - wykrzyknął zniecierpliwiony. - Jutro gramy. Jakże mam napisać sto linijek i jeszcze je próbować? Jak miałabyś się ich nauczyć?

Katalina uśmiechnęła się słodko.

- Tak się zdarzyło, że rozmawialiśmy o tym z wujem. Natchniony pięknem twojego dzieła napisał wersy, których wymaga ta scena, a ja nauczyłam się ich na pamięć.

- Ty? - wykrzyknął dyrektor do Dominga.

- Wymowa twojej sztuki do głębi mną poruszyła - odparł. - Owładnęła mną z taką siłą, jakbyś to ty dzierzył moje pióro.

Alonso patrzył to na jedno, to na drugie. Katalina widząc, że się waha, ujęła go za rękę.

- Pozwól, żebym wydała przed tobą swoją mowę, a potem, jeśli ci się nie spodoba, zapomnimy o wszystkim. Och,

Alonso, uczyn mi tę łaskę. Wiem, ile ci zawdzięczam, ale pamiętaj, że i ja dawałam z siebie

wszystko, by cię zadowolić.

- Mów zatem tę przeklętą mowę - krzyknął rozeźlony - i pozwól mi iść na obiad.

Z kwaśną miną siadł jednak gotów słuchać. Katalina zaczęła. Przez trzy lata jej głos wzbogacił się i nauczyła się pięknie go modulować. Uczucia właściwe opowiadanym zdarzeniom pojawiały się jedno za drugim na jej twarzy, wyrażającej mgnienie po mgnieniu: obawę, przerażenie, strach, wzburzenie, trwogę, ból, rozpacz, smutek, a wszystko odmalowane bez zbędnej przesady, lecz z rzetelną prawdą.

Zły bez wątpienia, Alonso był zbyt zręcznym dramatopisarzem, by nie dostrzec, że wiersze są dobrze napisane i że Katalina podaje je z wymownym gestem, głosem, który nikogo na widowni nie może pozostawić obojętnym. Nachylał się do przodu i klaskał w dłonie, to znowu słuchał w oniemieniu.

Było w niej tyle wzniosłego patosu, tyle wzruszającej szczerości, że przestał nad sobą panować; począł płakać, ciężkie łzy toczyły się po jego policzkach. Kiedy skończyła, otarł oczy rękawem.

Domingo też płakał.

- I co? - spytała Katalina z uśmiechem triumfu.

Przy tych słowach wyszła już z roli, była zimna, jakby recytowała abecadło. Alonso wzruszył ramionami. Próbował nadać swojemu głosowi burkliwe a rzeczowe brzmienie.

- Tekst dobry, jak na amatora. Będziemy próbować po południu i jeśli dobrze wypadniesz, zagramy go jutro.

- Serce duszy mojej, uwielbiam cię - ucieszyła się Katalina.

- Będę miał kłopoty z Rosalią - mruknął ponuro.

Scena przepowiedziana raz jeszcze na próbie i odegrana następnego dnia wywarła na biskupie efekt, z którym zapoznaliśmy już czytelnika. Nie był to wszak efekt jedyny. Rosalia srodze złażała Alonsa za okazywanie faworów Katalinie, on

zaś, chcąc ją ułagodzić, poczynił jej łakome obietnice i dobrze wiedział, że przyjdzie mu ich dotrzymać. Nie było mu to w smak, choć taki obrót spraw cieszył go dla innej przyczyny. Otóż wiele osób, widząc w nim jedyne i wyłączonego autora sztuki, szczególnie wychwalało sto linijek Dominga; dowiadywał się, że jeśli idzie o język i wersyfikację strofy te prześcigają wszystko inne w tekście. Kiedy Diego po cichu rozpuścił wieść o ich prawdziwym autorstwie, Alonso poczuł się głęboko upokorzony. W odwecie zaczął rozpowiadać wśród przyjaciół, że Katalina wcale nie jest tak dobrą aktorką, za jaką się uważa, i że bez jego przewodnictwa łącno by się okazało, jak mało ma talentu. Ledwie te słowa doszły jej uszu, powzięła ostateczną decyzję. Jak powiedziała do męża, kobieta musi się szanować. Zerwała z niewdzięcznym dyrektorem i w towarzystwie Diega i dzieci ruszyła do Madrytu.

Rezygnacja Don Blasco została przyjęta, przeniósł się do odległego klasztoru swojej reguły z postanowieniem spędzenia reszty swoich dni na kontemplacji, o której Arystoteles powiada, że jest zwieńczeniem życia, a mistycy sądzą, że jest droga Bogu. Nie chciał przyjąć żadnych wyróżnień i faworów, należnych mu z racji piastowanych godności, uparł się mieć celę taką samą jak reszta mnichów i być traktowanym jak oni. Osłabł bardzo z latami i choć nie uskarżał się na żadną szczególną chorobę, dla otoczenia było jasne, że niedługo opuści swą ziemską powłokę. Brat Antonio towarzyszył mu do klasztoru. Razem z przeorem błagali, by odstąpił od co surowszych zasad, ale on trwał przy swoim, przestrzegając we wszystkim zakonnej reguły. Zgodził się jedynie poniechać wstawania na jutrznię w zimne noce, gdy przeor, widząc, jak coraz bardziej niedomaga, wymógł to na nim mocą przypisanej mu z urzędu władzy. Osłabł wkrótce tak bardzo, że większość dnia musiał

spędzać w łóżku, choć nie było wyraźnych oznak śmiertelnego zagrożenia. Życie pełgało w nim jak płomyk świecy, który może zostać zdmuchnięty za pierwszym powiewem wiatru, ale chroniony ciągle tlił się słabiutko. Koniec przyszedł raptownie.

Pewnego ranka brat Antonio zaszedł po jutrzni do celi dawnego preceptora zobaczyć, jak ten się czuje.

Na świecie była zima i śnieg, w celi panował straszliwy ziąb. Zdziwił się widząc zaczerwienione policzki i błyszczące oczy, ucieszył go przecież ten widok, bo Don Blasco po raz pierwszy od długich tygodni wyglądał jak dawniej. W sercu obudziła się nadzieja, że chory wraca do zdrowia. Odmówił w myślach krótką modlitwę dziękczynną.

- Wracają wam rumieńce, señor - rzekł. Brat Blasco dawno już zakazał mu tytułować się inaczej. - Od wielu dni nie wyglądaliście tak dobrze.

- Bo też dobrze się czuję. Właśnie widziałem Greka Demetriososa.

Brat Antonio wzdrygnął się. Wiedział, że Demetrios zginął dawno i zasłużenie na stosie.

- We śnie, señor?

- Nie, nie. Wszedł przez drzwi, stanął przy łóżku i mówił ze mną. Wyglądał dokładnie jak kiedyś: te same znoszone suknie, ta sama łagodność w twarzy. Od razu go poznałem.

- To był szatan, ekscelencjo - krzyknął brat Antonio, niepomny nakazu Don Blasco. - Przepędziliście go precz?

Don Blasco uśmiechnął się tylko.

- To byłoby niegrzecznie, mój synu. Nie myślę, żeby to diabeł do mnie przyszedł. To był Demetrios we własnej osobie.

- Ależ on jest w piekle, gdzie sprawiedliwie pokutuje za swoje herezje.

- I ja tak myślałem, lecz jest inaczej.

Brat Antonio słuchał w coraz większym przerażeniu. Było wielce podobne, że Don Blasco doświadczył piekielnego widzenia. Pedro z Alcantary i Matka Teresa od Dzieciątka Jezus często mieli do czynienia z diabłami. Matka Teresa

trzymała zawsze na podorędziu wodę święconą po to właśnie, aby je prześwięcać kilkoma kroplami.

Zatrwożony zachowaniem swego mistrza chciał wierzyć, że to tylko rojenia chorego umysłu.

- Zapytałem, co u niego i powiedział mi, że dobrze. Kiedy mu rzekłem, jak cierpiałem myśląc, że jest w piekle, zaśmiał się i odparł, że nim płomienie pochłonęły jego ciało, dusza uleciała na łąki rozstajne, skąd Radamantys zabrał go na Wyspę Błogosławionych. Tam spotkał Sokratesa, otoczonego jak zawsze przez szlachetnych młodzieńców, zadającego pytania i udzielającego odpowiedzi. Widział

Platona i Arystotelesa przechadzających się razem i zatopionych w przyjacielskiej rozmowie, jakby nie dzieliły ich żadne różnice, Ajs-chylosa i Sofoklesa, łagodnie wypominających Eurypidesowi, że niewczesnymi nowinkami zniszczył sztukę dramatu, oraz wielu, wielu innych, których trudno wymienić.

Brat Antonio słuchał w pomieszaniu. Było oczywiste, że jego stary przyjaciel majaczy. Stąd te rumieńce na policzkach i błyszczące oczy. Nie wie, co mówi. Biedak był wdzięczny Bogu, że w celi nie ma innych świadków strasznych rojeń. Zadrżał na myśl, jak zareagowaliby braciszczkowie, gdyby usłyszeli, że człowiek, którego mieli za świętego, wypowiada podobne bluźnierstwa. Łamał sobie głowę, co odrzec, ale zdjęty paniką nie znajdował stosownych słów.

- Kiedy tak sobie gawędziliśmy po przyjacielsku, jak niegdyś w Walencji, zapiał kur i Demetrios rzekł

mi, że na niego już pora.

Brat Antonio pomyślał, że najlepiej obrócić w żart chorobliwe majaki.

- A powiedział wam, po co do was przyszedł? - zapytał niepewnie.

- Pytałem go o to. Rzekł, że chciał się pożegnać, bo więcej już się nie zobaczymy. „Jutro - powiedział

- kiedy nie będzie

dnia ani nocy i dojrzysz kształt swojej dłoni, twoja dusza rozstanie się z ciałem.”

- To dowodzi, że odwiedził was duch piekielny, mój panie - wykrzyknął brat Antonio. - Doktorzy powiadają, że nie cierpicie na żadną śmiertelną chorobę, a dzisiaj macie się tak dobrze, jak nie mieliście się dawno. Pozwólcie, że dam wam przepisane lekarstwo i poślę po medyka, żeby wam upuścił krew.

- Nie wezmę lekarstwa i nie chcę cyrulika. Czemu koniecznie upierasz się zatrzymać mnie, kiedy moja dusza wyrywa się z więzienia, w którym była tak długo zamknięta? Idź, powiedz kochanemu przeorowi, że chcę się wyświadczyć i otrzymać ostatni sakrament. Mówię ci, że jutro rozstanę się z życiem.

- To był sen, señor - krzyknął w desperacji biedny braciszek. - Zaklinam was, musicie uwierzyć, że to tylko sen.

Don Blasco wydał odgłos, który u każdego innego nazwalibyśmy chichotem.

- Nie mów głupstw, mój synu - rzekł. - Nie bardziej był to sen, niż snem się wydać może, że teraz z tobą rozmawiam. Nie bardziej sen niż to życie grzeszne, pełne smutku, niepokojących pytań i tajemnic jest snem, z którego się budzimy do żywota wiekuistego, jedyne, który jest prawdziwy. Teraz idź i uczyń, co ci rzekłem.

Brat Antonio odwrócił się z westchnieniem i wyszedł. Don Blasco wyświadczył się i otrzymał ostatni sakrament. Kiedy odprawiono już ostatnie rytę, pożegnał braci, z którymi przepędził ostatnie lata i udzielił im swojego błogosławieństwa. Dzień wstał już na dobre; chciał zostać sam, ale brat Antonio zaklinał go tak żarliwie, by wolno mu było czuwać u boku chorego, że przystał na jego błagania z łagodnym uśmiechem pod warunkiem, że będzie siedział cicho. Don Blasco leżał na wznak, na twardym

posłaniu z twardym siennikiem, jak tego wymagała reguła zakonu, przykryty, mimo dotkliwego chłodu, jednym cienkim kocem. Od czasu do czasu zapadał w drzemkę. Brat Antonio był prawdziwie zrozpaczony. Pewność, w jakiej trwał Don Blasco, głęboko nim wstrząsnęła i napełniła przekonaniem, że śmierć przyjdzie, tak jak zapowiadał jego świątobliwy mistrz. Mijały godziny. Ciepło oświetlał jeden wąty ogarek. Zaczęły bić dzwony na jutrznię.

- Idź, mój synu, nie możesz zaniedbywać religijnych powinności z mojego powodu.

- Nie opuszczę was teraz, panie - odpowiedział mnich.

- Idź. Będę tu jeszcze, kiedy wrócisz.

Poskutkowało wpojone przez lata posłuszeństwo i brat Antonio poszedł, jak mu nakazano. Kiedy wrócił, Don Blasco spał i przez chwilę mnich myślał, że umarł. Oddychał jednak spokojnie i w sekretarzu zakolatała wąta nadzieja, iż nabiera sił i wróci do zdrowia. Ukląkł przy łóżku i zaczął się modlić. Ogarek zamigotał i zgasł. Wokół panowała ciemna noc. Mijały godziny. W końcu Don Blasco lekko się poruszył. Brat Antonio nie widział w ciemnościach, ale przecucie powiadało mu, że jego drogi przyjaciel szuka krucyfiksu zawieszzonego na piersi. Wsunął go w rękę starca, a kiedy chciał

cofnąć dłoń, uczył, że Blasco ją przytrzymuje. Z piersi wyrwało mu się łkanie. Pierwszy raz po tych wszystkich latach zdarzyło się, że Don Blasco okazał mu swoje uczucia. Próbował spojrzeć w oczy, które niegdyś płonęły tak mocnym blaskiem, i choć nie mógł widzieć, wiedział, że są otwarte. Spojrzał

na dłoń z krucyfiksem, zaciśniętą łagodnie na jego dłoni. Ciemność nocy jakby mniej była nieprzenikniona. Zdjęty nagłym przerażeniem dojrzał kształt wyniszczonej dłoni. Słabe westchnienie dobyło się z ust Don Blasco i coś mu powiedziało, sam nie wiedział co, że jego ukochany mistrz umarł. Zaczął rozpaczliwie szlochać.

Don Manuel mieszkał już wtedy od wielu lat w Madrycie. Doña Beatriz wycofała się z planu, który sama umyśliła i zgodnie z którym miał poślubić jej bratanicę, markizę de Caranera. Nie znaleziono dla niej odpowiedniej partii, owdowiała dama wybrała więc życie zakonne i była teraz sub-przeoryszą klasztoru w Castel Rodriguez. Don Manuel uważał, że Doña Beatriz bardzo źle się z nim obeszła. W

tym, że intryga, którą wspólnie ułożyli, zawiodła, nie było jego winy. Nie miał wszak zamiaru płakać nad rozlanym mlekiem. Przeniósł się do Madrytu, gdzie nie czynił tajemnicy ze swoich planów małżeńskich i bogactw, wkrótce też znalazł partię po swojej myśli. Związał się z księciem Lerma, faworytem króla Filipa III. Uniżonością, pochlebstwem, obłudą, brakiem skrupułów i przekupstwem zdobył sobie w końcu ogólny szacunek. Ale też jego ambicje sięgały wysoko. Don Blasco zostawił po sobie reputację świętego, a Don Manuel dość był przebiegły, by zrozumieć, ile on i jego rodzina (niebiosa pobłogosławiły go dwoma udanymi synami) skorzysta na beatyfikacji, a może i kanonizacji brata. Nikt przecież nie mógł zaprzeczyć, że biskup Segowii był człowiekiem niepospolicie pobożnym. Zaczął zbierać potrzebne dowody, miał świadków gotowych zaręczyć, że skrawki jego habitu noszone na szyi chroniły przed ospą (wietrzną i czarną), uzyskał potwierdzenie cudownych wydarzeń w Castel Rodriguez, jednak Rzym domagał się poświadczenia dwóch cudów głównych dokonanych za sprawą szczątków kandytata już po jego śmierci, a tego żadnym sposobem nie dało się dowieść. Wziął jurystów nieposzlakowanej uczciwości, bo choć sam był łajdakiem, to nazbyt szczwanym, by zatrudniać łajdaków. Nie wykluczali możliwości beatyfikowania brata, ale też nie kryli, że widoki na uczynienie zeń świętego Kościoła są niewielkie. Kiedy to usłyszał, wpadł w pasję, oskarżył prawników o nieudolność, ale rozważywszy rzecz, przyznał im

rację. Wydał już dość na wstępne dochodzenia i nie widział powodów, żeby tracić więcej. Przemysłał

raz jeszcze wszystko na zimno, osądził, że beatyfikacja nie jest warta kosztów i poprzestał na sprowadzeniu szczątków biskupa do kolegiaty w Castel Rodriguez, gdzie pobudował wielki sarkofag, jeśli nie po to, by zachować pamięć o najstarszym synu swego ojca, to choćby dlatego, żeby okazać własną hojność.

Warto może wspomnieć, że Marcin de Valero, najmłodszy z synów Don Juana, popadł na powrót w niepamięć, z której na chwilę wydobyła go wizyta dwóch znamienitych braci. Piekł nadal chleb i tyle zaledwie da się o nim powiedzieć. Nigdy nie powstało mu w głowie, podobnie jak nikomu w mieście, że raz jeden Przenajświętsza Dziewica dała mu moc dokonania cudu.

Dona Beatriz dożyła późnych lat w zdrowiu i żyłaby jeszcze dłużej, gdyby nie pożałowania godny wypadek. Kiedy doszły ją wieści o beatyfikacji nienawistnej jej Matki Teresy od Dzieciątka Jezus, zległa w łóżu na trzy dni, ale kiedy w tysiąc sześćset dwudziestym drugim roku dowiedziała się o jej kanonizacji, zdjął ją gniew tak wielki, że dostała wylewu. Odzyskała świadomość, ale jedną stronę ciała miała sparaliżowaną. Było oczywiste, że koniec jest bliski. Jako że nie znała lęku, zachowała

niewzruszony spokój. Posłała po zaufanego mnicha, by wysłuchał jej spowiedzi, a kiedy się wyspowiadała, zebrała wokół siebie wszystkie mniszki i udzieliła im wskazówek na przyszłość. Kilka godzin później zażyczyła sobie ostatniego sakramentu. Znowu posłano po mnicha. Prosiła o wybaczenie grzechów i zobowiązała płaczące zakonnice, by modliły się za nią. Przez jakiś czas leżała w milczeniu. Nagle powiedziała donośnym głosem:

- Kobieta bardzo niskiego stanu.

Mniszki uznały za pewne, że mówi o sobie. Do głębi poruszyła je ta oznaka prawdziwej pokory u niewiasty, w której

żyłach płynęła krew królów Kastylii i której matka pochodziła ze świetnego rodu Braganza. Tylko jej bratanica, subprzeorysza, wiedziała, że myśli o zbuntowanej mniszce, znanej jako Teresa z Avila.

Takie były ostatnie słowa Doni Beatriz Henriquez y Braganza, noszącej imię zakonne Beatriz de San Domingo. Namaszczono ją świętymi olejami i wkrótce potem wyzionęła ducha.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kiedy Katalina zjechała do Madrytu, miała jeszcze złoto, które dostała od Doñi Beatriz.

Zapobiegliwa, przez trzy lata wędrówki coś jeszcze oszczędziła i choć Diego miał kapryśne gusta, spoglądała w przyszłość bez lęku. Zwrócili się do możliwych patronów, a ci obiecali wesprzeć ich na początek swoimi wpływami i majątkiem. Z takimi potwierdzeniami danych przyrzeczeń mogli myśleć o stworzeniu trupy. Odnieśli sukces większy, niż śmieli oczekiwać; Katalina stała się sensacją miasta.

Wielu gładkich panów zabiegało o jej łaski i choć przyjmowała z wdzięcznością prezenty, odpłacała za nie jedynie uśmiechem pięknych oczu i zgrabnym słowem. Zaczęto ją wtedy uwielbiać nie tylko za urodę i geniusz, ale i za cnotę. Posłała po Dominga, który zjechał z tuzinem sztuk za pazuchą.

Wystawiła dwie z nich. Wygwizdano obydwie przy kocie muzyce i obraźliwych wyzwiskach.

Domingo, zły i upokorzony, umarł wkrótce potem, ale czy od nadużywania wina, czy z zawodu, nigdy nie stwierdzono. Kilka lat później Katalina, wtedy już zażywiająca sławy największej aktorki w Hiszpanii, pewna swojego władania nad publicznością, postanowiła przez pamięć jego imienia wystawić jeszcze jedną jego sztukę, tyle że anonimowo, by nie ucierpiała od klęski dwóch poprzednich. Rzecz spodobała się i w istocie była tak dobra, że przypisywano ją wielkiemu Lopemu de Vega. Choć ten

wypierał się autorstwa, nikt mu nie dał wiary. Do tej pory drukuje się ją razem z innymi jego dziełami, a biedny Domingo został ograbiony nawet z tego mirażu, który jest pociechą wielu pisarzy wzgardzonych przez współczesnych - sławy pośmiertnej.

Diego, mimo miłej powierzchowności i wiary we własne siły, nigdy nie wyszedł poza przeciętne aktorstwo. Okazał się szczęśliwie człowiekiem z głową do interesów i dobrym dyrektorem, tak że z latami stali się bogaci. Dawno też zgodzili się, że nie przystoi wspominać o nadprzyrodzonych

zjawiskach, które przydarzyły się Katalinie, toteż ani gdy byli wędrownymi komedianami, ani później, nikt nie odkrył jej związku z wydarzeniami, o których kiedyś było tak głośno. Tak jak podejrzewała, żadne więcej cuda nie zakłócały ich małżeńskiego pożycia. Diego, choć uważał, że tak się godzi i należy, nie był nigdy panem w swoim domu, a ona była na tyle mądra, żeby nie pozbawiać go złudzeń, żył więc w szczęśliwej iluzji. Zdradzał ją czasami, ale wiedziała, że tego można oczekiwać po mężczyźnie i dokąd były to przelotne i niezbyt kosztowne amory, zносиła je spokojnie.

Stanowili doprawdy bardzo szczęśliwe małżeństwo. Urodziła szóstkę dzieci, a że znała aktorski obowiązek i nie chciała sprawiać zawodu swojej publiczności, grała prześladowane dziewice i niewinne księżniczki niemal do ostatnich chwil ciąży. Grała je i w późniejszym wieku, zaś holenderski podróżnik, który zawitał do Hiszpanii pod koniec panowania Filipa IV, zanotował, że choć stała się korpulentną niewiastą i babcią licznych wnuków, tyle miała w sobie wdzięku, tak melodyjny był jej głos i tak magiczna osobowość, że po pięciu minutach jej gry zapominało się o wieku i postaci i przed oczami pojawiała się namiętna szesnastoletnia dziewczyna, którą przedstawiała.

Tak jak się zaczęła, na Katalinie kończy się ta dziwna, niewiarygodna, lecz budująca opowieść.

25 stycznia 1947

Table of Contents

[Rozpoczni](#)